

Maciej Pinkwart

Siódmy krąg

Wstęp do videobooka

Dzień dobry. Wielu z Państwa pewno zna moje pasje gastronomiczne i może się zdziwić, że sięgam po produkt, spoczywający w zamrażarce już od tak dawna. Odgrzewanie starych kotletów pewno nie jest najlepszym sposobem na zajmowanie czasu znajomym i nieznanym. No i gastronomiczne to tak raczej średnio wychodzi - ale czasami ma to pewien urok, zwłaszcza kiedy trudno o inne uroki. A zatem sięgam do biblioteki żeby zaprezentować Państwu państwo troszeczkę zliftingowaną moją powieść „Siódmy krąg”. To pamiątka wydarzeń i wyobrażeń sprzed lat bez mała dwudziestu. I ukłon wobec osób i spraw kiedyś mi bliskich, które wciąż przechowuję w ciepłym kąciku pamięci. Jest tam też trochę historycznych już wydarzeń i opinii, które zresztą nie całkiem odeszły w przeszłość, więc może i z tego względu warto je przypomnieć i w takiej formie utrwalić. Może i siebie chcę w jakiegokolwiek formie utrwalić, na wszelki wypadek już teraz. Mimo wszystko jednak - posłuchajcie. Zapraszam do pewnej wsi na Spiszu, to jest, chciałem powiedzieć - na Mazurach, w okolicach niewielkiego miasta powiatowego, czasem nazywanego po prostu Miastem, gdzie narratorowi przyszło spędzić trochę czasu - miłego i trudnego, latem i zimą, w towarzystwie realnym i wymyślonym.. A więc - ruszajmy...

To mogłoby być zupełnie interesujące, a nawet ekscytujące doświadczenie – nie robić nic. No, po prostu – stwierdzić któregoś dnia, że co było do zrobienia, to się właśnie zrobiło i od dziś już jest luz. Nic nie trzeba, niczego się nie musi, a w dodatku jest za co nic nie robić. Nic.

No to właśnie tak jest, tylko z tym „jest za co” jest pewien problem. Ale ponieważ w ciągu najbliższych kilku godzin zapewne nikt mi nie podsunie intratnego kontraktu do podpisania, ani w żaden inny sposób nie podsypie sałaty, no to mogę robić co chcę.

Na przykład opisać moje życie. Zawsze lubiłem ambitne zadania.

Irytująca jest ta cała literatura kobieca, dominująca teraz na rynku. Nie przeczę, że się to dobrze czyta niezależnie od płci, zresztą płęć się teraz nie liczy – wszyscy mają piękną, wystarczy otworzyć telewizor. Tylko Woody Allen jest brzydki, a i to w jakiś piękny sposób. I moje lustro się ostatnio zepsuło, bo jakoś nic pięknego w nim nie widzę. Ostatnio widziałem tam coś pięknego, kiedy kochałem się w łazience z pewną piękną panią. Łazienkę mam małą, więc w lustrze było widać tylko tę panią, która była najpiękniejsza na świecie. Może nadal jest, tylko od dłuższego czasu trwale przebywa poza moją łazienką. Poza moim domem też. O sercu nie wspomnę, bo problemy kardiologiczne w moim wieku nie są dla mnie ciekawym tematem do rozmów. Dla mojego kardiologa też, bo spotykając się ze mną ogranicza się do literatury.

- No, co ci zapisać, to co zwykle?

Mógłby mnie, psiakrew, spytać choć jak się czuję. Ale pyta tylko jak się czuje moja córka. A skąd ja mam to wiedzieć? Moja córka mi tego nie mówi, bo ją interesuje tylko moje samopoczucie.

- Co jesteś taki wściekły? Nie miałam czasu posprzątać. I daj mi jakieś pieniądze, bo mi się szampon skończył...

No, więc cokolwiek się teraz bierze do ręki, jeśli nie jest to maszynka do golenia, to okazuje się być klonem *Dziennika Bridget Jones*. I wszyscy zaśmiewają się z dzielnej samotnej podstarzałej panienki szukającej odpowiedniego, albo nawet nieodpowiedniego mężczyzny, albo porzuconej przez męża matki z dzieckiem, która z góralami buduje dom. Więc myślę, że jeśli nadal ma trwać ten atak klonów, to po prostu dla odmiany przydałoby się opisać życie mężczyzny stojącego nad grobem, a nie trzydziestoparoletniej nastolatki. I zamiast śmiesznych tragedii kobiety, mającej niedobór miłości znęcającego się nad nią mężczyzny – wesołą historyjkę znęcającego się nad kobietami

mężczyzny, mającego nadmiar tego uczucia, ale śmieszne...

Z tym, że to też będzie literatura kobieca. Mój bardzo dorosły syn, kiedy znalazł odrobinę czasu i zauważył mnie w swoim domu, powiedział mi, że teraz tylko kobiety czytają cokolwiek. I nie zawsze jest to ulotka, którą zgodnie z instrukcją telewizyjną należy przeczytać przed zażyciem. Ulotek nie czytają, bo i tak wiedzą lepiej od producenta leku, że im to nie pomoże, a z całą pewnością wystąpią wszystkie objawy uboczne. Czytają pismo kolorowe, które niekiedy ma w różnych kioskach różne tytuły, ale i tak wygląda i brzmi tak samo. Czytają powieści, które uczą je, że w życiu najważniejsze jest być sobą pod warunkiem, że się będzie Grażyną Torbicką albo Jennifer Lopez. I czytają encyklopedie, żeby nie być gorsze od dziecka, które musi do szkoły napisać rozprawkę pod tytułem „Jak zapobiec alienacji struktur osobowościowych po kilkudziesięciu latach obowiązywania realizacji traktatu z Schengen”. Dziecko chodzi do czwartej klasy, ale za to encyklopedia jest z 1976 roku...

Więc wszystkie panie na pewno będą wołały przeczytać opis mojego życia.

I w tym sensie będzie to literatura kobieca.

I tyle tytułem wstępu.

*

Tego czasu dużo mi się zrobiło najpierw po tym, jak moja żona złożyła pozew rozwodowy i wyprowadziła się ode mnie do mojego mieszkania, a drugi raz po tym, jak mnie wyrzuciła z pracy. Wyprowadziła się do mojego mieszkania z domku letniego, gdzie pojechaliśmy jesienią, żeby nacieszyć się swoim towarzystwem po dość burzliwym okresie, spowodowanym tym, że podjąłem, nazwijmy to, współpracę, z pewną panią. I kiedy już się nacieszyliśmy, żona przygotowała uroczysty obiad dla rodziny, po którym oświadczyła, że się wyprowadza do mojego mieszkania, bo ja szukam szczęścia gdzie indziej i z kim innym. Nie poczekała na oklaski, wsiadła w samochód i pojechała. Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc powiedziałem, że ja pozmywam. Atmosfera przyjęcia nieco się zwarzyła i naraz wszyscy chcieli też już jechać, sugerując, że pewno w takiej chwili chcę zostać sam. Musiałem im dać na autobus. Zostałem sam, choć wcale tego nie chciałem.

Zostałem więc sam w nie ogrzewanym domku letnim nad jeziorem, bez samochodu, bo samochód wyprowadził się razem z żoną, z drogą, na której grzęzł w błocie nawet rower „Ukraina”, będący własnością pana leśniczego. Potem spadł śnieg i wszystko byłoby w porządku, bo było romantycznie, a poza tym dwa razy na dobę drogą o półtora kilometra dalej na wschód jeździł autobus, który mógł mnie zawieźć do miasta, do pracy. Przez wieś jeździły też prywatne mikrobusy, którymi miejscowi gospodarze wozili do miasta swoje żony i córki do fryzjera, a przywozili zakupy. Tak było latem. O zimie w mojej wsi wiedziałem niewiele, bo ona była moja tylko latem. Teraz na przykład dowiedziałem się, że raz na dwa dni moją drogą jeździł pług śnieżny i śnieżną zawartość całej ulicy wsypywał w moją bramę, bo jego operator myślał logicznie. Po co komu zimą brama domku letniego? Skąd miał wiedzieć, że w letnim domku zimą ktoś - ja akurat w tym wypadku - przymarza do nieczynnego piecyka gazowego, jako że gazu nie dowieźli z tych samych powodów, dla których ja nie mogłem dojechać do pracy? Skąd miał wiedzieć, że przymarzam do piecyka dlatego, że moja żona postanowiła się ze mną rozwieść dowiedziawszy się, że nie zamierzam się od niej wyprowadzić do tej pewnej pani?

A do Agaty w ogóle nie zamierzałem się wyprowadzać.

I nie ma co chować głowy w piasek i używać eufemizmów typu „pewna pani”, bo ci, co na to wszystko patrzyli, i tak wiedzą o kogo chodziło, no może z wyjątkiem męża Agaty, który jak to mąż miał się dowiedzieć ostatni i nie zdążył, bo już nie było o czym. Może by się teraz dowiedział, jakby to przeczytał, ale jakby przeczytał, to by musiał mieć taki nawyk, żeby czytać, no i nie być taki zajęty swoją hurtownią. A jakby lubił czytać i nie był zajęty hurtownią, to by do, nazwijmy to tak, współpracy między mną a Agatą nie doszło w ogóle z powodu braku okazji, co jak wiadomo jest najskuteczniejszym środkiem zapobiegawczym.

A tym, co nie znają ani mnie, ani Agaty, ani jej męża i jego hurtowni to i tak jest wszystko jedno.

Tak więc Agata będzie Agatą i w ogóle się nie ma co nad tym rozwodzić.

Ale rozwodzić się chce ze mną moja żona. A mnie to i tak nie obchodzi.

No bo mam luz, w przeciwieństwie do pieniędzy. A w takiej sytuacji niewiele można zrobić.

I kiedy pojechałem na rozprawę pojednawczą do miasta, to pani sędzia (ciekawe, dlaczego w sprawach rodzinnych zawsze sędziują kobiety? i dlaczego takie sędziowanie ma niby być obiektywne? i dlaczego nigdy nie ma sędziów liniowych, którzy mogliby zauważyć faule i spalone?) pewno by się bardzo zdziwiła, widząc mnie wysiadającego z samochodu mojej żony, która żeby się ze mną rozwieść musiała najpierw przywieźć mi osobiście pozew, bo poczta dostarczyła go pod adresem, w którym byłem zameldowany, czyli do mojego mieszkania, w którym nie mieszkałem, bo zostałem w domku letnim na zimę, a potem musiała mnie przywieźć na rozprawę, bo nic przez ten pług śnieżny nie jeździło.

Ona zresztą też nie dojechała i musiała do mnie wydzwaniać z komórki, żebym się łaskawie pofatygował na piechotę te półtora kilometra do drogi głównej, w dodatku z łopata i wiaderkiem piasku, bo ona utknęła w zaspie i nie zdążymy na rozprawę, a przecież mamy się rozwieść. Kiedy już ją odkopałem i podsypawszy piaseczek ruszyłem delikatnie po litym lodzie, wspomagany gorącą myślą i takimiż słowami przez cały 7-kilometrowy korek, który za samochodem mojej żony zatarasował drogę do miasta, delikatnie poruszyłem temat sensowności naszego obecnego działania.

- No widzisz, jaki jestem ci potrzebny? kto by cię odkopywał jakbyśmy się już rozwiedli? No to po co chcesz się ze mną rozwodzić?

Wtedy ona powiedziała, że jest to jej potrzebne dla zdrowia psychicznego.

Temat był śliski znacznie bardziej niż droga do miasta, więc skupiłem się na prowadzeniu. Co zostało wykorzystane jako dowód przeciwko mnie. Jak zauważyła żona – jej zdrowie psychiczne pozostawiało mnie obojętnym, gdyż spokojnie sobie prowadziłem samochód zamiast się przejać. Podobnie jak sobie spokojnie romansowałem z Agatą, Moniką, Iwoną... Nie mówiłem, że to akurat mnie było potrzebne dla mojego zdrowia psychicznego. W ogóle nic nie mówiłem, bo ona wymieniała wszystkie moje grzechy, o których wiedziała i kilka tych, o których nie wiedziała. Więc nie dało się nic powiedzieć, zresztą nie

chciałem przeszkadzać, w końcu byłem tu na jej zaproszenie, zatem poniekąd musiałem się zachowywać jak gość. Poza tym, gdybym prowadził niespokojnie, to pewno w ogóle byśmy nie dojechali do sądu, skutkiem czego nie moglibyśmy się rozwieść, a to było jej potrzebne dla zdrowia psychicznego. Więc spokojnie sobie prowadziłem samochód. Ponadto na kursach zawsze uczą, żeby na litym lodzie prowadzić spokojnie, albo zjechać na pobocze.

Pomyślałem sobie, że to wymienianie moich przewinień jest z jednej strony treningiem przed rozprawą, a drugiej – zakamuflowanym komplementem. Gdybym romansował choćby z połową wymienianych osób, to przy moich siwych włosach i wieku przedemerytalnym czułbym się jak Carrington. Wtedy przypomniałem sobie, że nie oglądałem ani jednego odcinka *Dynastii* i zasłyszane gdzieś nazwisko kojarzyłem tylko z tymi siwymi włosami i powodzeniem towarzyskim. Niestety, tylko to pierwsze mnie z nim łączyło. Wbrew opinii mojej żony, która, jak wspomniałem, besztając mnie cały czas mnie komplementowała. Z tym, że to nie były szczere komplementy. Bo w gruncie rzeczy tylko ćwiczyła uzasadnianie pozwu.

Ćwiczyła to uzasadnianie pozwu jeszcze wtedy, kiedy wjechaliśmy na parking przed sądem. Na parkingu nie było miejsc. Nie dlatego, że było tyle samochodów, tylko nikt nie odgarnął śniegu, więc nie było gdzie zaparkować. Stanęliśmy 200 metrów dalej, pod kościołem. Tutaj było odgarnięte do czarnego. Jak to mówią, *genius loci*. Potem pospiesznie biegliśmy te dwieście metrów do sądu, żeby się nie spóźnić. Musiałem trzymać ją mocno za rękę, bo było ślisko. Musiało to wyglądać bardzo romantycznie, tacy starsi państwo po tylu latach małżeństwa biegnący razem i trzymający się za rączkę. No bo nikt pewno by się nie domyślił, że trzymamy się za rączkę, biegnąc na rozprawę rozwodową. Ale i tak się spóźniliśmy, co było moją winą, jak mi zakomunikowała żona, kiedy puściłem jej rękę, już w gmachu sądu. Musiałem wyjąć wezwanie, żeby sprawdzić numer sali.

Pani sędzia pewno by się zdziwiła tak solidarnym współdziałaniem nawet w działalności przestępczej, jaką niewątpliwie było lekceważenie sądu, choćby i rodzinnego, poprzez spóźnienie się na rozprawę. Ale się nie zdziwiła. Bo stała w

tym korku, który spowodowała moja żona wjeżdżając w zaspę na litym lodzie i spóźniła się jeszcze bardziej.

Rozprawa była pojednawcza. Z tym, że pojednanie dotyczyło w największym stopniu mojej żony i jej adwokata. Ja broniłem się sam. To znaczy, nie broniłem się wcale. Nie było przed czym.

*

Az pracy wyleciałem dlatego, że kierowana przez moją żonę firma komputerowa nie zapłaciła rachunku za prąd. I go wyłączyli. Co spowodowało spore straty włącznie z utratą danych. A firma nie zapłaciła za prąd dlatego, że nikt nie przypomniał sekretarce, że to należy do jej obowiązków. Zawsze przypominała jej moja żona. Jej przypominałem ja.

A ja byłem zasypany śniegiem w letnim domku.

*

Wkomputerowej firmie mojej żony jedynym informatykiem był ksiądz. To znaczy, formalnie rzecz biorąc nie był księdzem, tylko skończył teologię czy religioznawstwo jako człowiek świecki, bardziej z wyrachowania niż z przekonania: było to zaraz potem, jak religię zrobiono obowiązkowym przedmiotem w szkołach i trzeba było jej uczyć tak, jak chemii, geografii czy prac ręcznych. Tomek obliczył sobie szybko, bo z matematyki zawsze był dobry, że to oznacza w każdej podstawówce przynajmniej dwa etaty, w powiatowym mieście podstawówek było dziesięć, więc mimo, że w Polsce stan kapłański ma najwięcej powołań na świecie, to może nie wystarczyć. Zwłaszcza, że taki ksiądz zawodowy to oprócz uczenia w szkole ma jeszcze mnóstwo innych zajęć, znaczenie ciekawszych i bardziej intratnych niż uczenie w szkole. Więc będzie koniunktura na pedagogów religijnych.

No i po studiach z dyplomem w ręku zgłosił się do największej podstawówki w naszym mieście. A tam go wyśmiali i odesłali do najbliższego proboszcza, bo to on zajmuje się sprawami kadrowymi w oświacie, przynajmniej w zakresie nauki religii. Proboszcz akurat jadł obiad w towarzystwie współpracowników, więc go zaprosił na przekąskę i gdy Tomek wyłuszczył sprawę i pokazał swoje dokumenty, to najpierw zaległa cisza, potem proboszcz też wybuchnął śmiechem,

wszystkich strasznie jakoś śmieszyl ten pomysl, a wreszcie powiedzial, ze na razie nie ma wolnych etatów. I może niech spróbuje w parafii ewangelickiej. I znowu się wszyscy śmiali. Z wyjątkiem Tomka oczywiście, bo on uznał, że proboszcz, nawet przy obiedzie, jest człowiekiem poważnym i dowcipów nie opowiada. Na obiad była zupa neapolitańska na bazie zasmażanej kiełbasy w maśle, zrazy zawijane z kaszą gryczaną i ogóreczkiem małosolnym, na deser tort orzechowy, bo akurat wypadało świętego Kryspina, który lubił tort orzechowy, jak mu wyjaśnił proboszcz. Znow się wszyscy śmiali, Tomek też, no bo uznał, że przy deserze to już wypada, tym bardziej, że wyglądało, że nic nie załatwił, z wyjątkiem tego obiadu.

Obszedł wszystkie szkoły i wszystkie parafie w mieście i okolicy i wreszcie z dyplomem religioznawstwa (czy teologii) znalazł się w Urzędzie Zatrudnienia. Został zarejestrowany i skierowany na kurs komputerowy za pieniądze państwowe. Skończył, spodobało mu się, poszedł na informatykę podyplomową. A potem Urząd Zatrudnienia skierował go do firmy mojej żony. Razem ze mną zajmował się u nas szkoleniem.

Był bardzo zadowolony, tylko wszyscy w firmie, a potem w całym mieście mówili do niego „proszę księdza”. Pewno by nie narzekał, ten tytuł u nas nobilituje, ale mówił, że to trochę krępujące, zwłaszcza w miejscach publicznych, dla człowieka z żoną i dwójką drobnych dzieci.

Głównym sprzedawcą i projektantem sieci komputerowych był w naszej firmie Romek, technik ogrodnictwa. Szefem serwisu był prawie absolwent liceum plastycznego, który skończywszy 18 lat przestał zajmować się sztuką tylko stanął w kolejce po zasiłek. Sekretarka Renatka była po ogólniaku, ale umiała się kręcić, zresztą miała czym, wiem o tym, bo sam ją zatrudniłem, nie bez powodów. Andrzej był jakiś czas temu asystentem w Wyższej Szkole Morskiej, ale w któreś wakacje przyjechał w nasze strony i nie chciało mu się wracać. Więc został i dał sobie spokój z komputerami do nawigacji. Wszyscy oni trafili do nas z pośredniaka, zaraz potem jak moja żona przejęła kierownictwo firmy, bo ująłem się honorem i powiedziałem, że jeśli ja nie umiem kierować zespołem, to może ona to zrobi lepiej.

- Trudno robić to gorzej – powiedziała i wtedy wyszedłem z domu po raz pierwszy na dłużej. Dokładnie na dwa tygodnie. Po tym czasie pieniądze, które rąbnąłem z firmowej kasy mi się skończyły, co dowodzi, że firma zarabiała mało i rzeczywiście wymagała reorganizacji, no a poza tym Jolka też nie zarabiała dużo, a koszty utrzymania w Gdańsku były wysokie. Pojechałem do Jolki do Gdańska dlatego, że za dużo w tamtym czasie słuchałem „Budki Suflera”. I marzyło mi się, żeby mi ktoś - konkretnie Jolka - powiedział, że nigdy aż tak. Nie powiedziała, może ta meta o dwa kroki stąd była nie najlepsza, bo zamiast superromansu wyszedł mi gigantyczny kac. I kiedy te pieniądze się skończyły, to Jolka zasugerowała, żebym już nie zajmował się jej dzieckiem, które codziennie odprowadzałem do przedszkola, gdzie pani wychowawczyni mnie chwaliła, że dziadek tak ładnie zajmuje się Elżunią. Znudziło mnie bycie p.o. dziadkiem Elżuni, która zresztą mnie wcale nie lubiła, czemu się trudno dziwić, bo nie byłem dobrym dziadkiem. Zwłaszcza dla dziecka Jolki i tego faceta od toyoty, który będąc przejazdem w Gdańsku, został ojcem Elżuni. W tym czasie moja żona poszła do Urzędu Zatrudnienia i złożyła odpowiednie wnioski. I tak zbudowała firmę na nowo. Wszyscy byli dla niej pełni uznania. Ja też – nareszcie mogłem zająć się tym, co lubiłem najbardziej – programowaniem i opracowywaniem algorytmów własnych uproszczeń rekurencyjnych w programach inteligentnych baz danych. To pasjonowało mnie zawsze najbardziej. Byłem historykiem sztuki.

Wszystko to przypominałem sobie dokładnie, kiedy z wypowiedzeniem w garści wszedłem do Gminnego Urzędu Zatrudnienia. Przedtem lokalny policjant trzy razy pytał mnie, czy to prawda, że nie jestem zarejestrowany i jakie są moje legalne źródła dochodu. Opowiedziałem mu o rekurencji. Odszedł. Ale niepokój pozostał.

*

Kiedy wbiegliśmy, rączka w rączkę, do gmachu sądu, ja z zadyszką i kroplami potu na czole, żona utykając i z przekrzywionym kapeluszem, najpierw okazało się, że numer sali, w której miała się odbyć nasza rozprawa, nie egzystuje. Nie przejąłem się zbytnio, bo to nie ja się chciałem rozwodzić, choć mam przez

ojca wpojone poczucie obowiązku i jak już mnie wzywają to idę. Rodzice nie mieli co prawda problemów rozwodowych, bo pobrali się kiedy już prawie kończyłem szkołę podstawową. Małżeństwo było udane, po paru latach mama została wdową i dopiero wtedy zaczęła narzekać na męża. Ale poczucie obowiązku zawdzięczam ojcu. Za każdym razem, kiedy się żenił, robił to z obowiązku.

Rozglądając się niespiesznie po zatłoczonym korytarzu, na którym obok siebie egzystowały numery: 207, 211, 212, 237, 209 i 228, zastanawiałem się, czemu ktoś po prostu nie uszeregował pomieszczeń po kolei. Ale zastanawianie się nad logiką w pałacu sprawiedliwości nie miało większego sensu, zresztą wszyscy z obłędem w oczach biegali z wezwaniami w rękach szukając swoich sal, których nie było. Prawdopodobnie był to jakiś element represji wobec osób, które wchodząc w stosunek z wymiarem sprawiedliwości już z natury rzeczy były zamieszane w przestępczość, więc należało się im.

My mieliśmy się stawić w sali 208. Takiej sali na tym piętrze nie było. Na wszelki wypadek sprawdziłem wokandę na drzwiach z numerem 209. Były tam wymienione tylko rozprawy przeniesione z sali 237. Poszedłem do sali 237. Był tam napis: Posiedzenie komisji przeniesione do sali 211. W sali 211 był napis: remont. I w tej chwili zadzwoniła komórka mojej żony.

Z rozmowy, słysząc co prawda tylko jedną ze stron, wywnioskowałem co następuje: po pierwsze, żona jest z adwokatem po imieniu. Po drugie, ona jest tą rozmową dziwnie zdenerwowana. Po trzecie, on jest dziwnie zdenerwowany faktem, że jej jeszcze na rozprawie nie ma. Po czwarte, że sala numer 208 jest na czwartym piętrze, między toaletą damską a salą 417. Pobiegliśmy.

Na podeście między trzecim a czwartym piętrem musiałem stanąć i nasprejować sobie do gardła nitroglicerynę. Żona poradziła mi, żebym się nie mizdrzył i nie poprawiał oddechu, bo z sędzią i tak się nie będę całował. Zupełnie niepotrzebnie powiedziałem, że po pierwsze nigdy nic nie wiadomo, a po drugie to może ja się chcę całować z jej adwokatem.

- No wiesz! – wzruszyła ramionami – nie jesteś w jego typie. On woli młodszych.

Ucieszyłem się, bo to oznaczało, że na pewno nie interesuje się moją żoną. Okazało się później, że nie był to dobry dzień na wyciąganie logicznych wniosków.

Pod drzwiami sali 208, na której wisiała wokanda z naszym nazwiskiem, to znaczy z moim nazwiskiem i nazwiskiem pani sędziny (imienia nie podali, no ale dlaczego niby w takiej sytuacji mielibyśmy być po imieniu?) czekał przystojny adwokat z wielką teczką. Pomyślałem sobie, że pewno ma tam dowody mojej przestępczej działalności i poczułem się tak, jakbym już był winny i skazany, a w dodatku musiał pokryć koszty sądowe. Ucałował moją żonę w rękę, popatrzył na mnie i powiedział:

- Ach, więc to pan!

Po tym nijak mi było się z nim wylewniej witać i opowiadać, że mi jest miło go poznać, bo mi wcale nie było miło.

- To jeszcze trzeba udowodnić! – powiedziałem i to musiało nam starczyć za powitanie.

- Mój mąż usiłuje być dowcipny – wyjaśniła go moja żona.

- Nie muszę usiłować. Za to ty usiłujesz być złośliwa.

- Tego ty też nie musisz usiłować.

- Ja już niczego nie muszę – poinformowałem ją ciepło.

Mecenas spoglądał na nas jak widz na meczu tenisowym i bałem się, że coś sobie zrobi w kark. Z wyrazu twarzy wyglądało, że się trochę zgubił. Protokolantka wrzasnęła na całe piętro nasze nazwisko i poinformowała, że jest to rozprawa pojednawcza w sprawie rozwodowej. Połowa tłumu spojrzała na nas z zainteresowaniem. Druga połowa spojrzała na nas bez zainteresowania. Zauważyłem kilka osób, które przed wakacjami kupowały u nas blaszaki, ale skręcał je nasz plastik, nie ja, więc może mnie nie poznały.

Zresztą, jak już wspomniałem, było mi wszystko jedno.

Weszliśmy razem, to znaczy pierwszy wepchnął się adwokat mojej żony, potem ona, na końcu pani protokolantka i ja. Przepuściłem ją w drzwiach, co widząc żona pochyliła się do adwokata. Usłyszałem słowo „lowelas”. Był młody, więc pewno nie zrozumiał, bo dziś już tak nikt nie mówi. Tylko u nas w domu,

bo żona dokładała wszelkich starań, żeby wyszukiwać coraz to nowe określenia, mogące opisać moją niegodziwość. Nie powinienem był używać określenia „u nas w domu”, bo wobec zaistniałych faktów było ono mocno niejednoznaczne.

Sędzina udała, że nie zauważyła naszego wejścia. Była zadyszana, zarumieniona i jej długie, czarne włosy opadały jej na twarz. Co chwilę niecierpliwie odrzucała je do tyłu i poprawiała okulary, uparcie patrząc w papiery. Była ładna i budziła respekt. Nie byłem przyzwyczajony do tego, żeby ładne osoby budziły respekt. Z boku stołu siadła protokolantka z pyzatą twarzą i uroczymi dołeczkami, obcięta na blond rekruta z farbowanymi włosami z pasemkami. Powinni tego w sądzie zabronić. Też była ładna, ale nie budziła respektu. Wysoki sąd spojrział na nas wreszcie i odezwał się:

- Przepraszam za spóźnienie, ale nie mogłam dojechać. Jakaś idiotka na drodze zakopała się podjeżdżając pod górę i dopiero podobno jej były mąż musiał jej pomagać... I dziwię się później, że mężczyźni wymyślają dowcipy o blondynkach...

Poprawiła odruchowo czarne włosy. Protokolantka poprawiła odruchowo zielone pasemka na żółtych włosach. Moja żona poprawiła odruchowo blond włosy. Adwokat mojej żony poprawił odruchowo rude włosy. Ja niczego nie poprawiłem, bo nie mam takiego odruchu, zresztą niewiele mam do poprawiania. Przypomniałem sobie, jak w radiu słyszałem, że krótkie włosy są symbolem zdrowia i powodzenia życiowego, oznaczają też siłę i witalność. Im krótsze, tym lepiej. Mój ojciec ołysiał w wieku 16 lat, kiedy kibitką przyjaźni wywieziono go z rodzicami na Syberię, gdzie pracował pod Tobolskiem przy wyrębie lasów państwowych. Bez czapki, bo czapek nie dawali, a jego własną mu ukradli. Przy temperaturze minus 40 stopni w słońcu. Z tym, że w lesie nie było za dużo słońca. Dopiero po wycięciu. Więc włosy miał zdecydowanie krótkie, co nie poprawiło mu samopoczucia jako symbol zdrowia, powodzenia życiowego, siły i witalności. Inna rzecz, że urodziłem się, jak miał 54 lata. Wiec może z tą witalnością nie było tak źle. Poprawiłem siwe włosy, a sędzina popatrzyła na mnie uważnie znad okularów:

- Pozwany kpiny sobie z sądu robi, tak?

- Tak, proszę pani, on tak zawsze - rzuciła moja żona – Wydaje mu się, że jest bardzo dowcipny!

- A pani wydaje się, że gdzie pani jest? – osadziła ją krótko – w maglu? Sąd nie ma się zajmować waszymi konfliktami rodzinnymi, tylko prowadzić postępowanie rozwodowe. To jest rozprawa pojednawcza, więc proszę dokonać wysiłku i próbować się pojednać. Chyba, że to jest niemożliwe. Sąd musi jednak pouczyć strony o znaczeniu podstawowej komórki społeczeństwa...

Sąd pouczał nas z drukowanej instrukcji, żona pochyliła się nad kartką, którą podsunął jej adwokat i jak mi się wydaje, zbyt znacząco się do niego uśmiechała. Ja starałem się wyłączyć i nie przejmować, w końcu nie chciałem tego rozwodu i miałem nadzieję na to, że jeszcze wszystko możemy sobie wytłumaczyć i porozumieć się. Niby mieliśmy na to przeszło dwadzieścia lat, przeszło 7 tysięcy dni i nocy, ale jakoś tak zeszło... Nigdy nie było specjalnie dużo czasu na porozumiewanie się: dzieci, praca, pieniądze, brak pieniędzy... Z nieporozumieniami nie było kłopotu – nie przypominam sobie, żeby któreś z nas kiedyś powiedziało: wiesz co, nie mam teraz czasu się z tobą kłócić, bo muszę zrobić to czy tamto... Co najwyżej słyszałem: czy ty zawsze musisz się kłócić o tej porze? przez ciebie nie będę mogła znowu spać, chcesz mnie wykończyć, umrę i będziesz miał wreszcie czas na te swoje numery...

Więc zazwyczaj mówiłem:

- Dobrze, to odłożmy to na kiedy indziej. Chciałem ci tylko wytłumaczyć, ale to pewno i tak strata czasu. Śpij smacznie!

I spała, aż furczało, a ja przewracałem się z boku na bok, zastanawiając się co zrobić, żeby proste sprawy nie urastały do rangi nierozwiązywalnych problemów, a rzeczy skomplikowane nie były po prostacku spływane...

Spojrzałem na wysoki sąd. Wysoki sąd w tym samym momencie spojrzał na mnie, stracił wątek i zaczerwienił się. Uśmiechnąłem się do niej. Napisała coś na kartce i podała protokolantce. Ta przeczytała i spojrzała na mnie. Uśmiechnęła się. Moja żona syknęła do swojego adwokata szeptem, który słyhać było pewno w Mikołajkach:

- No popatrz, jeszcze się bezczelnie uśmiecha!

Adwokat spojrział na mnie i zanotował coś na kartce, którą podsunął żonie.

- No wiesz! – oburzona odsunęła papierek.

Sędzina nie podejmowała już wątku pojednania. Spojrzała na żonę i jej adwokata i spytała:

- No, więc dlaczego państwo chcecie się rozwieść? Nie da się tego uniknąć?

- Ja wcale nie chcę, wysoki sędznie, chciałbym, żeby wszystko było jak dawniej – powiedziałem niepewnie. Chyba mi nie uwierzyła. Zresztą pytała żony i jej adwokata, z którym ona się wcale nie rozwodziła. Wręcz, zdawało mi się, przeciwnie.

- Jakby było tak jak dawniej, to by pana żona miała dalej te same powody do rozwodu, prawda?

- No to chcę, żeby było lepiej!

Znowu spojrzała na mnie ironicznie i zanotowała coś na kartce. Protokolantka spojrzała jej przez rękę i zachichotała. Zakrztusiła się przy tym gumą do żucia i mało się nie udławiła. Powagę sądu diabli wzięli. Powinni tego zabronić.

- Przejdę do porządku dziennego nad pana oświadczeniem, bo nie chcę zadawać pytania, dlaczego pan nie chciał wcześniej, żeby było lepiej.

Moja żona energicznie kiwała głową. Chyba mecz wyglądał na sprzedany. Nie mogłem liczyć na przychylność z niczyjej strony. Protokolantka też wyglądała na obrażoną. Przeze mnie pewno tu siedziała, a mogłem sobie wyobrazić z łatwością, jak lepiej mogła spędzać czas. Przez moment sobie powyobrażałem i humor mi się poprawił. Potem przypomniałem sobie mój letni domek z temperaturą plus 3 stopnie dzisiejszego ranka i jakoś nie potrafiłem sobie w nim usytuować wyobrażenia protokolantki z zielonymi pasemkami na złotych włosach. Mówił adwokat mojej żony:

- Przez przeszło dwadzieścia lat moja klientka doznawała ze strony pozwanego nieustannych upokorzeń tak w domu jak i w pracy. Podejmowane wielokrotnie próby rozmów z pozwanym nie przynosiły żadnych efektów, gdyż pozwany jak wysoki sąd widzi nie reprezentuje typu psychologicznego, z którym można byłoby rozmawiać...

Wysoki sąd się zainteresował.

- Panie mecenasie, a z jakim typem psychologicznym pana klientka byłaby w stanie rozmawiać? Jak pan to ustalił?

Rozłożył ręce jak ktoś, komu każą udowodniać, że ziemia jest okrągła.

- Z normalnym wysoki sędzie, z normalnym mężczyzną. Z takim jak ja czy pani. To znaczy, no, z normalnym!

Protokolantka znów mało nie połknęła gumy. Zastanowiłem się nad tym zjawiskiem. Jak moja żona znalazła takiego dupka? Szukała specjalnie kogoś głupszego ode mnie, a przy okazji od całego świata? Chciała dobrze wypaść na jego tle? Wysokiemu sądowi zaiskrzyło w oczach. Ładna była.

- Czy pan mecenas zamierzał obrazić sąd, nazywając go mężczyzną, czy pozwanego, sugerując, że jest on nienormalny? Ma pan mecenas jakąś obdukcję? A swoją wybujałą retorykę radzę trzymać na wodzy!

Mecenas złapał się za twarz i bąkał przeprosiny. Moja żona ujęła swoje sprawy w swoje ręce.

- Wysoki sędzie, bo to jest tak, że on zawsze miał swoje zdanie. Niezależnie od tego co ja mówiłam, to on chciał mi dać do zrozumienia, że wie lepiej, inaczej, że coś ujęłam niewłaściwie, no, robił ze mnie idiotkę. I jeśli nawet miał rację, to co mu by szkodziło, żeby jej nie wypowiedział? Przecież wiedział jak ja się czuję! Jeszcze obłudnie mówił, że on może nie mieć racji, więc niech go przekonam, on się chętnie wycofa, ale na razie jest przekonany, że jest tak i tak i musi to powiedzieć. I wychodziło na to, że ja albo nie wiem, albo wiem źle i za nic nie chcę dopuścić innego zdania. To przecież jest nieludzkie! Albo z tymi językami!

Zaczerpnęła oddechu, a mecenas skorzystał z chwili ciszy, żeby zaznaczyć swoją obecność.

- Chciałbym podkreślić, wysoki sędzie, że moja klientka jest w wysokim stopniu negatywnie pobudzona wypowiedziami pozwanego, co dowodzi, jak daleko posunął się rozkład tego nieudanego małżeństwa.

- O ile zdołałam się zorientować, pozwany milczy jak grób, więc może pańska wypowiedź odnosi się do kogoś innego. Może ma pan za chwilę inną rozprawę? – zwróciła się do mojej żony - Proszę kontynuować. Co z tymi

językami?

- Nasza firma ma liczne kontakty zagraniczne, a mój mąż powiedział, że z tych kontaktów jego zdaniem nic nie wynika, więc on się tym w zasadzie nie interesuje. Owszem, na jego komputer przychodziła większość listów zagranicznych, on je tłumaczył i przynosił do mnie, potem według moich wskazówek odpisywał. Albo i z własnej inicjatywy. Ale zawsze podkreślał, że to do niego nie należy. No i raz przyniósł mi list nie przetłumaczony. To było po jakiejś całonocnej awanturze, już nie pamiętam o co. Kiedy powiedziałam mu, że to jest po angielsku, skomentował ironicznie, że potrafi w przeciwieństwie do mnie odróżnić ten język od innych i że firma ze Szwecji zawsze pisze po angielsku, wychodząc z założenia, że szwedzkiego u nas nikt nie zna, a angielski może tak, bo tego uczą w szkołach. Zaznaczam, wysoki sędzie, że ja chodziłam do dobrej szkoły i uczyłam się francuskiego, o czym pozwany dobrze wie, bo wielokrotnie przy nim po francusku mówiłam, na przykład w Niemczech. On oczywiście też wie doskonale, że moja znajomość angielskiego jest nie za dobra...

Dostałem ataku kaszlu, ale zgromiony wzrokiem przez wysoki sąd wysmarkałem nos w chusteczkę i odwróciłem wzrok. Nie było na co patrzeć, więc patrzyłem na moją żonę. Rozkręcała się i wiedziałem, że zaraz się wyłoży. Sędzina też to wiedziała i tylko czekała na okazję. Może jednak mecz nie był sprzedany?

- No i on powiedział, że to nie jego sprawa. I że może mi to, naturalnie, przetłumaczyć, bo to dla niego pestka, ale tak dla odmiany po prostu, skoro mu za to nie płacę, żebym mu najpierw powiedziała „proszę”, a potem „dziękuję”. Oczywiście zrozumiałem, że chce mnie upokorzyć, zmusić, żebym go prosiła, bo on zna angielski, a ja nie. Więc naturalnie wyrwałam mu tę kartkę i powiedziałam, że tego się ode mnie nie doczeka. Wysoki sąd też by tak powiedział, prawda? Nie zaniedbywał żadnej okazji, żeby mnie poniżyć...

Logika jej wywodów była porażająca. I pomyśleć, że kiedyś mi to nie przeszkadzało! W końcu, nie dla jej logiki się z nią ożeniłem! No, więc dla czego? Spojrzałem na nią. Tym razem, stosownie do powagi okoliczności miała na sobie długą, obcisłą suknię, ładnie umalowane oczy i interesującą fryzurę. Kiedyś

powiedziałem jej, żeby zmieniła fryzjerkę, albo żeby fryzjerka zmieniła zakres lektur, bo kiedy od niej wraca, to wygląda jak wczesna Eliza Orzeszkowa. Obraza trwała trzy dni... Teraz, najwyraźniej, zmieniła i wyglądała jak Marina Vlady, zanim poznała Wysockiego. Z tym, że gdyby tak wyglądała Marina Vlady zanim poznała Wysockiego, to Wysocki zacząłby pić politurę.

Sąd był dociekliwy.

- No i jak się skończyło z tym listem? Poradziła sobie pani?

- Pewnie, wysoki sędzie, ja zawsze sobie poradzę! Na tym samym piętrze jest inna firma, której sekretarka, taka Krysia, też zna angielski. Poszłam i poprosiłam ją ładnie, to mi zaraz przetłumaczyła. Podziękowałam i już. Nie potrzebowałam jego łaski.

- Rozumiem – sędzina spojrzała na mnie i teraz już byłem prawie pewien, że poza kobiecą solidarnością jest na tej sali jeszcze coś innego. – Panią Krysię z obcej firmy pani bez oporów poprosiła o przetłumaczenie i podziękowała jej, a do męża to już nie przeszło przez usta...

Adwokat porwał się z ławki.

- Dodam jeszcze, wysoki sędzie, że moja klientka świetnie się orientowała w charakterze stosunków pozwanego z tą osobniczką. Pozwany utrzymywał pozamałżeńskie stosunki także i z sekretarką obcej firmy, niejaką Krystyną B., co dowodzi jego nielojalności nie tylko wobec żony, ale i wobec firmy. A mimo tego moja klientka przemogła się i poprosiła ją o pomoc, choć wysoki sąd może sobie wyobrazić, ile ją to kosztowało!

- No tak, to kosztowało „proszę” i „dziękuję”... A pan mecenas to serio o tych pozamałżeńskich stosunkach pozwanego z panią Krysią? Czy to ma być argument w sprawie? A jakby utrzymywał z sekretarką własnej firmy, to by był lojalny?

- Naturalnie, wysoki sędzie, sam ich widziałem, w hotelu „Kołowrót”, w restauracji w porze obiadowej.

- I w restauracji utrzymywał te pozamałżeńskie stosunki w porze obiadowej?

- No, jak byliśmy tam z moją klientką, to oni siedzieli razem i się uśmiechali...

- Od przeszło dwudziestu lat mi tak robił, wysoki sędzie, bez końca - wkroczyła na boisko moja żona - Nawet w noc poślubną byłby mnie zdradził z moją przyjaciółką, która była świadkiem na naszym ślubie, gdyby nie to, że oboje byli tak nietrzeźwi, że nie wiedzieli już co do czego służy... A potem było tak cały czas...

Sędzina podniosła elegancko lewą brew i bez słowa spojrzała na mnie znad okularów. Pomyślałem sobie, że zaraz mi przywali. Musiała mieć dobrze ponad 30 lat i spore doświadczenie życiowe. Ale jednak zwróciła się do żony, tonem nie wróżącym mi najlepiej.

- I pani dopiero teraz wnosi o rozwód? Ile lat państwo są po ślubie?

- Przeszło dwadzieścia pięć lat.

- No, to miała pani cierpliwość anielską. Albo jest pani bardzo tolerancyjna. I co pozwany na to? Przez ćwierć wieku sobie pan sypia z innymi kobietami i teraz dziwi się, że żona pana nie chce?

Oburzyła mnie ta stronniczość.

- A wysoki sąd jest pewien, że ona mnie nie chce? Bo ja myślę, że ona pod żadnym względem nie chce być na drugim planie, nie dopuszcza myśli, że ktoś może coś od niej lepiej robić, być ładniejszy, bardziej interesujący. A mnie to tak przy okazji dowala...

- Proszę sobie nie pozwalać! Przypominam o szacunku dla sądu!

- Tak jest. Przepraszam. Chciałem tylko upewnić sąd, że ja z żadnymi kobietami poza żoną nie sypiałem, na co mogę przysiąc.

- Jak to? Zaprzecza pan? – spojrzała niepewnie na moją żonę. Żona machnęła ręką.

- Niech pani go nie słucha, on zaraz opowie taki góralski dowcip.

Sędzina znów podniosła brew. Milczała jednak. Protokolantka na wszelki wypadek wyjęła gumę z ust i nie wiedząc co z nią zrobić, przylepiła do długopisu. Wysoki sąd zgromił ją wzrokiem. Nie opowiadałem jednak dowcipu, czekając aż narazi się moja żona. Zrobiła to po chwili, nie zrażona szeptem adwokata, radzącego jej, by przestała.

- Bo on to tak jak ten góralski chłop, który pytany przez księdza na

spowiedzi, czy spał z obcymi babami, odpowiada – zaśby, wysoki sędzie, to jest – proszę księdza, akurat by obca baba dała spać!

Protokolantka parsknęła krótko, ja uśmiechnąłem się uprzejmie, sędzina nie zareagowała, widać znała ten dowcip, żona czekała na pochwałę.

- Co pozwany na ten zarzut? – sędzina nawet na mnie nie spojrzała i coś w jej głosie kazało mi przemilczeć kwestię o który zarzut jej chodzi, spania czy niespania...

- Ja nie chciałem nikogo skrzywdzić, a już najmniej moją żonę – powiedziałem – miałem kilka przyjaciółek, ale po prostu byłem dla nich uprzejmy. I sam oczekiwałem uprzejmości i sympatii.

Żona pochylila się do adwokata, ten przekonywał ją, by siedziała cicho, sędzina wyglądała na zmęczoną. Protokolantka odlepiła gumę od długopisu i z powrotem wsadziła do buzi. A ja przypomniałem sobie zarzut sprzed kilku miesięcy, kiedy to żona stwierdziła, że ja lecę na te panienki tylko dlatego, że się do mnie słodko uśmiechają, komplementują mnie i mówią to, co ja chciałbym usłyszeć. Zastanowiłem się przez chwilę i przyznałem jej rację.

- Człowiek ma taką ułomną naturę, że woli uśmiech od skrzywionej gęby i komplementy od przygany.

- No właśnie – przyznała mi wtedy rację – mówią ci, że jesteś zdolny, kochany, miły, przystojny i pewno najlepszy w wielu sprawach. One ci po prostu kłamią.

- Ale to miłe - zachnąłem się - a ty czemu tak nie kłamiesz?

Sędzina wróciła do papierów.

- Czy powódka podtrzymuje pozew?

Wstał adwokat.

- W całej rozciągłości. Uważamy wraz z moją klientką, że nastąpił trwały rozkład pożycia małżeńskiego, a pozwany nie rokuje żadnej nadziei na resocjalizację, to jest, chciałem powiedzieć, na poprawę, zwłaszcza z uwagi na jego wiek przedemerytalny.

- Powódka nie przyjmuje postępowania pojednawczego?

- Niestety, nie ma takiej możliwości.

- A pan pozwany? – zwróciła się do mnie.

- Uważam, że zarzut trwałego rozkładu pożycia małżeńskiego w obliczu mojego wieku przedemerytalnego jest mocno spóźniony. W świetle tego co powiedział pan mecenas, w tej sytuacji winę ponosi biologia, a nie mój charakter. Ja już nie prowadzę pożycia ze względu na wiek, prawda? Więc i zarzuty zdrady są albo nietrafione, albo przesadzone.

- Jak to nie prowadzisz pożycia? – żona po raz pierwszy zwróciła się oburzona wprost do mnie, lekceważąc powagę sądu. – On kłamie, proszę wysokiego sądu! On jest do wszystkiego zdolny! Przecież jeszcze miesiąc temu...

- Te osobiste kwestie może powódka uzgodni z pozwanym poza salą sądową, pan mecenas niewątpliwie pomoże. Pan się zgadza na rozwód?

- W żadnym wypadku. Mimo wszystko kocham żonę i uważam, że więcej nas łączy niż dzieli. I wszystko da się naprawić, czego chęć deklaruję.

- Zanotowaliśmy. Termin następnej rozprawy wyznaczam za trzy miesiące. Strony zostaną powiadomione na piśmie.

Wszyscy wstaliśmy, sędzina z protokolantką wyszły do pokoju obok. Ładnie tak razem wyglądały, całkiem różne i w różny sposób bardzo ładne. Żona nie oglądając się na mnie wyszła z adwokatem. Zacząłem się zbierać i wtedy zobaczyłem, że wysoki sąd zostawił na stole torebkę. Już zacząłem się zastanawiać, czy pozwanemu wypada wchodzić do pokoju sędziowskiego z informacją o torebce, kiedy drzwi się otworzyły i wysoki sąd wrócił. Był w jasnej garsonce, dość krótkiej, eleganckich kozaczkach i jasnej bluzce, na której ładnie rozsypywały się rozpuszczone włosy. Nie był specjalnie wysoki, ten sąd. 167 cm, jak się później dowiedziałem.

- Mogę pana podzucić, jeśli wraca pan zaraz do domu. Zorientowałam się z dokumentów, że mieszkam niedaleko pana. Nie powinnam tego robić, ale humanitaryzm polskich sądów jest powszechnie znany...

*

Ciężko się było przyzwyczaić. Mogłem, oczywiście, czytać książki albo oglądać telewizję. Antenę satelitarną założyłem zaraz po tym, jak wynajęliśmy domek, bo zwykła telewizja docierała z trudem.

Sąsiedzi, którzy chcieli korzystać z sieci napowietrznej, stawiali na podwórkach dziesięciometrowe tyczki z antenami. Trochę śnieżyło, często się na skutek wiatru rozstrajało, ale ogólnie oglądać się dało. Mogli poprawiać, bo mieli dużo wolnego czasu, jako że prawie cała wieś była na bezrobociu, dzięki strukturalnym zwolnieniom. Za sanacji wszyscy pracowali na polu i najmowali się u okolicznego dziedzica. Za komuny zostali chłoporobotnikami w fabryce butów w mieście albo zatrudnili się przy budowie tamy na niewielkiej rzeczce, która miała dostarczyć prądu do pobliskiej kopalni węgla brunatnego, która z kolei dostarczała paliwa elektrowni, która zasilala maszyny, budujące tamę na rzece. Przyszedł kapitalizm, dzięki któremu wszyscy dostali do domów paszporty i uwolniono handel tudzież rachunek ekonomiczny. Handel zaczął sprowadzać tanie i dobre buty z Włoch. Robotnicy w fabryce butów zastrajkowali i zażądali od rządu, żeby zakazał importu włoskich butów i nakazał kupowanie butów lokalnych. Rząd się nie ugiął, podobno brał łapówki od włoskiej fabryki i robotnicy nadal strajkowali. Trwało to tak długo, że się przyzwyczaili i w ogóle nie zorientowali się, że strajkowanie świetnie rozwija handel włoskimi butami, bo na rynku polskie buty zanikły skutkiem braku produkcji. Fabrykę zlikwidowano, robotnicy zakończyli strajk w dniu, w którym zaczęto wypłacać odszkodowania za zwolnienia.

Praca na budowie tamy skończyła się w momencie wybudowania tamy i uruchomienia elektrowni. Związek zawodowy, co prawda, ogłosił pogotowie strajkowe i domagał się kontynuowania budowy, ale do zorganizowania pikiety nie doszło, bowiem święto z okazji zakończenia budowy objęło wszystkich pracowników i ich rodziny, praktycznie wyłączając z życia całą wieś na kilka dni. Zgodnie zresztą z miejscową tradycją: wesele - kac - poprawiny - kac. Potem okazało się, że zlikwidowana została kopalnia węgla brunatnego oraz elektrownia na węgiel brunatny. Pierwsza z powodu braku zapotrzebowania na węgiel brunatny ze strony elektrowni. Druga, z powodu zakończenia budowy tamy i uruchomienia elektrowni wodnej. Elektrownia wodna zaraz po uruchomieniu została zamknięta z powodu zamknięcia kopalni węgla brunatnego, przez co zapotrzebowanie na prąd spadło do zera. Wieś czerpała energię z sieci

państwowej, która korzystała z elektrowni na węgiel kamienny, który sprowadzano z Rosji oraz Zimbabwe i na Śląsku przeładowywano na pociągi wiozące go do elektrowni, które zasilają kopalnie niepracujące z powodu nieopłacalności, a których załogi wciąż strajkowały, żądając zaprzestania importu z Rosji z powodu przegranych powstań: listopadowego, styczniowego i warszawskiego oraz z Zimbabwe pod hasłem ochrony czarnego człowieka przed białym człowiekiem eksploatującym czarne złoto.

Władze gminy postanowiły więc zachęcić do inwestowania w rozwój infrastruktury turystycznej na brzegach sztucznego jeziora, powstałego po wybudowaniu tamy i tym sposobem dać zatrudnienie przynajmniej części ludności wsi. Niestety, nie było chętnych do podjęcia inwestycji z racji faktu, że w najbliższej okolicy było już osiem naturalnych jezior, których turyści na razie nie odkryli z powodu położenia na uboczu dobrych dróg.

I wtedy przydały się paszporty.

Z prawie każdej rodziny jedna lub dwie osoby wyjechały za granicę do pracy. Do Ameryki, do Austrii albo do Włoch. Dlatego było mi łatwo wynająć za stosunkowo niewielkie pieniądze domek nad jeziorem. Właściciele gospodarstwa postanowili się wynieść do Ameryki. Wcześniej wybudowali drugi dom, licząc na to, że będzie on służył do wynajmowania turystom, którzy przyjadą nad jezioro. Ale brzegi jeziora, którego tafla stale zmieniała swoje położenie, nie nadawały się do budowy przystani wodnych, czy choćby mola, przynajmniej w granicach wsi. Więc turyści nie przyjechali, a gospodarze wyjechali. Pozostali dorośli poszli na bezrobocie. I dlatego mieli dużo czasu na poprawianie położenia anten i oglądanie telewizji. Ja nie miałem czasu, bo musiałem pracować. Więc założyłem antenę satelitarną. Tyle, że nie miałem czasu oglądać. Bo albo pracowałem, albo kłóciłem się z żoną. Nie wypada się kłócić, oglądając telewizję. Kłócenie się było podstawą naszego życia, bez telewizji dało się żyć. Więc nie oglądaliśmy.

Teraz nie miałem się z kim kłócić, ale znacznie więcej czasu zajmowały mi sprawy organizacyjne i dojazdu. I do tego ciężko było się przyzwyczaić. Co prawda, wynajawszy letni domek, zaopatrzyliśmy go w bieżącą wodę,

kanalizację, łazienkę, kominek i prąd elektryczny, bo lubiliśmy prymityw pod warunkiem, że był luksusowy, ale jednak domek był przeznaczony do wykorzystywania w czasie temperatur dodatnich. Tak jak nasz fiat, którym teraz jeździła moja żona – ogrzewanie działało w nim najlepiej w środku lata. Ale nie mogłem się przyzwyczaić do zimna. Tłumaczyłem sobie, że ojcu na Syberii było gorzej, ale on miał wtedy 16 lat, kochającą rodzinę i psa. Ja miałem tylko piecyk gazowy, który kupiłem w GS-ie, pół komórki węgla i zepsuty piec w kuchni. Dawno już trzeba było wezwać zduna, ale latem, jak piec dymił, to po prostu otwierało się szeroko okna i drzwi. Zimą jakoś ten pomysł podobał mi się mniej, zresztą nie miałem doświadczenia, bo nigdy przedtem nie zimowałem w domku letnim. Na szczęście ochładzało się powoli, więc powoli się przystosowywałem. Aż któregoś weekendu mróz zelżał i zaczął padać śnieg.

Siedziałem i pisałem właśnie kolejny list do żony, przekonując ją do tego, że po pierwsze, nie jestem taki najgorszy, po drugie – jeszcze się mogę przydać, a po trzecie – że robi swoim postępowaniem krzywdę nie tylko mnie, ale i sobie, no i naszemu prawie dorosłemu młodszemu dziecku, z którym przecież sama nie da rady się dogadać. I nagle zrobiło się ciemno. Za oknem było gęsto od sypiącego śniegu, pies sąsiadów wył i błyskało się. Usiłowałem sobie przypomnieć, co na temat piorunów w zimie mówią ludowe mądrości, ale nie przypominałem sobie. Włożyłem drugi sweter i wstawiłem wodę na kuchenkę elektryczną. Po raz siódmy w tym tygodniu jadłem kluski z serem i postanowiłem przed końcem weekendu pozmywać. W zlewie leżało siedem płytkich talerzy, siedem widelców i siedem miseczek po serze. Z powodu temperatury mogłem być spokojny, że naczynia są wolne od zarazków, ale nie wiedziałem, czy zarodniki bakterii nie mają wystarczającej odporności, żeby przetrwać. Nie wyobrażałem sobie chorowania w takich warunkach.

Na jednopalnikowej kuchence elektrycznej, w której źródłem ciepła jest spirala, podgrzanie garnka wody trwa bez końca. Miałem więc czas zastanowić się nad sobą. Czy aby przypadkiem nie popełniłem gdzieś jakiegoś błędu i czy błędu tego nie można było uniknąć? Po dłuższym czasie zastanawiania się doszedłem do wniosku, że popełniłem same błędy. Poczynając od wyboru

kierunku studiów, który co prawda usytuował mnie w gronie elity intelektualnej, ale wśród pariasów finansowych, a wcześniej jeszcze może w ogóle poczynając od podjęcia decyzji o studiowaniu w ogóle. Dokonałem szybkiego przeglądu znanych mi – osobiście czy z mediów – osób, których status finansowy, czy ogólnie – materialny tudzież życiowy był lepszy od mojego – i żadna z tych osób nie miała lepszego wykształcenia ode mnie. Z wyjątkiem pewnego doktora psychologii, który jednakże miał żonę po zawodówce odzieżowej i oboje starannie ukrywali swoje wykształcenie, prowadząc firmę budowlaną. Był jeszcze jeden profesor, który jeździł jaguarem i miał dom z basenem nad naszym jeziorem, ale po pierwsze i tak był to profesor nadzwyczajny, po drugie w dziedzinie agrotechniki, ze specjalizacją w inseminacji, po trzecie prowadził agencję towarzyską dla zwierząt. Obrażał się, kiedy tak mówiono, bo często udzielał wywiadów w telewizji i pokazywał tabliczkę, informującą, że zawiaduje Zwierzęcym Biurem Matrymonialnym „Animals’ Happiness”. Był człowiekiem medialnym i kiedyś pokazali go nawet w informacjach telewizji ogólnopolskiej, na tle kochającej się pary rotweilerów-morderców. Mnie w telewizji pokazaliby pewno chyba dopiero wtedy, gdybym sam kochał się z rotweilerem-mordercą.

Drugim błędem życiowym było przyjście na świat w rodzinie inteligenckiej w drugim pokoleniu. Jakbym był inteligentem w pierwszym pokoleniu, to rodzice sprzedawaliby od czasu do czasu trochę gruntu, albo nielegalnie ubijałoby jałówkę, szło by mi lepiej i punkt startu miałbym wyżej. Jakbym był inteligentem w szesnastym pokoleniu, to miałbym duże szanse na koneksje z Radziwiłłami i mimo, że Sienkiewicz wstrętnie ich obsmarował w „Potopie”, to w drodze rewindykacji mógłbym odziedziczyć jeśli nie majątek to biżuterię rodową, albo rodzinę zagraniczną z własnym zamkiem nad Loarą, albo przynajmniej smoking lub – jeśli rodzina była niepaląca – to bibliotekę, lub, w ostateczności urodę, która w połączeniu z nazwiskiem pozwoliłaby mi zarabiać albo w filmie, albo w reklamie, albo w firmie polonijnej w czasach, kiedy w firmach polonijnych można było zarabiać. Tymczasem dziadek ślusarz z jednej strony, a kolejarz z drugiej nie dawali profitów nawet w czasach zaawansowanego komunizmu. Tata księgowy niczego nie załatwiał w kwestii punktów za pochodzenie. Mógłby załatwić mi

korepetycje z matematyki, ale wcześniej umarł, nie doczekawszy hańby, jaką była dwójka na półroczu w miesiąc po jego pogrzebie.

Trzecim nieodwracalnym błędem życiowym było małżeństwo. Trzeba mi było nie żenić się z kobietą wykształconą, a więc biedną, inteligentną (w drugim pokoleniu, niestety...), ładną, zgrabną i dobrą, a co najgorsza – wyrozumiałą. Gdybym miał żonę Ksantypę, to po pierwsze mógłbym zostać Sokratesem, a po drugie – wszyscy by mnie rozumieli i wybacжали moje postępowanie. A tak nie miałem na co liczyć.

Nie miałem też co liczyć na ciepłą wodę, podgrzaną na elektrycznej maszynie, jako że od dłuższego czasu nie było prądu, czego najpierw nie zauważyłem, bo ze względów oszczędnościowych nie paliłem światła. Błędem było zlekceważenie sprawy kaflowego pieca w kuchni, który po siedemdziesięciu latach eksploatacji odmówił współpracy. Poszedłem spać brudny, w zlewku było nie pozmywane, w dodatku w środku nocy obudziło mnie światło świecące prosto w oczy, ale nie była to niespodziewana wizyta mafii parczewskiej, tylko nie osłonięta abażurem lampa na drucie, zwisająca z sufitu w pokoju. Abażur zepsuł się wkręcając żarówkę, a świeciło, bo o trzeciej nad ranem włączyli prąd. Dzięki czemu w nocy śniła mi się Krystyna Janda w „Przesłuchaniu”, a rano okazało się, że mam w garnku trochę ciepłej wody. Za mało, żeby pozmywać czy się umyć, ale wystarczająco dużo, żeby się garnek, kuchenka i cały domek nie spalił. Jak sobie uświadomiłem, że w zasadzie uratował mnie tylko przypadek, to zrobiło mi się gorąco, mimo szronu w kapciach. Przeszło mi, jak czekałem na autobus.

Rozprawa pojednawcza nie poprawiła atmosfery w pracy. Nasz niewielki zespół bezstronnie kibicował rozpadowi naszego małżeństwa, uważając, bez orzekania o winie, że słusznie się to nam należy. Ci, którzy zawdzięczali pracę i karierę mojej żonie cieszyli się jej kłopotami, ci zaś, którzy jako moi przyjaciele zarabiali pieniądze dzięki mojej działalności – mieli nadzieję, że sprawy ułożą się dla mnie jak najgorzej. Mało kto myślał, że jak tak dalej pójdzie, to zajęci naszą prywatną wojną przestaniemy się zajmować firmą. I będą musieli zaczynać od początku, to jest od Urzędu Zatrudnienia. Na szczęście miałem nienormowany

czas pracy, a żona nie miała do mnie żadnych spraw, poza sprawą rozwodową, więc mogłem zakrzętnąć się wokół swoich problemów. Głównym problemem był dymiący piec, więc postanowiłem się zająć piecem.

Ponieważ pracowałem w firmie komputerowej, więc zacząłem poszukiwać zduna w Internecie. Znalazłem Zduny koło Kalisza, Zduńską Wolę koło Sieradza i moją profesor historii sztuki Marię Zduniak. Nie poprawiło to sytuacji mojego pieca. W „Panoramie Firm” i lokalnej książce telefonicznej też nic nie znalazłem i wtedy pomogła mi sprzątaczką, która przysłała wziąć na makulaturę wydruki mojej pracy programistycznej z zeszłego tygodnia. Ona miała podobny problem – ponieważ w nieczynnym piecu jej mąż trzymał piwo, więc kiedy zepsuły się drzwiczki i upiło się do nieprzytomności ich dwoje pięcioletnich bliźniaków – trzeba było naprawić. Drzwiczki, nie bliźniaki. Mąż sprzątaczką, kiedy już wojskowym pasem odreagował na bliźniakach stratę, którą poniósł, zabrał się do naprawy i zamontował nowe drzwiczki. Ale pieca sam by postawić na nowo nie dał rady. Więc wziąłem adres sklepu, w którym kupił drzwiczki do pieca. Bo tymi akcesoriami handlował zdun.

Poszedłem do żony, żeby pożyczyć od niej mój samochód. Miała w gabinecie konferencję ze swoim adwokatem, który w międzyczasie awansował na radcę prawnego naszej firmy. Sekretarka zablokowała mnie przed drzwiami, więc zatelefonowałem. Dowiedziałem się, że żona ma względem naszego samochodu inne plany, zatem poszedłem na piechotę. Było nawet niedaleko, tylko od sprzedawczynie dowiedziałem się, że zdun mieszkał na drugim końcu miasta, tym mniej odsnieżanym. Z każdym krokiem robiło mi się cieplej, ale jednocześnie coraz bardziej traciłem oddech. Kiedy obejrzawszy kilkanaście wystaw pokonałem wreszcie swoją wieńcówkę, postanowiłem zacząć chodzić na basen. Podczas ostatniego badania kardiologicznego, kiedy zaprzyjaźniony lekarz jeszcze interesował się moim zdrowiem, poradził mi, żebym jeździł na rowerze, kupił sobie dres i trampki i biegał po lesie lub dwa razy w tygodniu pływał przez co najmniej dwie godziny. W ostateczności żebym uprawiał ostry seks. Przed rozprawą rozwodową pomyślałem, że powołam go na świadka obrony. Ale potem przypomniałem sobie, że nie jestem o nic oskarżony.

Na rower ciągle jeszcze nie było mnie stać. Trampki źle sprawdzałyby się przy minus 20 stopniach, a w dresie wyglądałbym jeszcze grubiej niż bez dresu. Więc postanowiłem chodzić na basen.

Jednak droga do zduna nie była po drodze na basen.

Kiedy dotarłem na zasypane śniegiem osiedle, okazało się, że zdun wyprowadził się w zeszłym tygodniu do nowego domu, na drugim końcu miasta. Z tym, że miałem szczęście, bo jeszcze nie miał uruchomionego centralnego ogrzewania i tymczasowo przemieszkiwał u syna. Syn prowadził sklep z wyposażeniem do pieców. Ten sam, z którego właśnie szedłem. Wróciłem do centrum miasta. Syna zduna nie było w domu. Ale był zdun.

Poczekalem chwilę w salonie, bo synowa nie chciała teścia budzić z poobiedniej drzemki. Wreszcie wszedł w wytwornej bonzurce, z amarantowym fontaziem pod szyją, zawiązanym pod kołnierzykiem nieskazitelnie białej koszuli. Przeprosił, że musiałem czekać. Czekanie zresztą miało się przedłużyć, bo syna zduna nie było, a to on miał w laptopie wpisane wszystkie terminy rodzinnego biznesu. Żeby nam się nie dłużyło, poczęstował mnie półwytrawnym bordeaux. Białym. Nie pijam w zasadzie przed zachodem słońca, ale byłem w potrzebie, więc wypilem. Nie mogłem u zduna siedzieć do zachodu słońca.

Zdun miał, jak bez żenady się przyznał, 83 lata i był ostatnim zdunem w okolicy. Pochodził ze Lwowa i naprawdę ze wzruszeniem wspominał te piękne, lwowskie piece, które stawiał zanim weszli Niemcy, potem Sowietci, potem znowu Niemcy, a potem sowieccy Ukraińcy. Sowietci nie lubili zduna, bo był prywatną inicjatywą. Na skutek perturbacji historycznych nigdy nie nauczył się czytać ani pisać, ale klął biegle po polsku, niemiecku, rosyjsku, ukraińsku, słowacku i węgiersku. No i nadal stawiał piece, z tym, że tylko w domkach letniskowych. Najchętniej na surowym korzeniu – to znaczy najpierw budowano piec, a potem, wokół niego, resztę domu. Ponieważ był na emeryturze, więc formalnie przedsiębiorstwem kierował jego syn.

Syn zduna przyszedł po chwili, wyciągnął laptopa i sprawdził terminy. Z zawodową ciekawością patrzyłem, z jaką łatwością obsługiwał „Lotusa” – okazało się, że ukończył technikum budowlane i kilka kursów, w tym

komputerowy. Zdun zamówień miał tyle, że pierwszy wolny termin był w czerwcu. Jednak z uwagi na fakt, że mój dziadek pracował w lwowskim węźle kolejowym, a moja teściowa we Lwowie spędziła dzieciństwo – zdun postanowił wcisnąć mnie poza kolejką. Uzgodniliśmy, że piecem zajmiemy się w okresie przedświątecznym, kiedy to zjedzie ze stolicy wnuk zduna, będący asystentem na romanistyce w Warszawie. We trzech mieli machnąć mi piec w dwa dni. Ze wstydem przyznałem się do tego, że na razie nie dysponuję samochodem. Syn zduna machnął ręką.

- Nie ma problemu. Mamy dwa do pracy i moja żona jeden na zakupy. Wojtuś uwielbia prowadzić mercedesa, bo do Warszawy mu nie dajemy, żeby mu nie ukradli. Tam jeździ na uczelnię autobusem, więc jak tylko przyjeżdża do domu, to sobie odbija. Pan tylko zakupi wcześniej u mnie w sklepie wszystkie materiały, my je już dowieziemy sami.

Dziadek – lwowiak wypytał mnie dokładnie gdzie to piec ma być stawiany, po czym powiedział:

- Nie będziemy dużo bałakać, ino tam u siebie na wsi pójdiesz pan na lewo od kościoła w stronę jeziora i tam pan znajdziesz starą, nieużywaną cegielnię. Weź pan jakie sanki czy co i wieczorkiem podgrandzisz pan ze 30, no, może 40 szamotek. Leżą tam na półkach, nie wypalone, bo cegielnia splajtowała. A bez gliny nie da się. A taki to będzie wszystko.

Ukradłem szamotkę przy pomocy sąsiada, od którego poszedłem pożyczyć sanki. Zaprzągnął konia i po wieczornym nabożeństwie pojechaliśmy do cegielni. Mało gliny już zostało, bo zaopatrywała się tu cała wieś. Schowałem w garażu, bo mój samochód stał prawdopodobnie pod chmurką w mieście, przed blokiem żony albo jej adwokata.

Przyjechali w tygodniu przedświątecznym – zdun w czarnym garniturze pod krawatem, syn w džinsach i modnym swetrze z golfem, wnuk w dresie z napisem „NBA Premier League Radzymin”. Zaparkowali pod drzwiami garażu, zapewne wyczuwając szamotkę. Akurat jadłem śniadanie w kuchni, więc zgodzili się poczekać, aż pozmywam. Włączyłem im telewizor. Dziadek palił cygaro. Syn wpisywał do laptopa raport tygodniowy w Excelu. Wnuk czytał *Historię Manon*

Lescaut i kawalera des Grioux księdza Prévosta w oryginale. W telewizji był serial o drapieżnych kotach. Dziadek wspominał Szczepcia i Tońcia. Posprzątałem i wzięli się do roboty.

Po dwóch dniach nowy piec był gotowy, stare kafle sąsiad koniem wywiózł do lasu w sąsiedniej wsi, a sadze pokrywały równą warstwą nie tylko całą moją kuchnię, ale i podwórko o powierzchni 1,4 hektara. Ponieważ zerwał się wiatr, śnieg zaczął się czernić prawie w całej wsi. Wyszło słońce i podgrzało czarne, śnieg pod spodem się stopił i sadze spłynęły na pobocze. Wieczorem zaczęło sypać znowu. W Wigilię było jak przedtem.

Nowy piec, jak przedtem stary, też dymił i umieszczenie w nim na przykład płonącego papieru było najpewniejszym sposobem na jego zgaszenie. Zdun powiedział, że nie ma cugu, bo komin jest zatkany. Przetkać musi koncesjonowany kominiarz. Syn zduna powiedział, że muszą już lecieć, bo trzeba kupić prezenty. Wnuk zduna otrzepał się z sadzy na dywan i powiedział, że przy choince na pewno piec pociągnie, bo przy choince wszystko się poprawia. Za robotę zapłaciłem zgodnie z wcześniejszą umową 1100 złotych. Za materiały ze sklepu syna zduna zapłaciłem 2670, z VAT-em. Syn zduna powiedział, że mogę sobie to odliczyć od podstawy opodatkowania, więc na pewno mi się opłaci. Za dojazd i koszty delegacyjne zapłaciłem 1500, poza rachunkiem. Z uwagi na fakt, że bez pieca nie przetrzymałbym zimy, też powinno mi się opłacić.

Wieczorem przyszedł sąsiad, pokręcił głową i zakasawszy rękawy, drutem przetkał wylot kominowy, następne kłęby sadzy wyleciały na podłogę, ale nie robiło to już różnicy. Piec pociągnął jak złoto, buchnęło jak w Sarajewie i zapaliły się sadze w kominie. Straż pożarna mówiła potem, że chwała Bogu, że to nie było w nocy, bo spaliła by się cała wieś, przeważnie zresztą murowana, więc oceniłem, że przesadzili. A tak skończyło się tylko na kawałku mojego dachu. Sąsiad założył mi folię. Nad ranem skończyłem sprzątać, powynosiłem w kąt podwórka ostatnie kubły sadzy i przysypałem świeżym śniegiem. Wokół, mimo nocy, było biało, czysto i wesoło. Ogień błyskał pod płytą, temperatura po raz pierwszy tej zimy przekroczyła plus 10 stopni, więc ocierałem pot z czoła. Ponieważ tego dnia szło mi tak dobrze, więc wziąłem odpowiednie narzędzie i poszedłem do lasu ukraść

choinkę.

Tak w zasadzie to dwa dni wcześniej poszedłem do leśniczówki, żeby dostać zezwolenie na legalne wycięcie choinki w moim własnym lesie. Dokładniej, w lesie należącym do właścicieli mojego domku. Myślałem, że to najprostsza droga. Leśniczy Majewski siedział za biurkiem i stukał w kasę fiskalną. Nie była podłączona do prądu. Powiedział mi, że się uczy i nie chce marnować papieru, bo oszczędza drzewa, ani prądu, bo oszczędza w ogóle. Przedłożyłem moją prośbę w kwestii choinki, która rosła w moim lesie i chciałem ją ściąć zgodnie z prawem. Zawsze byłem legalistą. Więc wymyśliłem sobie, że powinienem dostać na drzewko asygnatę. Myślałem, że to najprostsza droga. Ale nie było druków asygnat.

- Pan wytnie, a ja później wypiszę! – podpowiedział leśniczy Majewski.

- A jak policja mnie złapie, to co ja zrobię?

Zastanowił się.

- Nie wiem. Nie było jeszcze takiego przypadku.

- To niech pan mi napisze taką zgodę, na kartce, z pieczęcią.

- Nie mogę – rozłożył ręce – mogę tylko na asygnacie. Ale nie mam asygnat, bo od pół roku nie przywożą. Niech pan wytnie, nic się nie stanie. Albo niech pan kupi sztuczną.

Sztuczną miałem w dawnym domu, bo naturalna osypywała się od ciepłych kaloryferów. W domku letnim zdecydowanie nie powinna się osypywać, więc nie chciałem sztucznej.

- Dobrze, panie Szymonie. To ja wytnę nielegalnie. Nie powinni się czepiać, co?

Majewski wzruszył ramionami. Stukał staccato w klawisze kasy fiskalnej. Wyglądało, że nie interesuje go legalność mojej choinki. Po dwóch dniach wahań poszedłem nocą do lasu.

Mimo, że był środek nocy, w lesie panowało niezwykle ożywienie. Już na szosie koło przystanku autobusowego zauważyłem kilka parkujących aut, stały też dwa konne wozy, pilnowane przez prawie dorosłą córkę sąsiada. Pomyślałem, że o drugiej w nocy stanowczo powinna już być w łóżku. Przez moment nawet

pomyślałem, że w moim.

- Co tu robisz o tej porze? – zareagowałem pedagogicznie.

- Pasę konie – odpowiedziała. Rzeczywiście, przykryte derką siwki pogryzały w zadumie owies z worków, uwieszonych u szyi - Pan siądzie, to pokażę.

Podziękowałem, nie miałem czasu na oglądanie tego co mi chciała pokazać, bo przyszedłem ukraść choinkę. Poszedłem w kierunku dobiegającego z lasu gwaru i świecących światełek. Niedaleko od głównej przecinki na niewielkiej polanie płonęło ognisko. Grupa sąsiadów ze wsi przytupywała dookoła, popijając z jednego kieliszka. Każdy trzymał w ręku butelkę coca-coli na zagrychę. Obok w stercie leżały wycięte choinki. Starsi śpiewali kolędy, młodszy Kaję i Bregovicia. Powitano mnie z sympatią. Zaraz dostałem butelkę coli i napełniony kieliszek.

- Wesołych Świąt! – zaryzykowałem, przepijając do sąsiada z prawej.

- Dla was też, panie! Niech wam się darzy!

Dolałem z podanej mi butelki i przekazałem szkło.

- Po choinkę przyszedłem – wytłumaczyłem się niepotrzebnie – nie zdążyłem kupić, zresztą nie miałbym jak przywieźć. Ale gdybym wiedział, że tu taka impreza, wziąłbym choć kiełbaskę do pieczenia.

Odsunęli się ode mnie.

- Jakoz to, panie! Dy przecie Wigilia, post! Dziośiok się nie zakansza!

Miałem w kieszeni kurtki owinięty w gazetę tak zwany bukwelek, czyli ostrze piłki do metalu, ale sąsiedzi ubiegli mnie i dwoma uderzeniami siekierki wycięli mi piękną choinkę. Protestowałem nieśmiało:

- Ale, panowie, dziękuję, właśnie szedłem do naszego lasu, a tak – to komu jestem winien?

Ten, co mi przyniósł drzewko, machnął ręką.

- Nic pan nie jest winien. To z państwowego. Na zdrowie, niech się darzy!

Córka sąsiada i sąsiad podwieźli mnie wozem pod sam domek. Minął nas patrol policji, szukający nielegalnego wyrębu choinek. Nawet się nie obejrżeli. Rano zasnęłem i zacząłem ubierać drzewko dopiero koło południa. Miałem kaca i nie chciało mi się jeść. Bombek i światełek nie miałem, więc zacząłem wiązać

na sznurkach cukierki i wycinać z papieru ozdoby, które zamalowywałem kolorowymi flamastrami. Wata, wyciągnięta z płatków kosmetycznych, które moja żona wyjeżdżając w pośpiechu zostawiła, udawała śnieg. I wtedy zadzwoniła moja córka.

- Wesołych Świąt! Może byś tak do nas przyjechał na Wigilię?

- Do jakich „nas”? – zapytałem ostrożnie.

- No, do mnie i do mamy. Do domu.

- Uzgodniłaś to z mamą, czy to twoja własna inicjatywa?

- Oj, nie komplikuj. Rozmawiałam z mamą i ona się zgodziła. Więc przyjeżdżaj. Na piątą. To na razie, muszę iść zabijać karpia!

W moim domu rodzinnym karpia zawsze zabijała moja mama. Łapała go za ogon, wyławiając z wanny, chlastała łbem o kafelki, a potem ćwiartowała nożem. Krew musiałem zmywać ja. Nie znoszę ryb od maleńkości. Potem moje dzieci nauczyły się od babci. My z żoną na moment rytualnego morderstwa przedświątecznego wychodziliśmy po zakupy. Kiedy zaproponowałem, żeby zrezygnować z żywego karpia na rzecz gotowych filetów, żona zaprotestowała:

- Chciałbyś, żeby samemu sobie rączek nie brudzić? Ale i tak ktoś tego karpia zabija, przed zrobieniem filetów też - i tak nie ty, więc kupowanie filetów to hipokryzja, a nie humanitaryzm.

- Filet nie zajmuje mi wanny – próbowałem się bronić.

- Jesteś egoistą, ponieważ ty nie lubisz ryb, to i my mamy nie jeść?

Córka też nie lubiła karpi, a jeszcze bardziej niż ja lubiła siedzieć w wannie. Więc mściła się na karpniu.

Pomyślałem, że to zaproszenie na Wigilię jest może pretekstem, dzięki któremu uda się naprawić wszystko to, co zepsuło się w naszej rodzinie. I może od teraz będziemy już naprawiać.

Ogoliłem się, ubrałem odświętnie i w ostatniej chwili zdążyłem na mikrobus. Wracali nim do miasta poszukiwacze choinek i wędkarze, którzy pod krą łowili świąteczne rybki. Byłem jedynym trzeźwym pasażerem i tylko ja nie śpiewałem kolęd. Ale było mi wesoło, choć nadal czułem się niewyspany. Odmówiłem poczęstunku. Jeszcze tego by brakowało, żeby żona przy pierwszym od dwóch

miesiący powitaniu poczuła ode mnie wódkę.

Wysiadłem pod bankomatem. Musiałem podjąć pieniądze i kupić prezenty. Miałem, co prawda, jeszcze sto złotych, ale miało mi to starczyć do Nowego Roku na dojazdy – żyłem teraz dość skromnie, zresztą wydatków miałem mało. Ale chciałem kupić coś sympatycznego, co mogłoby usposobić do mnie przychylnie żonę, a córce wyrazić wdzięczność za zaproszenie – nie wątpiłem, że wigilijne spotkanie było jej inicjatywą.

Wsadziłem kartę, wstukałem pin, zażądałem 500 złotych. Bankomat wypuł kartę z napisem „brak wystarczających środków na koncie. Zapraszamy ponownie”. Wsadziłem ponownie kartę, wstukałem ponownie pin, zażądałem 400 złotych. I znów moja prośba została odrzucona. Zmniejszyłem swoje ambicje do stu złotych. Wszystko odbyło się tak samo z tą różnicą, że bankomat nie oddał mi karty, a jedynie wydrukował napis:

Wprowadziłeś niewłaściwy pin, posługujesz się cudzą kartą lub konto zostało zastrzeżone. Po odbiór karty zgłoś się z oryginałem umowy do siedziby swojego banku. Przez plecy zajrzał mi ochroniarz.

- Jakiś problem?
- Bankomat zatrzymał mi kartę. Coś niedobrego się dzieje z moim kontem.
- To proszę ze mną.

Dyskretnie, ale stanowczo ujął mnie pod rękę i poprowadził do dyżurki. Bankomat znajdował się w holu banku. W środku wprawnie wykręcił mi ręce do tyłu i skuł kajdankami. Przed kasami stali bezrobotni po zasiłek. Połowa z nich mnie znała, bo ostatnio organizowałem dla nich kurs komputerowy. Wszyscy się kłaniali. Nie wiedziałem, czy mam się im odklaniać, zresztą kajdanki utrzymywały mnie w pozycji dość sztywnej. Po minach widziałem, że mają mnie za bufona. Ochroniarz zamknął za mną drzwi i poprosił o dokumenty. Nie miałem nic, tylko kartę bankomatową, aktualnie uwięzioną w maszynie. Zadzwoił po policję. Przyjechali w 10 minut. Na szczęście dowódca patrolu też się u mnie szkolił, więc potwierdził moją tożsamość, a poniekąd także i uczciwość. Pozwolono mi podejść do okienka i poprosić o wyjaśnienie stanu mojego konta. Okazało się, że dwa dni wcześniej ktoś podjął wszystkie pieniądze, aż do granicy

kredytu debetowego. Na koncie nie było nic. Jeśli nie był to złodziej, to konto wyczyściła moja żona. Rozumowanie było proste – w razie rozwodu będziemy musieli spłacić zaciągnięty kredyt po połowie. Wydatków już dokonanych sąd wstecz nie podzieli, zresztą jak bym mógł udowodnić, że to nie ja wyjąłem pieniądze?

Puścili mnie, kiedy powiedziałem o toczącym się postępowaniu rozwodowym. Okazało się, że to powszechna praktyka. Po kartę miałem się zgłosić po świętach. Zobaczyłem znajomego, który odchodził od okienka z plikiem banknotów.

- Cześć, słuchaj, jest taka sprawa... mam zablokowane konto i do pierwszego nie mam szans na jakiegokolwiek pieniądze. A muszę kupić prezenty, i w ogóle jakoś przeżyć. Mógłbyś mi pożyczyć pięć stówek?

Pospiesznie schował pieniądze do portfela.

- Jasne, tylko... Widzisz, jutro tak, ale nie dzisiaj. Dziś jest Wigilia. W Wigilię nikomu nie można niczego pożyczać, bo to przynosi pecha.

Moje sto złotych na dojazdy pozwoliło na kupno dwóch drobiazgów u taniego jubilera. W znajomej kwiaciarni na kredyt wzięłem doniczkę z sadzonką bambusa. Sprzedawczyni powiedziała, że jest to teraz najmodniejsze i bezwzględnie przynosi szczęście, w każdym razie jeszcze nikt nie przyszedł do niej z reklamacją, że bambus szczęścia nie przyniósł.

Z lekkim portfelem i ciężkim sercem wchodziłem na trzecie piętro naszego bloku. Mieszkaliśmy tu przeszło dwadzieścia lat. I po raz pierwszy szedłem do swojego domu jako zaproszony gość. Na szczęście nikt mnie nie spotkał na schodach. Pachniało smażoną rybą, cebulką do pierogów i świeżym ciastem. Zza drzwi dobiegały kolędy. Szedłem wolno, na każdym półpiętrze łapiąc oddech. Mogłem zażyć nitroglicerynę, ale nie chciałem przed samym sobą wyjść na słabiaka. Zresztą po tym zawsze boli głowa. Zadzwoiłem do drzwi. Otworzyła żona.

Wyglądała na zaskoczoną, ale jak się okazało – wiedziała, że przyjdę. Udając, że wszystko jest w porządku pocałowałem ją w policzek i powiedziałem:

- W Wigilię mężczyzna powinien wejść pierwszy do domu, to przynosi

szczęście.

- Wiem – skinęła głową – dlatego poprosiłam, żeby Janusz zajrzał tu rano. Przyniósł sałatkę.

- Przepraszam, kim jest Janusz? Czyżbym coś przegapił?

- Poznałeś go. To mój adwokat.

Rozejrzałem się, ale w korytarzu nie stały żadne obce buty, a na wieszaku wisiało tylko jak zwykle sześć kurtek i płaszczy córki i futro mojej żony, które od dawna nie mieściło się w jej szafie. Zresztą nie nosiła go z powodów ekologicznych – odkąd w Ottawie oblali jej kuzynkę farbą w kolorze odchodów wielbłąda, nosiła tylko futro sztuczne. Prawdziwego używała do pokrywania podłogi, kiedy mieli przyjść ważniejsi goście. Uważała to za bardzo snobistyczne. Ja nie, ale ja miałem alergię na prawdziwe włosy. Kaszlałem nawet w łóżku, będąc do żony odwrócony przodem. Zdaje się, że mi to przyszło dopiero w drugim dwudziestoleciu naszego małżeństwa. Organizm człowieka strasznie się z czasem zużywa. Żona traktowała to jako akt agresji z mojej strony. Nie powiedziałem jej, że kaszel napada mnie w łóżku także w towarzystwie innych osób. Nie przypuszczałem zresztą, żeby to był dobry argument.

Wyszła ze swojego pokoju córka i kiwnęła mi głową na znak, że mnie poznaje.

- Jak chcesz, to możesz się rozebrać w moim pokoju – powiedziała. Na twarzy miała maskę pośmiertną z plasterkami ogórka. Wyglądała dość intrygująco. – W twoim nie ma miejsca.

Odruchowo otworzyłem swój pokój, spodziewając się zastać tam ukrytego adwokata. Nie miałby szans. Wszystkie krzesła i biurko zajmowały moje książki, to znaczy takie, które mojej żonie wydawały się zawsze zbyt ciężkie. Na środku stała suszarka z przedświątecznym praniem. Zdjąłem płaszcz i powiesiłem jako ósme okrycie na wieszaku w korytarzu. Spadł od razu, więc zwinąłem go w kłębek i położyłem na części, przeznaczonej na parasole.

- Ślubny garnitur? – spytała żona z odcieniem zdziwienia w głosie.

- Nie mam rozwodowego, są pewne kłopoty z naszym kontem, jakoś dziwnie wyszło... – powiedziałem i jeszcze zanim skończyłem, doszedłem do wniosku,

że nie zabrzmiało to najdowcipniej. – Mogę położyć prezenty pod choinką?

- O, ja już od ciebie dostałam prezent – powiedziała zgryźliwie – Zawsze dbałeś o moje dobre samopoczucie przy pomocy kolejnych pańienek albo po prostu mówiąc takie złośliwości jak teraz. Dziękuję bardzo, wszystko to możesz położyć pod choinkę.

Wyobraziłem sobie Agatę, opakowaną kolorowym papierem i przewiązaną wstążką, leżącą pod moją choinką w domku letnim. Widywałem ją już w różnych miejscach i różnych sytuacjach, ale ta wydała mi się wyjątkowo fascynująca. Ale nadmiar wyobraźni szkodzi, bo po chwili wyobraziłem sobie równie świątecznie opakowanego mecenasa pod choinką mojej żony. Agata pewno właśnie smażyła karpie w swoim domu dla swojej licznej rodziny. Gotowała tak dobrze jak nikt. O rodzinie mecenasa nic nie wiedziałem. Położyłem prezenty pod choinką. Dla mnie nic nie było. Żona zauważyła moje spojrzenie.

- Takiego prezentu, jakbyś chciał, niestety nie mogę ci dać. Panienka nie byłaby zainteresowana przyjściem na naszą wigilię. A czymś innym byś się pewno nie ucieszył.

- Och, proszę cię! – poprosiłem – doskonale wiesz, że dla mnie największym prezentem byłoby, żeby wszystko było tak jak dawniej...

- Kiedy dawniej? Jak z kim mnie zdradzałeś?

Córka wyszła z łazienki. Masczkę miała zmytą, ale włosy całe w wałkach.

- Moglibyście w wigilię chociaż przestać?

- Ja chciałem jak najlepiej.

- O, tak, ty zawsze chcesz jak najlepiej – ironizowała żona - Tylko kiepsko ci wychodzi. Albo ja jestem za głupia, żeby to docenić. Muszę iść do kuchni.

Pomyślałem sobie, że rzeczywiście kiepsko mi to wszystko wychodzi. Wszedłem do pokoju i usiadłem przy stole, bo na łóżku jakoś mi się nie widziało. Nie włączałem telewizora, bo chyba w Wigilię nie wypadało. Żona trzasnęła drzwiami od kuchni, po chwili poczułem smażoną rybę. Zrobiło mi się niedobrze – od wczoraj nic nie jadłem. Z pokoju córki dolatywała muzyka „Guns’n’Roses”, śpiewających *White Christmas*. Było świątecznie. Poszedłem do łazienki. I wtedy zadzwoniła moja komórka.

Telefonowała Agata. Po raz pierwszy od dwóch miesięcy, i to akurat wtedy, kiedy byłem w łazience swojej żony.

- Miło cię słyszeć. Wszystkiego dobrego na święta! I chciałabym cię prosić, żebyś teraz do mnie przypadkiem nie dzwonił, bo mam dom pełen gości i ktoś mógłby usłyszeć. A co u ciebie, wszystko w porządku?

- Tak, oczywiście. Przyjechałem do domu na Wigilię. A może po świętach zadzwonisz?

- Jak będę miała czas. No, to jeszcze raz wszystkiego, pa!

Żona stała pod drzwiami łazienki i uśmiechała się. Nie wyglądało to ładnie.

- Jeszcze ciągle się kryjesz z komórką w łazience? Możesz ze swoimi panienkami rozmawiać już swobodnie, choć wolałabym żebyś to robił poza moim domem. Jesteś żaloszny, wiesz?

Chciałem sprostować, że jak na razie to jest też mój dom, ale dałem sobie spokój, z tym sprostowaniem byłbym jeszcze bardziej żaloszny. W tej chwili zadzwoniła jej komórka. Zamknęła się z powrotem w kuchni. Wróciłem do pokoju i siadłem w fotelu pod choinką. Nie wyglądałem zbyt świątecznie. Chyba zasnąłem.

Wreszcie zasiedliśmy do stołu, który pomogłem przynieść z kuchni. Każde z nas od lat miało przy wigilijnej kolacji swoje miejsce i swoją rolę – ja wygłaszałem życzenia, żona rozkładała jedzenie i przestrzegała kolejności dań, córka rozdawała prezenty. Wziąłem opłatek i podałem wszystkim, po czym podszedłem do żony.

- Życzę tobie i nas wszystkim, żeby spokój wrócił do naszego domu i żebyśmy znów potrafili się wszyscy kochać.

Odłamała opłatek, nadgryzła.

- Wszyscy? Ze wszystkimi twoimi panienkami? A spokój do mojego domu wróci wtedy, kiedy ty wreszcie stąd wyjdiesz i nie wrócisz. Mam nadzieję, że to nastąpi już niebawem.

- Mamo! – krzyknęła córka – jak możesz!

Złożyłem córce życzenia, żeby w szkole szło jej jak najlepiej i żeby miała w przyszłości szczęśliwy dom. Odsunąłem krzesło.

- Podobno w Wigilię nawet zwierzęta mówią ludzkim głosem. Ale to bywa dopiero o północy. Ja nie mogę tak długo czekać, bo mi autobus ucieknie.

- Tato! – krzyknęła córka – przestań!

- Już przestaję – powiedziałem i poszedłem do korytarza, gdzie wzięłem mój pognieciony płaszcz. – Wesołych Świąt! – rzuciłem, nie kierując życzeń specjalnie do nikogo.

Zrobiło się późno. Pierwszej gwiazdki nadal nie było widać, za to z gęstych chmur zaczął znów padać śnieg. Na dworcu zorientowałem się, że ostatni autobus odszedł dwadzieścia minut temu. Postąłem potem dobrą godzinę na przystanku mikrobusów – powinienem mieć jeszcze ze dwa transporty na moją wieś. Ale w wigilię nic nie jeździło. Ulice pustoszały, w oknach setkami lampek świeciły choinki. Niestety, nie robiło się od tego cieplej. Pomaszerowałem na dworzec kolejowy.

Pociąg do mojej wsi co prawda nie dochodził, ale przejeżdżał o trzy kilometry dalej. Z rozkładu jazdy wynikało, że wyjeżdżał z miasta dopiero piętnaście minut po pierwszej. Była zima, więc należało liczyć, że się spóźni. Dochodziła dziewiąta. Miałem sporo czasu, z którym nie było co robić.

Dworzec był pełen. W poczekalni stał długi stół, zrobiony z prostych desek umieszczonych na drewnianych kozłach, pokryty grubą ceratą. Stało na nim kilkanaście misek, jednorazowe plastikowe talerze z rybami, koszyki chleba i woda mineralna. I opłatki. Wokół siedziało przeszło dwadzieścia osób – brudnych, nieogolonych mężczyzn w kurtkach i swetrach i brzydkich kobiet, okutanych chustami, w podartych jesionkach. Krzątał się wokół nich ksiądz, którego znałem, bo uczył religii w liceum córki. Kłóciła się z nim bez końca o interpretację pisma i dogmatów. Mówiła, że chce iść na teologię, żeby zostać księdzem, kiedy już Watykan się zgodzi na kapłaństwo kobiet. Było to równie prawdopodobne jakby mówiła, że zostanie matematykiem. W tej sprawie na szczęście Watykan się nie wypowiadał. Chciała po prostu uzasadnić swoje kłótnie. Ksiądz ją lubił. Był świętym człowiekiem. Teraz prowadził wigilię dla bezdomnych.

Stałem pod ścianą. Byłem za dobrze ubrany, za bardzo ogolony, no i nie

byłem bezdomny – miałem 3-pokojowe mieszkanie w mieście, obecnie zajmowane przez moją żonę i córkę oraz dom letni, obecnie nie zajmowany przez nikogo, bo uciekł mi ostatni autobus. Siadłem pod ścianą, jak podróżny, czekający na pociąg. Zmęczony, zacząłem drzemać. Zauważył mnie ksiądz, podszedł i poprosił do stołu. Przysiadłem się, ktoś podał mi opłatek i życzył wszystkiego najlepszego.

- I żebyś odzyskał dom...

I tym gronie było to życzenie jak najbardziej na miejscu. Uściskałem nieznanego, po czym dyskretnie sprawdziłem, czy jeszcze mam portfel. Miałem, ale przypomniałem sobie, że w tym portfelu najcenniejszą i prawdę powiedziawszy – jedyną rzeczą, jaką miałem, była fotografia żony i córki. Pieniądzy nie miałem – wydałem wszystko na drobiazgi jubilerskie i bambus, który miał nam przynieść szczęście. Jak na razie, odnosiłem wrażenie, że inwestycja była nietrafiona. Pewno dlatego, że kupiłem go na kredyt. Szczęście na kredyt mnie daje szczęścia, jak widać.

Po jedenastej, kiedy wszyscy zaczęli trochę przysypiać, ksiądz poszedł do domu. Mówił mi, że kazał sobie nagrać Kevina, bo w tym roku go jeszcze nie oglądał i się za chłopcem stęsknił. Uważam, że takie wyznanie, zwłaszcza przed północą w Wigilię, było niestosowne. Kolędy zamilkły, bezdomni ułożyli się na ławkach, przedtem zlikwidowawszy stół wigilijny. Patrol policji wszedł po cichu i nie zrobił na nikim większego wrażenia. Ponieważ nie wyglądałem na bezdomnego, więc to właśnie mnie poprosili o dokumenty. Nie miałem, ale dowódca zauważył, że już drugi raz tego dnia się spotykamy. Opowiedziałem im, że uciekł mi ostatni autobus i jeszcze ponad godzinę muszę czekać na pociąg, w dodatku nie mam pieniędzy na bilet.

- Wie pan co... – zastanowił się kapral, który kończył u mnie kurs komputerowy – spokojnie jest, Wigilia... My tu mamy radiowóz, to pana podrzucimy, co będzie pan w święto tłukł się pociągiem na gapę, i potem jeszcze piechotą... A tam u was nie jest bezpiecznie – dodał tajemniczo.

Popatrzyłem na niego, zdziwiony.

- No wie pan, w Wigilię to nawet policja mówi ludzkim głosem... -

wytłumaczył mi.

Przypomniało mi się to samo powiedzenie sprzed paru godzin i zacząłem wyobrażać sobie, jak to przebiegła dalej Wigilia w moim domu, pierwsza beze mnie. Odwróciłem się i wytarłem nos.

- Zimno dzisiaj, chyba katar złapałem.

- To jedziemy, w domku pan się wyleczy.

Żeby nie komplikować, nie wspominałem mu, że w domku, w którym nie było mnie prawie cały dzień, temperatura pewno nie przekracza plus 5 stopni. W drugim domu, w którym nie dokończyłem wigilii, grzeją co prawda kaloryfery, ale i tam raczej bym się nie ogrzał. Pojechaliśmy.

Po dziesięciu kilometrach na poboczu zaśnieżonej szosy zobaczyliśmy unieruchomiony samochód i machającą na nas sylwetkę ludzką. Kaprał dał po hamulcach, trochę nas zarzuciło, ale opanował wóz. Obok policyjnego poloneza pojawiła się kobieta z mocno niepewną miną.

- Panowie, nie mogę jechać dalej, od godziny tu macham. Chyba benzyny mi zabrakło...

Policjanci spojrzeli na siebie.

- Nie zatankowała pani?

- Stacja nieczynna, a ja od paru dni na rezerwie. No i zabrakło.

- I nikt pani nie pożyczył? Nikt się nie zatrzymał?

Wzruszyła ramionami.

- W Wigilię? Nikt nie pożyczy, bo to przynosi pecha. Zresztą wszyscy się spieszyli na święta.

- Już po północy, dolejemy... Tylko dla formalności, dokumenty pani proszę.

Zdjęła kaptur, podczas gdy kaprał oglądał jej prawo jazdy. Dwaj pozostali policjanci dolewali jej benzyny z kanistra. I wtedy ją poznałem. Kaprał oddał jej dokumenty i zasalutował.

- Pani sędzia powinna wozić mały kanisterek ze sobą, to nie zajmuje dużo miejsca, a w takich sytuacjach pomaga. A skąd to o tej porze?

- Na Wigilii byłam, u rodziców...

Wysiadłem z radiowozu.

- Podrzuć mi jeszcze raz?

Po pierwszej byliśmy na miejscu. Siedzieliśmy w grubych swetrach przy kominku, podgrzewając się piecykiem gazowym i czerwonym winem. Opowiedziałem jej o Wigili.

- Może nie powinnam tego słuchać, w końcu prowadzę twoją sprawę. Co więcej, uważam, że ona, twoja żona, ma dużo racji. W końcu sama jestem po rozwodzie. Ale jednego nie rozumiem. Dlaczego ty tu siedzisz, a nie w swoim skądinąd mieszkaniu? Dopóki sąd nie postanowi inaczej, masz do niego takie samo prawo, jak ona. Może cię nie wpuścić do łóżka, ale do domu musi. Nawet jakby zmieniła zamki, to masz prawo wejść z policją. W końcu masz tam swój pokój, nie?

Zastanowiłem się. Jakoś nie wyobrażałem sobie siebie, wyważającego drzwi we własnym mieszkaniu przy pomocy policji.

- Wiesz... Ja tak nie lubię się kłócić!

Zasnęliśmy, gdy już świtało.

*

Mogłoby się wydawać, że zostawszy samemu w domku na wsi będę umierał z nudów i tęsknoty za tymi, których kochałem, a którym w końcu okazałem się niepotrzebny. Tak kończą się wszystkie nie oparte na faktach mity – konfrontacja z rzeczywistością ujawnia ich najslabsze ogniwa. W tym przypadku moje wyobrażenie o sobie jako kimś kochającym i kochanym szeroko i powszechnie diabli wzięli raz na zawsze po kilku pierwszych dniach, kiedy to okazało się, że nikt do mnie nie dzwoni, nikt nie odczuwa potrzeby spotkania ze mną. A miałem tyle wolnego czasu i tyle wolnego miejsca! No, ale z drugiej strony nikt mnie nie kontrolował, nie stał za drzwiami, nie podsłuchiwał, nie sprawdzał, nie obserwował co robię! Nikt... Do tego słowa w moim otoczeniu nie byłem przyzwyczajony.

Ja też nie bardzo miałem do kogo dzwonić i nie miałem komu użalać się na swoją sytuację. W końcu, sam byłem jej winien i po prostu ponosiłem konsekwencje swojego postępowania. Gdy się gra, trzeba liczyć się z ewentualnością przegranej i konsekwencjami tego faktu. Zadzwoiłem kiedyś do

syna, prosząc go, żeby porozmawiał ze swoją matką. Liczyłem, że jako dorosły człowiek będzie umiał docenić, co dla niego może znaczyć trwałość rodziny. Nie zrozumiał mnie.

- Przecież nie umieramy, nie? Mogę kontaktować się i z tobą i z mamą, nie? Nie zabroni mi tego, nie? A poza tym najwyraźniej się wam nie układało, to chyba tak jak teraz jest lepiej, nie?

Zgodziłem się dla skrócenia rozmowy. W końcu szło to z mojej komórki. Nie umiałbym zresztą wytłumaczyć, że z tym układaniem i nie-układaniem to nie jest tak prosto.

Z wolnym czasem na ewentualne życie towarzyskie to też nie było tak. Nigdy przedtem nie zdawałem sobie sprawy, że proste czynności życiowe, gdy trzeba je wykonywać codziennie, będą aż tak nużące. No, bo gdy znajomi przyjeżdżają w niedzielne popołudnie i dumny gospodarz domku letniskowego rozpala dla nich pod stodołą grilla, to wszyscy się bardzo cieszą, z gospodarzem na czele. Ale gdy tego grilla trzeba rozpalać codziennie, żeby nie dostać zapalenia płuc, oszczędzając przy tym węgiel i bez podpałki, w dodatku na dworze jest minus dwadzieścia i żeby się dostać do stodoły po drewno, trzeba odszuflować ze śniegu dwadzieścia metrów ścieżki, a każdy ruch powoduje zadyszkę – to już nie jest takie radosne.

I ten codzienny survival zajmuje strasznie dużo czasu. Tak, że na tęsknotę i smutek zostaje już tylko tych kilka minut przed zaśnięciem, kiedy już człowiek przestaje się trząść z zimna pod lodowatą kołdrą, a wypity na rozgrzewkę koniak jeszcze nie skleja powiek.

Po świętach, których raczej nie zaliczylibym do specjalnie udanych, nadeszły spokojniejsze dni. Słońce pokazywało się coraz częściej i na coraz dłużej, w przeciwieństwie do pługu śnieżnego, w efekcie czego droga przez wieś stała się przejezdna. Autobusy i mikrobusy jeździły w miarę regularnie, wystarczyło tylko złapać odpowiedni rytm i dało się żyć. Pobudka o 5.30. Niezbędne czynności życiowe i gospodarskie, staranne zamknięcie drzwi i wszystkich kłódek i można było już iść na przystanek, na autobus o 7.15. Przyjeżdżał zwykle o 7.30, po godzinie był już na dworcu w mieście. Przez ten czas można było podrzemać,

albo przeprowadzić niezobowiązującą rozmowę z sąsiadem - rzadziej sąsiadką - na temat pogody, ostatnich nowości telewizyjnych czy dowcipów. Z tego wszystkiego najmocniej czułem się w pogodzie. Telewizyjnych wiadomości nie oglądali moi sąsiedzi, biorąc wiedzę o świecie z zupełnie innych źródeł, ja nie oglądałem seriali, a miejscowych dowcipów nie bardzo rozumiałem. Zresztą w turkocącym mikrobusie, mającym na liczniku co najmniej 300 tysięcy rozmawia się w ogóle słabo, a pointy wypadają na wybojach.

Na dworcu śniadanie w barze, golenie i mycie w toalecie, gdzie była ciepła woda i marsz do firmy. O 18 zaczynałem wracać do domu. Z powodów zasadniczych nie mogłem brać udziału w szkoleniach, organizowanych przez firmę wieczorem. Eksperyment z dojeżdżaniem nocnym nie powiódł się nawet w wigilię. Żona trochę sarkąła, ale kiedy powiedziałem, że w takim razie będę nocował w mieszkaniu, które ona nazywała swoim domem, ale które w połowie należało do mnie – przestała. Powiedziała, że musi to rozwiązać inaczej. Myślałem, że chodzi o siatkę zajęć kursowych. Myliłem się.

Zaraz po świętach udało mi się załatwić założenie osobnego konta, na wszelki wypadek w innym banku. Przed grudniową wypłatą przyniosłem zostawić w sekretariacie upoważnienie do przekazywania moich poborów na to właśnie konto. Sekretarka, która jak wszyscy w firmie wiedziała jak sprawy się mają, popatrzyła na mnie uważnie i spytała:

- Jesteś pewien, że dobrze robisz?

- Muszę mieć z czego żyć – wzruszyłem ramionami.

- Obyś miał! – schowała papierek. Życzyła mi dobrze, najwyraźniej.

Przegapiłem to.

W styczniu rozpoczynaliśmy organizację kursu dla jakichś stowarzyszeń rolniczych. Miałem zakontraktowane wykłady na temat kilku programów, których obsługa była potrzebna rolnikom jak dziura w młockarni, ale grantodawca z Unii Europejskiej tego wymagał. Miałem też zlecenie na opracowanie specjalistycznej bazy danych dla Miejskiego Ośrodka Kultury, więc liczyłem na większą gotówkę i nie chciałem do niej współników. Zwłaszcza, że znajoma z punktu dilerskiego fiata zaproponowała mi na korzystne raty kupno używanego

seicento. Raty były tym korzystniejsze im więcej wpłaciłbym na dzień dobry. Własny samochód rozwiązałyby połowę moich kwestii życiowych.

Parę dni po Nowym Roku po powrocie z pracy zastałem w skrzynce pocztowej awizo na list polecony. Miałem go odebrać na poczcie w mieście.

Listonosz w naszej wsi na co dzień był pracownikiem poczty w mieście. To znaczy, między 8 a 16 pracował jako magazynier Urzędu Pocztowego, po czym brał torbę przesyłek do nas i wieczorkiem roznosił. Ubrałem się i poszedłem do niego, licząc, że skoro mnie nie zastał, to list ma przy sobie. Mieszkał na drugim końcu wsi. Siedział i oglądał telewizję. Listu nie miał.

- W ogóle go nie wziętem z rozdzielni, wiedziałem, że pana nie będzie, bo widziałem, że pan przechodził koło poczty, kiedy ja już wyjeżdżałem do domu. Więc wróciłem i zostawiłem w okienku. Pan sobie odbierze jutro jadąc do pracy.

Nie rozumiałem.

- A nie pomyślał pan, że ja tu przyjdę odebrać?

- I tak nie mógłbym panu wydać, bo zostawiłem awizo. Na nim jest napisane, że pan musi sobie odebrać na poczcie. To zostawiłem na poczcie. A tak, jakbym panu teraz dał, to jutro mógłby pan pójść na pocztę i zażądać listu, który by pan już wcześniej odebrał. I poczta by miała przeze mnie problem. Prawda, proszę pana?

Rozumowanie było prawidłowe. Choć po co miałbym próbować odbierać list już odebrany tego nie wiedziałem. Listonosz też nie wiedział, ale wolał się zabezpieczyć. Odebrałem idąc rano do firmy. Było to wypowiedzenie umowy o pracę. Zapisalem się na rozmowę do żony na najbliższy wolny termin, czyli na popołudniu. Uważałem, że jest zdecydowanie nie fair przekładanie spraw osobistych na zawodowe. Przyjęła mnie w obecności swojego adwokata, który był także radcą prawnym firmy.

Nie przywitałem się.

- Nie możesz mnie zwolnić bez powodu, niczego złego nie zrobiłem dla firmy. Wiesz, jakim ważnym działem kieruję!

Kierowałem działem szkolenia i do mnie należało organizowanie działania firmy na zewnątrz. Współpracowaliśmy z Urzędem Zatrudnienia robiąc kursy dla

bezrobotnych, instruowaliśmy pracowników większości komputeryzujących się firm, szkoliliśmy nauczycieli i osoby prywatne. To przynosiło firmie największe zyski. Powiedziałem to. Adwokat sięgnął do teczeki.

- Pana informacje są nieaktualne. Po Nowym Roku podjęliśmy decyzję o reorganizacji firmy. Dział szkolenia ulega likwidacji. Jego kompetencje przejmą poszczególni pracownicy. W związku z tym dla pana miejsca w firmie już nie ma. Być może kiedyś...

- Ale przecież byłem nie tylko kierownikiem, pracowałem jako programista...

- Twoje zlecenia przejmie Tomek – wyjaśniła moja żona - A poza tym, z tym nie robieniem niczego złego... Mam na ten temat inne zdanie. Nie chcę już tego przedłużać, ale czy wykorzystywanie miejsca pracy i służbowego sprzętu do celów prywatnych nie jest czymś nagannym? Wiesz dobrze o czym mówię!

Wiedziałem. Kilkakrotnie zauważyła, jak rozmawiałem na Gadu-Gadu, pisałem też e-maile do prywatnych osób. Pewno o sam fakt nie miałyby pretensji, ale zazwyczaj zauważała tylko to, że gdy ona wchodziła do pokoju, ja klikałem na opcję „Wyślij” i list znikał. Interpretowała to jako ukrywanie korespondencji ze strachu przed nią. Myślała, że koresponduję z panienkami. Dobrze myślała. Ale nie przeszkadzało mi to w normalnej pracy. Panienki w ogóle w niczym mi nie przeszkadzały, wręcz przeciwnie. Z tym, że tego zwykle żonie nie mówiłem.

- Nie dasz się przekonać, że zwalnianie mnie w przededniu rozpoczęcia dużego projektu jest działaniem na szkodę firmy?

- To ja oceniam, co jest dobre dla firmy!

Przez miesiąc miałem być w okresie wypowiedzenia, a potem fiu! Marzenia o własnym samochodzie i profitach wynikających z prowadzenia kursu dla rolników diabli wzięli. Nie wiem, czy to nie przybiło mnie bardziej niż sprawa rozwodowa. Pojechałem do domu i pierwszy raz upiłem się „do lustra”. Nie zauważyłem, że w nocy przyszła śnieżycą. Zasnąłem. Rano, kiedy się obudziłem, sypało dalej. Nie mogłem otworzyć drzwi na podwórko. Wyszedłem oknem i chciałem się odśnieżyć, ale łopata była w garażu. Garażu nie mogłem odśnieżyć, bo łopata była w środku. Poszedłem pożyczyc do sąsiada. We dwóch odkopaliśmy

garaż, wyjąłem łopatę i odkopałem drzwi. W międzyczasie w domu z powodu otwartego okna zrobiło się minus trzy, a pod oknem utworzyła się zaspą. Zacząłem kaszleć. Sąsiad poradził mi herbatę po góralsku, a poza tym mogłem śmiało dać sobie spokój z odkopywaniem, bo ogłoszono stan klęski żywiołowej i nic nie jeździło, łącznie z pługami odśnieżnymi.

Zrobiłem sobie herbatę po góralsku, z tym, że w domu nie było herbaty, bo wyszła. Więc po prostu podgrzałem wódkę i zmieszałem z sokiem malinowym. Ścięło mnie z nóg. Chciałem zadzwonić do pracy, że nie przyjdę, ale zauważyłem, że komórka się wyładowała, a ładowarkę zostawiłem w pracy. Zresztą zrobiło mi się wszystko jedno – jak mnie nie chcą, to nie. Na drugi dzień padało dalej, a ja miałem zapalenie płuc.

I wtedy właśnie w firmie wyłączyli prąd, bo nie przypomniałem żonie, żeby poleciła sekretarce zapłacić w elektrowni. A ponieważ bez usprawiedliwienia nie przyszedłem do pracy, więc otrzymałem kolejne pismo z wypowiedzeniem – teraz dyscyplinarnym. Ze skutkiem natychmiastowym. Tym razem listonosz mi je przyniósł, bo drogę odkopali i mógł pojechać do pracy. Wszedł bez pukania, jak to zwykle tu się robi. Nie było zamknięte. Leżałem w łóżku z temperaturą prawie 40 stopni w nieopalanym pokoju. Wezwał karetkę i znalazłem się w mieście w szpitalu. Myślałem, że umrę z gorąca – dostałem łóżko koło kaloryfera. Marzyłem, żeby zmarznąć i kiedy odzyskałem przytomność, poprosiłem pielęgniarkę, żeby mnie przeniesiono na korytarz, a na moje miejsce dali kogoś ważniejszego. Pomyślała, że bredzę w malignie i wezwała ordynatora oraz księdza. Ordynator dał mi piramidon, bo miał. Ksiądz dał mi dobrą radę, żebym tu chorował aż do wiosny. Też znał moją sytuację, bo to był ten katecheta mojej córki na etacie liceum i kapelan bezdomnych, mieszkających na dworcu, na etacie MOPS-u. Ośrodek pomocy społecznej, zwłaszcza miejski, powinien mieć lepszy skrót. Współczuł mi. Powiedziałem, że ja bardziej współczuję jemu obu jego etatów. Ucieszył się i chciał mi udzielić abszolucji ze zniżką. Podziękowałem i powiedziałem, że zaczynam zdrowieć na samą myśl.

Po paru dniach doszedłem do jakiejś takiej formy i napisałem pozew do sądu pracy, gdyż wyrzucając mnie zbyt pośpiesznie złamano kilka przepisów. Po

pierwsze, zwalniając mnie w normalnym trybie powinni zrobić to w ostatnim dniu miesiąca – a nie dziesiątego. Po drugie w piśmie o zwolnieniu dyscyplinarnym nie było informacji o przysługującej mi procedurze odwoławczej. Adwokat mojej żony stanowczo nie był wart swoich pieniędzy. Pielęgniarka, która wysyłała mi pismo do sadu, powiedziała, że na pewno wygram, bo ona ma dobrą rękę. Procesowała się ze szpitalem o podwyżkę i wygrała 203 złote. Więc i ja na pewno wygram. Co prawda pielęgniarka wygrała jako związek zawodowy i dopiero przed Sądem Najwyższym po dwuletniej procedurze, ale zawsze. Z tym, że nie dostała pieniędzy, bo szpital nie miał. Nie miał, bo Kasa Chorych nie przewidziała w preliminarzu. Kasa Chorych nie przewidziała w preliminarzu, bo szpital nie przewidział w budżecie. Szpital nie przewidział w budżecie, bo nikt nie przewidział, że Sąd Najwyższy przyzna pielęgniarkom rację. Ale pieniędzy nie przyznał, bo nie miał - sądownictwo jest kiepsko opłacane. Pewno dlatego Ania nosiła takie krótkie spódniczki, żeby zaoszczędzić. Zresztą w pracy i tak miała togę do ziemi. Pielęgniarka przychodziła do mnie na nocne dyżury i opisywała, jak wyglądał jej strajk głodowy, w czasie którego przytyła pięć kilo, bo głodowała rotacyjnie. Przed głodówką nie dojadła systematycznie. Udowadniała na swoim przykładzie, że nawet głodówka po pewnym czasie sprzyja metabolizmowi. Miło się gawędziło, ale do czasu. Po dwóch tygodniach niestety wyzdrowiałem i ze zwolnieniem lekarskim w ręce poszedłem do firmy. Potrzebowałem tej ładowarki. Nikt nie wiedział, że jestem chory, prawdę powiedziawszy nikt nie zainteresował się moją nieobecnością – koledzy myśleli, że się obraziłem, żona nie wiedziała, że mnie nie ma, córka chwilowo nie miała do mnie żadnego interesu. Zresztą nawet jakby chcieli, to byłoby ciężko im mnie znaleźć – jedyny kontakt ze mną stanowiła komórka, obecnie wyładowana. Zostawiłem zwolnienie, zupełnie zbytecznie, bo i tak byłem wyrzucony, zabrałem swoje rzeczy i wróciłem na wieś.

Pogoda się ustabilizowała na niskim poziomie i codziennie trochę padało. Było minus 10 czy coś koło tego. Ponieważ w szpitalu odwiedził mnie raz listonosz, który poczuwał się do zainteresowania, bo uratował mi życie, więc za jego pośrednictwem przekazałem sąsiadowi klucze i informację, kiedy wracam. Poprosiłem, żeby mi napalił w piecu.

Na pewno to zrobił, tylko nie mogłem się o tym przekonać, bo sąsiada nie było. Nie było także moich kluczy, ani nikogo z całej jego licznej rodziny, nie licząc psa. Ten, niestety, był. Zdążyłem z podwórka sąsiada wyskoczyć z powrotem przez płot, co było nie lada wyczynem, zważywszy na mój wiek, stan i dwutygodniowy pobyt w szpitalu. Uważam, że narzekania na służbę zdrowia są przesadzone. Tylko do leczenia powinni dodawać adrenalinę. Albo psa sąsiada. Czekałem tylko pół godziny, aż wrócili z kościoła. Kościół na mojej wsi jest centrum życia społecznego, a miejscowa społeczność spotyka się tam co najmniej dwa razy dziennie. Wrócili traktorem. Kiedy już upolowali psa, zaprosili mnie na kawę. Podziękowałem, bo chciałem się położyć. Kawy na wsi nie pijam, podobnie jak herbaty. Na wsi można pić tylko wódkę, ale byłem na antybiotykach. Wziąłem swoje klucze i poszedłem.

W domu zastałem napalone w piecu, odgarnięte ze śniegu przed domem, wypitą całą wódkę i wyjedzone wszystkie cukierki. Zważywszy na temperaturę plus 15 stopni w środku, koszty nie były wysokie. Zasnąłem od razu, nie ryzykując kąpeli. Rano poczułem się jak nowo narodzony. Nowo narodzonemu jest podobno bardzo zimno, kiepsko się oddycha i jest głodny. I chce wrócić do mamusi. Tak się właśnie czułem. Z tym, że chciałem wrócić do mamusi mojego dziecka. To na razie nie dawało się załatwić. Mogłem za to napalić w piecu, nauczyć się z powrotem oddychać i pójść do sklepu po zakupy. I wtedy uświadomiłem sobie, że muszę zacząć oszczędzać, bo dostanę jeszcze tylko jedną pensję. No, chyba, że wygram proces przeciwko własnej firmie. Firmie mojej żony, którą sam założyłem... Ale jeśli nawet, to i tak potrwa to trochę, a międzyczasie mogę umrzeć z głodu, a nieboszczykom nie przyznają odszkodowań.

Po kilku dniach, kiedy się trochę wzmocniłem, pojechałem do miasta, żeby się zarejestrować w Urzędzie Zatrudnienia jako bezrobotny poszukujący pracy. To było dość rzadkie, bo w Urzędzie rejestrowali się przeważnie bezrobotni poszukujący zasiłku oraz ubezpieczenia, pracujący gdzie indziej na czarno. Zmobilizował mnie Włodek, miejscowy policjant, który co prawda nie pełnił służby w naszej wsi, ale trzykrotnie czekając na mikrobus przechodził koło

mojego domu i straszyl mnie, co mi się stanie, jeśli nie zarejestruję się jako bezrobotny. Miał na myśli głównie opiekę zdrowotną. O mojej wigilii na dworcu kolejowym w mieście opowiadali sobie wszyscy policjanci. Byłem w tych sferach popularny. Zdaje się, że wciąż nie uważał mnie za zdrowego, szczególnie na umyśle.

Stałem w kolejce do okienka, w którym wydawali kwestionariusze, wypełniłem kwestionariusz, stanłem do okienka, w którym przyjmowali kwestionariusze i otrzymałem wezwanie do pokoju, w którym odbywały się rozmowy z kandydatami na licencjonowanych bezrobotnych.

- Wykształcenie? - spytała kierowniczką, trzymając przed sobą mój kwestionariusz, w którym pierwsze pytanie dotyczyło wykształcenia. Kierowniczką była nowa - z poprzednią znaliśmy się dobrze, bo organizowałem im kursy komputerowe dla bezrobotnych.

Odpowiedziałem. Nigdy się nie wstydziłem swojego wyższego wykształcenia, choć zawsze mi było trochę głupio się do niego przyznawać w otoczeniu, w którym wyższe wykształcenie oznaczało niższe zarobki, a prestiż był mierzony tylko stanem konta i marką samochodu. Ciekawe, że jakość ubrania i wygląd zewnętrzny nie liczyły się zupełnie.

- Specjalność?

Jakoś tak dziwnie zabrzmiała w moich uszach ta historia sztuki w pomieszczeniu, gdzie - jak przeczytałem - najbardziej poszukiwaną specjalnością był operator podnośnika widłowego. Ale pani kierowniczką nie płacili za zdziwienie, więc nie dziwiła się niczemu, wpisała historię sztuki w swoją kartotekę na komputerze i pytała dalej:

- Praca po studiach?

- Najpierw jako nauczyciel akademicki...

- Czy pan chce poszukiwać pracy nauczyciela akademickiego?

Pomyślałem, że właściwie czemu nie? To był może najpiękniejszy okres mojego życia. Teraz mogłyby być z tym pewne problemy, najbliższy ośrodek akademicki był przeszło 100 kilometrów stąd, ale to był w zasadzie problem Urzędu Zatrudnienia, a nie mój. Zresztą, w moim wieku i w mojej gminie równie

dobrze mogłem starać się o posadę Miss Polonii - też bym jej nie dostał. Pani kierowniczką nie zrażona pytała dalej.

- Ile pan chce zarabiać?

Pomyślałem, że sobie ze mnie żartuje. Już dawno skończyły się czasy, kiedy ktokolwiek pytał mnie, ile chcę zarabiać. O ile w ogóle kiedykolwiek były... Pani kierowniczką poprawiła okulary i z daleka pokazała mi jakiś dokument.

- Tutaj mamy takie rubryki: oczekiwane zarobki - do tysiąca, do trzech tysięcy, powyżej trzech tysięcy złotych. Więc co mam wpisać?

Poprosiłem, żeby wpisała, że oczekuję zarobków powyżej trzech tysięcy. Potem podała mi druk zgłoszenia na kurs komputerowy. Najpierw chciałem jej wyjaśnić, że to ja takie kursy organizowałem i prowadziłem, ale ugryzłem się w język. Co było a nie jest, nie pisze się w rejestr. Po drugie, pewno nie byłem najlepszym fachowcem w dziedzinie komputerów, jeśli mnie wyrzucili z firmy komputerowej. Po trzecie, pani kierowniczką miała przed sobą moje papiery i wiedziała, że pracowałem w firmie komputerowej. To znaczy - mogła wiedzieć, gdyby chciała. Widać nie chciała, więc nie należało jej tej wiedzy uzupełniać. Odbierałem pierwsze lekcje postępowania z kadrami kierowniczymi. Po pierwsze - nie poprawiać. Po drugie chwalić. Po trzecie - nigdy nie wykazywać własnej inicjatywy, także - a może zwłaszcza - w działaniu na rzecz interesu firmy. Albowiem wszystkie znane mi kadry kierownicze uważały i dawały mi to odczuć, że nawet jeśli coś robię dobrze, to na pewno powodują mną złe intencje. Na przykład ta, że chcę wykazać, że jeśli ja robię dobrze, to na pewno ona, to znaczy kadra kierownicza robi to źle, względnie zrobiłaby to gorzej. O tym, że kadra kierownicza wtedy jest dobra, gdy dobiera sobie dobrych pracowników, w moim mieście nie wiedziano. W naszej firmie ornitolog fruwał lepiej niż ptaki, z którymi miał do czynienia. Przynajmniej oczekiwano, że ptaki tak będą mówić.

Więc w urzędzie pracy nie dyskutowałem z kierowniczką i nawet jednym słowem nie przyznałem się także do informatycznych studiów podyplomowych. Zapytałem tylko, czy kurs jest bezpłatny i co ja mam zrobić, jeśli mieszkam na wsi dwadzieścia parę kilometrów stąd.

- Kurs opłaca bezrobotnym państwo. A za dojazdy otrzyma pan zwrot

kosztów podróży. Może pan wystąpić o bilet miesięczny, bo kurs trwa miesiąc, a zajęcia są trzy razy w tygodniu.

To mi bardzo odpowiadało - mogłem dojeżdżać do miasta za państwowe. Inna rzecz, że poza tym kursem nie widziałem dla siebie specjalnie motywacji dla dojazdów. Ale byłem ciekaw kto poprowadzi zajęcia. No i mogłem niekiedy spotkać się z córką. Albo z kimś ze znajomych. Tylko jak sobie pomyślałem o znajomych, to jakoś w myślach kolejka chętnych do takiego spotkania się nie ustawiała. A córka z pewnością miała lepsze towarzystwo niż bezrobotny ojciec na zasiłku.

Ponieważ wyglądało na to, że moja sytuacja się stabilizuje na dość niskim poziomie, musiałem zadbać o zmniejszenie kosztów. W tym celu poszedłem do telekomunikacji, żeby założyć sobie we wsi stacjonarny telefon – komórka kosztowała mnie za dużo, zresztą potrzebowałem też łączności internetowej. W ciągu ostatnich trzech lat uzależniłem się od tego systemu tak bardzo, że kiedy trzeba było iść na pocztę, żeby wysłać list polecony – wpadałem w panikę. Teoretycznie od tego mieliśmy w firmie sekretarkę, ale ona wpadała w panikę w każdej sytuacji, kiedy od niej czegoś wymagano i powołując się na dawne związki ze mną zwałała to na mnie. Nie chcąc przedłużać dyskusji, a chcąc mieć coś załatwione, załatwiałem to sam.

W dziale obsługi klienta znali mnie dość dobrze, bo często pomagałem załatwiać stały dostęp do Internetu klientom, którym zakładaliśmy sieć komputerową. Stąd też bez kłopotów dowiedziałem się, że w mojej wsi są wolne tak zwane pary, czyli telefon mogę w zasadzie dostać od ręki. Podobnie stały dostęp do Internetu – kosztowało co prawda sporo, ale jeśli miałem teraz pracować samodzielnie, to musiałem mieć stałe łącze, choćby po to, żeby tej roboty szukać. Połączenie radiowe odpadało już na starcie, bo jak wspomniałem, nawet telewizja przelatowała tam górą i można było liczyć tylko na amerykańskie satelity.

Wypełniłem odpowiednie druczki i spytałem, kiedy mogę liczyć na instalację. Sekretarka popatrzyła w kalendarz i powiedziała:

- Pewno na początku tygodnia. Ale na wszelki wypadek niech pan wpadnie

do szefa, znacie się przecież.

No, znaleźliśmy się przecież. Od dwudziestu lat kierowałem Telekomunikacją w mieście, w którym ciągle załatwiałem jakieś telefony – albo sobie, albo komuś, albo firmom, z którymi współpracowałem. I zawsze były z tym jakieś problemy. Ustrój się zmieniał, technika się zmieniała, ale pan dyrektor trwał. I metody miał stale te same.

Sekretarka kazała mi czekać, bo szef był zajęty. Po kilkunastu minutach zza dźwiękoszczelnych drzwi zaczął dobiegać rumor i krzyki. Sekretarka nie reagowała i spokojnie rozmawiała przez telefon, umawiając się z koleżanką na popołudniowe zakupy. Hałas narastał, wreszcie z gabinetu wypadła kobieta z potarganymi włosami, tłumiąc płacz. Za nią wyszedł dyrektor.

- Bardzo panu dziękuję - kłaniała się płacząca niewiasta, czyniąc wysiłki, by pocałować urzędnika w rękę. Oganiał się dobrodusznie. - To będę w poniedziałek. I przyniosę, oczywiście...

- Pan do mnie? - zauważył mnie - Proszę.

Rozejrzałem się w środku. Nie było widać żadnych śladów niedawnej awantury.

- Coś się stało? – spytałem ostrożnie.

- Nie, dlaczego? A, ta kobieta? Usiłowała na mnie coś wymusić, ale jak pan widzi, mnie trudno jest poruszyć. Ale już wszystko w porządku.

Z trudem umieścił swoje 120 kilo w fotelu za biurkiem i wywołał na twarz coś w rodzaju uśmiechu. U grubych ludzi zawsze przypomina to grymas wysiłku.

- A pan z czym przychodzi?

Wiedziałem, naturalnie, że do dyrektora raczej trzeba było przychodzić z czymś, a nie po coś, ale w mojej sytuacji było to raczej niemożliwe. Wyjaśniłem w dwóch słowach, że nie ma na co liczyć, natomiast ja chciałbym liczyć na szybkie załatwienie telefonu. Rozłożył ręce.

- Jak się da, to się zrobi... Ale jak się nie da... Trzeba będzie poczekać, są trudności techniczne...

Powiedziałem, że sprawdzałem wcześniej – wolne numery są, moduły stałych łącz internetowych są, więc tylko technik musi podjechać i zamontować...

Pomyślał chwilę i znów się uśmiechnął. Wyglądało to jeszcze gorzej, wysiłek widać był większy.

- Ale nie mamy benzyny, proszę pana. Limit się wyczerpał. Musielibyśmy kupić z wolnej sprzedaży, a nie ma na to pieniędzy...

- Ile? – spytałem krótko.

- Bo ja wiem, teraz to tak szybko drożeje...

Wstałem.

- Jeśli telefony są i moduły są, to w sprawie montażu pewno mam się umówić z Jurkiem, prawda? Pan mi tylko podpisze zgodę, dobrze?

Tym go zaskoczyłem. Ponieważ powiedziałem to w momencie, kiedy sekretarka otworzyła drzwi, chcąc zaproponować kawę, nie mogłem nic zrobić, podpisać. Za kawę podziękowałem. Dyrektor wymuszał łapówki niejako rutynowo, przeszło mu z poprzedniego ustroju. Kiedyś załatwiałem z nim wyposażenie telefoniczne nowej siedziby naszej firmy – pięć telefonów i dwa fakсы. Kazał mi czekać dwa miesiące, choć nie było żadnych problemów technicznych. W końcu poszedłem do niego i zrobiłem mu awanturę.

- Przecież to chodzi o pieniądze, no nie?

Kiwnął energicznie głową.

- Nie wiem, czy się rozumiemy. Każdego dnia, kiedy nie mamy tych pięciu telefonów i dwóch faksów, nie wykonujemy kilkudziesięciu połączeń. A pańska firma traci codziennie co najmniej kilkadziesiąt złotych. Więc w waszym interesie jest to, żebyśmy te telefony mieli jak najszybciej.

Wzruszył ramionami.

- Ale co to ma wspólnego z moim interesem? Moja pensja od tego nie zależy czy firma zarabia więcej czy mniej...

Jurkowi obiecałem stówkę. Telefon miałem za dwa dni. Moduł internetowy za trzy. Nie miałem tylko tej stówki. Skredytował mi tę łapówkę, znając, jak wszyscy, moją trudną sytuację. Musiałem stanowczo rozejrzeć się za jakimiś wpływami.

Pierwszy wieczór z telefonem był uroczysty. Napaliłem w piecu, napaliłem w kominku, włączyłem piecyk gazowy. Zaparzyłem herbatę i podniosłem

słuchawkę. Rozległ się dźwięczny sygnał. Odłożyłem słuchawkę. Nie miałem do kogo zadzwonić.

To znaczy, oczywiście, miałem cały notes pełen numerów telefonów mniej czy bardziej znajomych osób, ale nie miałem tej pierwszej osoby, do której warto by wykonać pierwszy telefon, żeby ją uroczyście powiadomić o nowym numerze, który trzeba zapisać w notesie. Zresztą, do byle kogo nie było po co dzwonić. Nie byłem specjalnie zainteresowany otrzymaniem ani udzielaniem odpowiedzi na pytanie „co słyhać”, zwłaszcza, że u mnie nie było nic słyhać, czym warto by się chwalić.

Zadzwoniłem do siebie do domu, czyli teraz żony.

Długo nikt nie podnosił słuchawki, wreszcie odebrała córka. Mama była jeszcze w pracy, w każdym razie do domu nie wróciła, nie było słyhać nic ciekawego, w szkole bez zmian, co nie było wiadomością pozytywną, ale zmiany mogły być na gorsze, więc z drugiej strony wiadomość była optymistyczna. Córka zapisała mój nowy numer telefonu i wtedy powiedziałem jej, że muszę zabrać z domu swój komputer, bo zamierzam na nim pracować na wsi. Nie zmartwiła się.

- W ramach kupowania sojusznika mama sprezentowała mi w zeszłym tygodniu nowego blaszaka. Ale nie martw się, tylko jest trochę lepszy od twojego starego. Jak chcesz, to ci ten twój złom wieczorem przywiozę.

- Jak? – na wszelki wypadek zdziwiłem się dość ostrożnie. Nie podejrzewałem, że do nowego komputera żona dorzuciła córce jeszcze samochód. Nigdy nie lubiła inwestować zbyt dużo. Podejrzewałem, że komputer jest firmowy, albo pochodzi z naszego wyczyszczonego konta. Ale na samochód dla córki by nie starczyło.

- Mam jazdę. Bo chodzę na kurs. Powiem instruktorowi, to podjedziemy do ciebie. I przywieziemy ci komputer. Dyski z programami, rozumiem, też?

Była bardzo oblatana w tych sprawach. Szybciej nauczyła się pisać na komputerze niż mówić. Ale ta ochota do pomocy to było coś niezwykłego. Zrozumiałem, że się chce pochwalić tą jazdą. A może instruktorem.

Przyjechali wieczorem czarną fiestą i chłopak niewiele starszy od córki zaczął wnosić paczki do domu. Nie przedstawiła mi go, więc tylko kiwnąłem

głową. Po chwili odjechał, umawiając się za godzinę. Córka nie zdejmując kurtki - a przecież było całkiem ciepło, plus 15 stopni - rozejrzała się dokoła, jakby czegoś szukała.

- Sam jesteś? - spytała.

- Nie, z Pamelą Anderson, tylko wyszła do GS-u po gwoździe.

- Nie smutno ci? Bo wychodzi na to, że cię wszyscy puścili kantem. I przyczyna i skutek...

Głupio wyszło, fakt. Jeszcze bardziej głupio było to słyszeć z ust niepełnoletniej panienki. Nie umiałem ocenić, czy się z tego cieszy, czy mi współczuje. Odwróciła się do przywiezionych paczek, wyciągnęła jedno pudełko.

- Przywiozłam ci chomika...

Siedział w klatce, rudzielec z bystrymi oczkami jak małe fasolki i ruszał wąsami. Wsadziłem mu do klatki przez pręty ziarnko kukurydzy. Wziął, po czym ugryzł mnie w palec. Ale niemocno. Chociaż się przestraszyłem i o mało nie zrzuciłem klatki na ziemię.

- To chomik obronny?

- Tak, jasne. A poza tym samiczka, więc nie ufaj do końca. Ma na imię Alicja. Chcesz ją?

- A nie zamarznie tu?

- Ma futro...

Odstawiliśmy chomika na stolik między kominkiem a biurkiem. Ładnie się prezentował. Córka kazała sobie dać herbaty i powiedziała, że w domu harmider, bo ciągle jakieś sprawy firmy ktoś przychodzi załatwiać, wciąż się coś sypie, bo nie ma już generalnej przypominajki, jaką - okazało się - byłem ja. Więc stale się coś zawala. Najczęściej przychodzi mecenas.

- No i dzięki temu jest ten kurs. Bo on prowadzi w mieście mnóstwo interesów, między innymi szkołę jazdy. A ten instruktor, Darek, to jego syn. Kocha się we mnie...

- A jego tatuś w mamie?

- Niekoniecznie. On chyba szuka okazji do następnego interesu. Powiedziałam mamie, żeby uważała, bo on poluje na firmę. Mama uważa, że on

ją adoruje. A ja uważam, że on adoruje pieniądze.

- A Darek?

Zatrąbił klakson przed domem. Córka zaczęła się zbierać do wyjścia.

- Darek potrafi mówić tylko o forsie i samochodach. Ale mam nadzieję zrobić to prawko, więc mu nie przeszkadzam...

Pojechała, zostałem z Alicją. Zacząłem montować komputer. Po północy wszystko już chodziło, ale w kominku wygasło i temperatura spadła poniżej 10 stopni. Zasnąłem w swetrze.

Następnego dnia spałem do 10-tej i pewno spałbym dłużej, ale obudziła mnie chomiczka. Miała w klatce taką karuzelę na pionowo i zaczęła sobie biegać. Widać była jakaś nietypowa, bo chomiki w dzień śpią, ale może w nocy też rozrabiała, tylko zmęczony nie słyszałem. Też byłem nietypowy, bo zasnąłem na fotelu, w ubraniu, okutany w koc. Godzinkę później przyjechał Jurek żeby zamontować Internet.

Pół godziny później byłem uboższy o stówkę i bogatszy o stały dostęp do świata. Poczujęm się tak, jakby autobus po mojej ulicy jeździł z pięć razy dziennie. Skonfigurowałem pocztę i wysłałem listy do wszystkich znajomych, których adresy internetowe miałem. Potem wszedłem na stronę Gadu-Gadu i zalogowałem się na nowym adresie. Natychmiast pokazał się Paweł i moja córka. Słyszac dźwięki sygnalizujące zgłaszanie się rozmówców, chomik zaczął kichać, więc wyłączyłem głośnik. Nasypałem Alicji karmy do miseczki. I karmę, i miseczkę przywiozła moja córka. Poczujęm się głodny i nasypałem sobie do miseczki musli. Wyglądało prawie tak samo. Poszukałem mleka, ale nie było – wczoraj zajęty montowaniem komputera zapomniałem pójść do krowy. Zalałem piwem. Dało się zjeść. Chomik napchał swoją karmę do pyszczka i poszedł do domku. Słyszałem, jak tam w kąciiku wszystko wypluwał. Mnie smakowało. Zaczęła migać kopertka. Paweł. Odłożyłem miskę z musli.

Cześć – jestem w kawiarence w Rzymie – pozdrawiam serdecznie. Wszystko dobrze u Ciebie? Muszę kończyć, pa, na razie.

Nie zdążyłem odpisać, że nie koniecznie wszystko dobrze, bo już go nie było. Więc napisałem do córki:

Jak widzisz, wszystko u mnie działa, jak w szkole?

Odpisała od razu.

Znowu się czepiasz? Nie po to ci zawiozłam to badziewie, żebyś mnie pytał o szkołę. Wychodzę teraz na jazdę. Chomik żyje?

Spojrzałem. Nie było go widać. Drzwiczki od klatki były otwarte, domek stał pusty, karuzela też. Alicja wyszła na spacer w niewiadomym kierunku. Rzuciłem się szukać, starannie sprawdzając każdy krok. Kiedyś w młodości uciekła mi z klatki myszka. Szukałem bardzo intensywnie, bo mieliśmy w domu kota i nie chciałem, żeby znalazł ją pierwszy. Na podłodze leżał dywan, myszka była pod spodem, a na wierzchu mój but i ja. Plama długo nie dała się sprać, kiedyś nie było takich dobrych proszków jak teraz, z niebieskimi perełkami. Więc miałem uraz. To chyba wtedy przestałem myśleć o karierze zoologa. Postanowiłem zostać strażakiem. Jak każdy.

Znalazłem chomika w rurze od odkurzacza. Na szczęście, nie lubię odkurzać i rura leżała od dawna nie używana obok elektroluksu. Od kiedy zostałem sam, strasznie zaniedbałem sprawy sprzątanania. Inna rzecz, że nie miał kto brudzić. No, teraz był chomik. A w rurze znalazłem go, bo się zaklinował i próbował się wygrzyźć na zewnątrz. Pewno by mu się udało, ale na szczęście usłyszałem go wcześniej. A żona zawsze mówiła, że nie mam słuchu! Trzeba było jeszcze wydostać zwierzątko na zewnątrz nie powodując u niego zawału. Wydmuchanie mechaniczne nie wchodziło zatem w grę, spróbowałem ustnie. Po zapaleniu płuc nie miałem już takiego zadęcia, jak kiedyś. Chomik tkwił w swoim miejscu, przycichł tylko i czekał na rozwój wypadków. Postanowiłem wytrząsnąć go grawitacyjnie. Widać się zaklinował, bo nie wylatywał. Zatkaną jeden wylot rury kawałkiem drewna od kominka, do drugiego nasypałem trochę karmy. Nie dał się nabrać, w końcu od takiej samej karmy przed chwilą uciekł. Jak nawet dobre rzeczy ma się podane pod nos, to już nie pociągają. Jakby, cholera, musiał o taką karmę walczyć choćby z myszą, to by inaczej doceniał.

Ale mysz rozgniotłem w młodości i ta metoda nie była do zastosowania, zwłaszcza *ad hoc*. Wsadziłem wolny koniec rury do klatki i wróciłem do komputera. Córka się obraziła:

Jak nie chcesz gadać to spox, spadam, nara, dozo.

Nigdy nie lubiłem tego żargonu komputerowej młodzieży. Alicja nie wychodziła. A ja musiałem wyjść, bo mi groziło zamknięcie sklepu i zostanie bez karmy na noc. Postanowiłem być trochę brutalny. Wziąłem rurę pionowo i przytrzymałem nad blaszaną miednicą. Drapało w środku. Odetkałem korek i powolutku, kropelkami, zacząłem wlewać wodę. Przycichło, więc się zaniepokoiłem, czy Alicja się nie zachłysnęła. Przestałem, coś się poruszyło, posłyszałem jakby mlaskanie. Chomik zlizywał wodę ze starym kurzem. Pomyślałem, że mu ten brud zaszkodzi, więc chlusnąłem trochę mocniej. Do miski wypłynęła brudna woda, zwierzątko pozostało w rurze. Wlałem cały kubek. Nie wyleciała. Ale wylazła górą i ugryzła mnie w rękę, którą trzymałem rurę. Puściłem. Rura spadła na ziemię, miska wylała się na dywan, klatka chomika spadła z biurka i karma wysypała się z domku. Alicja siedziała na tej całej ruinie i spokojnie pogryzała moje musli z piwem z miseczki, która przewrócona leżała obok. Ruszała wąsami. Zastanowiłem się, czy ja aby na pewno lubię chomiki. Postawiłem klatkę pionowo, weszła tam trochę sztywno i próbowała się pokręcić na swoim kole, ale łapki wciąż wpadały jej między szczebelki. Zatoczyła się wreszcie do domku i zasnęła. Poszedłem do sklepu. Jak wróciłem, jeszcze spała. Chomiki przesypiają niekiedy cały dzień.

Wieczorem siadłem do komputera, by sprawdzić, czy lokalne portale internetowe nie oferują jakiejś pracy. Ofert było nawet sporo, tylko raczej nie w mojej branży: dźwigowy, suwnicowy, operator betoniarki – te powtarzały się najczęściej. I księgowy – tym mogłem być zainteresowany, ale tylko rodzinnie – oboje moi rodzice, a nawet teściowie byli buchalterami. Niestety, nic z ich umiejętności nie przeszło na mnie. Na stronie Miejskiego Ośrodka Kultury sprawdziłem jeszcze program kina. Nie wybierałem się, ale dobrze jest wiedzieć co jest grane. Trudno było znaleźć cokolwiek – musiał ją robić ktoś bardzo świeży w branży. Przypomniało mi się, że miałem dla nich pisać bazę danych. Oferta była na firmę, ale adresowana do mnie. Może udałoby się wyjąć ten kontrakt? Adwokat miałby mniej do zagarnięcia...

Pomyślałem o Agacie. Tak jakoś bez sensu umarła ta nasza znajomość,

zapowiadająca się na długie lata. Mieliśmy w każdych okolicznościach pozostać przyjaciółmi i współpracownikami. Znikła niemal bez śladu jak tylko sytuacja się nieco skomplikowała. Widać działała zgodnie z zasadami entropii – dążąc przede wszystkim do świętego spokoju. Mogłem, naturalnie, wziąć telefon i zadzwonić do niej, a gdyby odebrał mąż – po prostu odłożyć słuchawkę. Ale jakoś mi nie pasowało w taki sposób odgrzewać starą znajomość.

Pozostawał Internet. Ale nie wiedziałem, czy Agata ma własną pocztę i Gadu-Gadu, przedtem nie miała, zresztą z pracy miałem trudności komunikacyjne. Teraz trudności nie miałem, ale nie miałem też jej adresu. Wyszukałem w katalogu wszystkie Agaty z naszego miasta i wysłałem do nich wiadomość:

„Wszystkiego dobrego z wiadomej okazji życzy kominiarz.”

Powinna zrozumieć. Kiedyś taką kartkę dostałem od niej na Walentynki.

Wysłałem 17 listów. 12 osób nie odpowiedziało. Jedna poradziła mi, żebym się odwalił. Dwie podziękowały bez żadnych komentarzy. Jedna zaproponowała spotkanie w kawiarni „Niespodzianka” jutro o 12-tej. Nie mogłem, bo właśnie miałem mieć pierwsze zajęcia na kursie. Jedna napisała:

Jeśli to ty, przyślij czarnego kota.

To była moja Agata. Odwrotną pocztą wysłałem zeskanowane zdjęcie motelu „Czarny Kot” nad jeziorem, gdzie kiedyś byliśmy na obiedzie. Dostała od razu, bo znaczek obecności w sieci najpierw zmienił status na „nieдоступny”, a potem zniknął z mojego ekranu - musiała dodać mnie do listy „Ignoruj”. Zrobiło mi się trochę smutno. Alicja widać wytrzeźwiała, bo wyszła z domku i poczłapała napić się wody. Patrzyła na mnie z wyrzutem, jakbym ją zignorował. Zagadałem do niej i dosypałem karmy. Siadła przy miseczce i zaczęła myć wąsy.

- Musimy dać sobie radę sami, co? Nie chcą nas, to nie...

Odkrywcze to nie było, ale pocieszające. Otworzyłem piwo. Alicja widać poczuła, bo prędko znikła w domku. Wróciłem do Internetu. Nikt nie pisał. Poszedłem spać.

Na kursie zajęcia prowadził Tomek. Spodziewałem się tego i przyszedłem parę minut wcześniej, żeby go uprzedzić. Obiecał mnie nie wsypać i traktować

jak nieznanego kursanta. Wraz z 12 bezrobotnymi zasiadłem przed komputerem i dopiero wtedy rozejrzałem się po sali. Były wśród nas dwie dziewczyny, na oko świeżo po maturze, zainteresowane wyłącznie otrzymaniem papierka, trzech absolwentów zawodówki, którzy świetnie sobie z komputerem radzili i czekali tylko na możliwość pogrania w Quake'a, pozostali rzetelnie chcieli się czegoś nauczyć. Tomek ucieszył się z zainteresowania i odłączywszy jeden z komputerów, zaczął go rozkręcać, po czym wytłumaczył bezrobotnym, jak działa procesor, karta graficzna, twardy dysk i pamięć RAM. Po półtorej godzinie wykładu przeszedł do zajęć praktycznych: polecał nam włączyć komputer. Nikt nie umiał. Ja też, bo zasnąłem.

Po lekcji poszliśmy na kawę. Po wymianie wstępnych uprzejmości, zapytał:

- Nie możecie się jakoś dogadać? Dwoje dorosłych, prawdę powiedziawszy nie najmłodszych ludzi, znających się jak łyse konie? Co wam odbiło? To w końcu rozwali firmę...

To, że rozwali nam życie nic go oczywiście nie obchodziło - pieniądze miał z naszej firmy, nie z naszego życia. Wyjaśniłem:

- Wina jest moja, bez względu na to co zrobiłem. Przyznaję się. Chętnie odpokutuję. Ale jakoś nie mam do kogo o tym gadać. Może ty pogadasz w moim imieniu?

Zaczął się spieszyć.

- Zwariowałeś, chciałbyś, żebym skończył tak jak ty? Może spróbuj napisać... Ja mam żonę i dwoje dzieci...

- Ja też - powiedziałem i poszedłem do Ośrodka Kultury.

Tam też musieli się już dowiedzieć o perturbacjach w naszej firmie, bo ofertę podtrzymali, ale indywidualnie, wobec mnie.

- Ta baza jest nam bardzo potrzebna - dyrektor poczęstował mnie kawą - I może by nam pan zrobił stronę internetową? Póki co, robi ją mój syn, ale on teraz będzie miał maturę, więc musi się więcej uczyć...

Przypomniałem sobie jak strona wygląda i pomyślałem, że informatyka w naszym liceum nie stoi najlepiej. Otwierały się przede mną coraz to nowe możliwości.

- Tylko nie bardzo stoimy z pieniędzmi.. Jeśli pan się zgodzi na umowę-zlecenie i i płatności miesięczne...

Zgodziłem się. Na etacie jeszcze przez pół roku mi nie zależało - socjalne zabezpieczenie dawał mi status bezrobotnego. Wróciłem do domu mikrobusem. Chomik się ucieszył, napaliłem w piecu i zrobiłem obojgu nam kolację. W skrzynce internetowej znalazłem kilka ogłoszeń, reklamy stron pornograficznych i ofertę powiększenia piersi. Zastanowiłem się przez chwilę, ale w końcu doszedłem do wniosku, że będę z tym wyglądał jeszcze gorzej. Włączyłem komunikator. Córka świeciła się na żółto. Poinformowałem o stanie chomika, starannie unikając drażliwych pytań o szkołę.

- Mamy nie ma - odpowiedziała na nie zadane pytanie - W lodówce niczego nie ma. Mam kupić książki do angielskiego, ale nie mogę dostać pieniędzy. Nie moglibyście jakoś przestać?

- Przecież przestaliśmy - odpowiedziałem nie na temat - może mi powiesz co ja twoim zdaniem mogę jeszcze zrobić?

- Nie rozumiem dorosłych. Tyle lat wytrzymaliście, nie możecie wytrzymać jeszcze tych paru, co wam zostały?

Brutalna szczerłość dziecka zwałała mnie z nóg. Poczułem się gorzej i zacząłem kasłać. W tym momencie pokazała się nowa kopertka. Zamiast imienia czy pseudonimu był tylko numer. Sprawdziłem w katalogu. Jakaś Gosia, bez szczegółów. Nie lubiłem tego.

- *Cze!*

Milczałem. Miałem na takie kontakty pewną metodę, nie odrzucałem ich hurtem jak leci, ale lubiłem się trochę podrażnić. Odpadali słabsi i mniej odporni na mnie. Gdyby w czasach mojego narzeczeństwa był Internet, nie jeździłbym dziś na rozprawy rozwodowe.

- *No, co jest, jesteś tam?*

Tym razem odpisałem, bo Gosia mogłaby się zniechęcić, a ja miałem akurat wolny wieczór. Podobnie jak kilkadziesiąt poprzednich. I prawdopodobnie kilkaset następnych, jak dobrze pójdzie.

- *Myślę, więc jestem!*

- To co się nie odzywasz?

- Bo myślę.

Przez chwilę trwała cisza. Chomik wyszedł z domku, zrobił siusiu w kąciku klatki i wlaźł do kółka. Zastanawiał się, czy się kręcić, czy nie. Gosia zastanawiała się, czy jej się już nie znudziłem.

- Masz chwilkę czasu?

Uparta była. Musiałem ją jeszcze pozniechęcać. Miło się zniechęcało. Zastanawiałem się, ile ma lat. Musiała być albo bardzo młoda, albo mocno starsza - kobiety w średnim wieku zazwyczaj podawały w katalogu swój wiek.

- Mam. Czym mogę pani służyć?

Najskuteczniejsze do zniechęcania było uparte trwanie przy formule „pan-pani” i odrażająca grzeczność.

- Pogadasz?

- Z największą przyjemnością. A o czym?

Musiała się zdziwić, bo chwilę milczała. Może się zastanawiała nad tym trudnym problemem. A może w międzyczasie obsługiwała trzy inne podobnie intelektualne rozmowy.

- A tak, o byle czym. Nudzę się.

- To ja nie umiem o byle czym. I się nie nudzę. Ale chętnie porozmawiam, jak będzie o czym.

- To ja przepraszam, dobranoc.

Takie rozmowy były jedną z przyczyn, dla których żona chciała się ze mną teraz rozwieść. Zazwyczaj wieczory, które ona spędzała przy krzyżówkach lub telewizji, ja wykorzystywałem na komputerystykę. Nikt, kto się tym zawodowo nie zajmował nie wie, ile prób, błędów i poprawek wymaga budowanie bazy danych albo montowanie strony WWW. I jak bardzo kiepsko robi się to w warunkach biurowych. Zatem najwięcej pisałem właśnie wieczorem, po kolacji, a przed zaśnięciem. Niekiedy „pod spodem” prowadziłem takie, albo tylko trochę mądrzejsze rozmowy. Czasem ze znajomymi, najczęściej z przypadkowo poznanymi przez Internet osobami. W dziewięciu przypadkach na dziesięć znajomość nie wykraczała poza pierwszy i jedyny kontakt. Nie przeszkadzało mi

to w pracy, bo jak widać nie angażowało specjalnie umysłu. Przeszkadzało żonie.

Nie przypuszczam, żeby upatrywała w tym kolejnej zdrady. Raczej zaniedbywania. Zamiast poświęcać czas rozmowie z nią, rozmawiałem z jakimiś obcymi panienkami. Ale z nią pewno nie dałoby się rozmawiać jednocześnie budując rekurencyjną bazę danych. Podobnie jak oglądając telewizję. Inna rzecz, że nie próbowałem. Pomyślałem, że jak bym kiedykolwiek wrócił do domu, to ustalę taką zasadę, że po pewnej godzinie nie będzie już komputerów ani filmów, ani krzyżówek, tylko miła i serdeczna rozmowa przed snem.

No, bo jakbym wrócił do domu to musiałyby się zmienić wszystko. Włącznie z tym, że mógłbym cokolwiek ustalać.

*

Wiosny wciąż nie było widać, ale zima wyraźnie zelżała. Luty zaczął się co prawda śnieżnie i mroźnie, ale komunikacja nie nawalała, moje zdrowie też. Tylko musiałem odstawić chomika na nieco dalszą odległość, bo mnie alergizował. Wstawałem coraz później, coraz później też kładłem się spać. Napisałem kilka listów do żony, proponując rozstrzygnięcie naszych spraw bez udziału sądu i adwokata. Wysłałem mailem. Kazała dziecku sobie wydrukować i odpisała, że tyle razy ją już oszukałem, że boi się kolejnej próby. I że musi ode mnie odpocząć. Nie wiem czemu, ale nie zabrzmiało to jak definitywne wyrzucenie na śmietnik. Wiosna nasza?

Ale tak na co dzień nic się nie działo. Sprzątałem rzadko, bo rzadko brudziłem. Łóżka nie ścieliłem, bo po co - żeby wieczorem znów rozścielać? Komputera nie wyłączałem, żeby nie włączać. Któregoś dnia stwierdziłem, że nie muszę się tak często golić, jak dotąd.

Byłem sam, więc nie miałem przed kim się pindrzyć, a samodyscyplina mi wysiadła. Mobilizowałem się trzy razy w tygodniu, kiedy jechałem do miasta na kurs. Wtedy myłem głowę i goliłem się, starałem się nawet porządnie ubrać. Z tym goleniem to i tak nie było co przesadzać. Najwybitniejsi politycy i najlepsi artyści pokazywali się z zarośniętym pyskiem w telewizji i taka nieogolona morda była nieprzypadkowym ważnym sygnałem.

Zresztą chomik też się nie golił i żył. A nawet był samiczką. Do tych wniosków doszedłem któregoś dnia wieczorem, kiedy opracowywanie strony WWW dla Ośrodka Kultury mnie znudziło, a w Internecie nie było z kim pogadać. Włączyłem telewizor i żeby łatwiej zasnąć, obejrzałem wiadomości. Najpierw wypowiadał się minister z Kancelarii Prezydenta z trzydniowym zarostem. Potem polityk opozycji - playboy, nieogolony. Wreszcie bardzo ważny minister, z wyglądu przypominający kelnera z restauracji na Sycylii nad ranem. Społeczeństwo reprezentowała przedstawicielka opozycji pozaparlamentarnej, z wąsem. Prowadzący program nosił coś, co z grubsza mogło już być nazwane brodą. Gdyby nie eleganckie ubrania oraz proveniencja polityczna, można by sadzić, że trafili do studia prosto z aresztu, po zamknięciu przez służbę bezpieczeństwa na 48 godzin.

Nieogolona twarz u gwiazdy mediów wysyła kilka możliwych sygnałów. Po pierwsze - jestem nieogolony, bo jestem taki zajęty, że nie mam czasu się ogolić. Po drugie - jestem nieogolony, bo jestem taki męski, że mi tak szybko rośnie. Po trzecie jestem taki przystojny lub taki ważny, że nie muszę dbać o poprawienie sobie urody, bo i tak się będę podobał. No i wreszcie - noszę wąsy, bo mam gdzieś te głupie seksistowskie poglądy o gładkim liczku kobiety. Nie będę depilować swojej osobowości!

Alicja przeżuwała swoje zapasy, wystawiając wąsaty pyszczek ze słoiczka, w którym zrobiła sobie magazyn. W drugim miała toaletę. Czasem jej się słoiczki myliły, a czasem nie.

Przełączyłem program. Było po północy, więc można było liczyć, że trafi się na jakiś program o sztuce. Na dalekich peryferiach drugiego programu o malarstwie współczesnym mówił znany profesor z mojego wydziału. Miał prawie 60 lat, sięgający karku siwy kucyk i zarost *à la* trzech muszkietierowie. Ze wszystkimi był na ty, nawet z Duchampem, o którego akcie schodzącym po schodach mówił per „akt Marcela”. Artysta nie mógł zareagować, bo od wielu lat już nie żył. Sięgnąłem na dolną półkę biblioteczki, gdzie było najchłodniej i gdzie od dwóch dni stała flaszka swojskiej śliwowicy, wykonanej w stodole sąsiada. Nalałem chomikowi, ale podziękował. Żeby się nie zmarnowało, wypilem.

Przełączyłem program. Artysta epoki przed-bitelsowskiej śpiewał piosenkę, którą niegdyś wykonywali po pijanemu uczestnicy wycieczek FWP. Teraz prezentowano to na jakimś festiwalu. Piosenkarz miał perukę, kolczyk w uchu i tatuaż na ręce. I podkoszulek założony na lewą stronę, więc pewno kibicował polskiej drużynie piłkarskiej. Tekst kojarzył się z wypijaniem i zakąszaniem. Na wszelki wypadek nalałem i wypilem. Chomik zakąsił. Wyłączyłem telewizor i spojrzałem na komputer. W prawym rogu migiała kopertka wiadomości. Kliknąłem, założyłem okulary.

- *Cze, pogadamy?*

Sprawdziłem. Jakaś Kasia z Bolechowa. Czemu nie?

- *No...* - dostosowałem się kulturowo.

- *Xtra! Co ro?*

- *Nic, pije...*

- *Ci dobrze! A tak w ogóle to co ro?*

- *Dłubie w necie.*

- *Super! Fajnie się gadało. Wpadnę jeszcze. To cipa!*

- *Ci też!*

Zamknąłem rozmowę, migiała następna kopertka.

- *Jak mnie zauważysz to się odezwij!*

Córka. Zauważyłem, że mam pustą szklankę. Napełniłem. Nalałem chomikowi mleczka, ale nie trafiłem do miseczki. Sypnął na kałużę trocinami. Zapisałem sobie w notesie elektronicznym, żeby mu zmienić ściółkę. Odezwałem się:

- *Ozzywamsie...*

- *Już jest jutro, więc wszystkiego dobrego z okazji imienin! Mogę jutro do ciebie przyjechać? To znaczy dziś, po południu?*

Spróbowałem śliwownicy. Zastanowiłem się, z czego tu robią śliwownicę? Może z wiśni? Ciekawy problem. Jak jest problem, to trzeba go rozwiązać. Zanotowałem w notesie elektronicznym, żeby rozwiązać ten problem z sąsiadem. Dlaczego ona pamiętała o moich imieninach? Pewno nie ma na szampon...

- *Masz dzisiaj jazdę, co? Pewnie, wpadnij z instruktorkiem...*

- Nie mam jazdy, nie czepiaj się. Z mamą przyjadę, to pa!

Ucieszyłem się, że może sprawy idą w dobrym kierunku. Trzeba być optymistą. I koniecznie iść z nowymi trendami, dość już tego starczego nastawienia do życia! Koniec z goleniem aż do niedzieli!

Wyłączyłem komputer. Wyłączyłem chomika. Wyłączyłem śliwownicę. Otworzyłem okno i zaczerpnąłem świeżego powietrza. Było nieświeże. Zamknąłem okno. Spadła na podłogę doniczka z kwiatkiem. W zasadzie bez kwiatka, bo dawno usechł. Ale z ziemią. Postanowiłem sprzątnąć w domu, żeby było bardziej uroczyście. I przygotować się na ważną wizytę. Postanowiłem zmienić się całkowicie. Moja żona zawsze uważała, że jestem konserwatystą, który usiłuje udawać modernistę, żeby wywrzeć wrażenie na panienkach. Uważała, że mój pesymizm co do mojej własnej osoby powoduje, że nic mi się w życiu nie udaje, a przy okazji psuje życie innym, którzy myślą pozytywnie i im się to psucie nie należy. Na przykład jej. Mówiła, że jeśli sprzątam w domu, to tylko po to żeby złośliwie udowodnić, że ona nie sprząta. Że nie dbam o swój wygląd, tylko po to żeby pokazać, że ona dba przesadnie. To nie była prawda. Nie dbała przesadnie. Ale i tak postanowiłem się zmienić. Postanowiłem posprzątać w swoim domu, gdzie nie było komu co udowadniać. Postanowiłem zadbać o swój wygląd, żeby się jej spodobać. Postanowiłem się odmłodzić, żeby nie było, że jestem starym lowelasem. Zresztą ona i tak wołała młodszych. Chciałbym, żeby wołała mnie. Zacząłem od modnego image'u.

Nie ogoliłem się. Zapuściłem kucyk i ścisnąłem go frotką. Zsuwała się, ale użyłem cukru żelującego. Kiedyś znalazłem w samochodzie kolczyk pewnej pani, zupełnie nie wiem, kiedy i w jakich okolicznościach go zgubiła, pewno mi ktoś podrzucił, teraz wpiąłem go sobie do ucha. Nie miałem przekłutego, więc trochę bolało. Zrobiłem sobie tatuaż. Było zimno, więc gdybym zrobił go jak chciałem początkowo na ramieniu, to żeby go pokazać, musiałbym zdjąć kurtkę, sweter, koszulę i podkoszulek. Mógłby nie zrobić wrażenia po tak długim przygotowywaniu. Zrobiłem sobie tatuaż na policzku. Wybrałem motyw tańczącego chomika, bardzo rzadko spotykany. Wyszedł średnio, bo długopis ślizgał mi się po zaroście, a lustro wciąż się skrzywiało. Chomik nie chciał

tańczyć, bo spał. Pozowanie go nie interesowało. Zrobiłem sobie maseczkę kosmetyczną z ogórków, białego sera i kwaśnego mleka. Nie było ogórków. Nie było sera. Nie było mleka. Jako środka zastępczego użyłem śliwownicy, z tym że maseczkę zastosowałem wewnątrz. Poszedłem do lustra. Byłem podobny do chomika. Podobało mi się. Zasnąłem.

Spałem do południa i obudził mnie ból głowy. Włosy kleiły mi się do poduszki, a na uchu miałem strup. Mogłem umrzeć z wykrwawienia, ale nie umarłem. Kolczyk pewnej pani uwierał mnie w policzek. Wyrzuciłem go przez okno. Zamknąłem okno, bo było strasznie zimno. Poszedłem się umyć. Musiałem w nocy coś pisać, bo pomazałem się trochę po policzku długopisem. Zeszło spirytusem salicylowym. Ogoliłem się i uczesałem. Zażyłem tabletkę z krzyżykiem. To znaczy bez krzyżyka, bo w ciągu tych lat, w których już nie produkowali tabletek z krzyżykiem, zmieniłem światopogląd i zamiast krzyżyka stosowałem goździk, a konkretniej – Goździkową i jej etopirynę. Poszedłem po mleko. Zjedliśmy z Alicją musli. Zasnąłem.

Po południu starannie sprzątnąłem całe mieszkanie, odśnieżyłem pół podwórka, napaliłem w kominku i czekałem. Nie mogłem pracować, bo myśli uciekały mi do przyszłych dni, które będziemy spędzać razem z żoną w domku letnim, albo w miejskim mieszkaniu, do tych wieczorów, kiedy już nie będzie powodów do sprzeczek i kiedy będzie można miło i serdecznie porozmawiać o naszych sprawach. Zapraszać naszych znajomych, dzieci i wnuki, być dla siebie oparciem, pomocą i zabawą.

Usłyszałem samochód, podjeżdżający na drugim biegu pod dom. Wybiegłem – córka właśnie wysiadała, wyciągając plecak. Trzasnęła drzwiami. Auto stało na luzie. Otworzyłem bramę. Żona włączyła bieg i zawracając na pustej ulicy na trzy razy, pojechała z powrotem. Nawet nie spojrzała w moją stronę. Zamknąłem bramę. Dziecko stało obok, uśmiechając się ironicznie.

- Wszystkiego dobrego z okazji imienin!

W prezencie dostałem nowy krawat. Wieczór spędziliśmy świątecznie, zmieniając chomikowi ściółkę. Odjechała ostatnim mikrobusem.

*

Starość polega na odpuszczaniu. Coraz mniej się chce, bo coraz mniej się wierzy w sukces. Coraz mniej się inicjuje, bo coraz bardziej się wątpi w wartość własnych pomysłów i w możliwość ich zrealizowania, a w każdym razie – doprowadzenia do końca. Ma się coraz mniej współpracowników, bo ufa się coraz mniejszej liczbie ludzi. Podejmuje się mniej decyzji, bo wszystkie wydają się ryzykowne. Przewiduje się coraz dalej i przewiduje się coraz gorzej, a główną nauczycielką życia staje się nie historia, ale ostrożność. Mniej się krząta, bo jest coraz mniej sił. A poza tym nie warto, bo i tak nic z tego nie wyjdzie. Stary człowiek doskonale wie co w życiu źle pokierował i co powinien zrobić, żeby pokierować dobrze. Ale tego nie robi, bo już nie warto. Stary człowiek nabrał już tyle doświadczenia w życiu, że wie, jak unikać błędów, ale nie unika, bo mu się nie chce. Wie też, jak sobie radzić ze skutkami tych błędów, ale sobie nie radzi, bo to wymaga wysiłku, który powoduje zadyszkę, podnosi ciśnienie i przyspiesza to, co i tak nieuniknione, więc nie ma się do czego spieszyć. Zdaje sobie sprawę, że naprawianie jest o wiele bardziej pracochłonne i kosztowne niż robienie czegoś od początku, więc ma świadomość tego, że powinien któregoś dnia elegancko się uklonić, wyjść z tego miejsca, w którym jest i znaleźć sobie nowe, a tam ten czas, który mu jeszcze pozostał przeżyć w zgodzie z własnymi upodobaniami. Ale mu się nie chce zamieniać złego na niewiadome, kiepskiego na ewentualnie troszkę lepsze, więc nie buduje niczego nowego, bo nie wierzy w skuteczność. Nie naprawia tego, co ma zepsute, bo wie, że jeśli zepsute jest wszystko, to niczego do naprawienia już nie zostało, poza ruiną. A ruiny się nie naprawia, tylko pakuje na ciężarówkę i wywozi na wysypisko. Tkwi więc w miejscu i liczy na to, że życie poda mu rękę i zaprowadzi w nowy wspaniały świat. Ale świat przechodzi obok milcząc, a jeśli ktoś wyciąga do niego rękę to tylko po to, żeby mu coś zabrać, wiedząc, że z nieochoty do robienia czegokolwiek nie będzie się bronił, co najwyżej rzuci tylko kilka spojrzeń i słów pełnych pogardy dla tych, którzy robią mu krzywdę. Nie chce się bronić, wiedząc, że najlepszą obroną jest atak. Ale żaden z wcześniejszych ataków nie był udany, więc się nie broni. Nie umie, nie chce i nie może niczego zmienić. Tylko Hemingway twierdził, że stary człowiek i może...

Ma się coraz mniej przyjaciół, a nawet znajomych, bo mają jakąś taką dziwną tendencję, że znikają z życia. Swojego, albo twojego. Starość samotna powoduje odpuszczanie do kwadratu. Człowiek z natury rzeczy jest wygodnicki, żeby nie powiedzieć - leniwy. Jak się nie ma dla kogo, to się niewiele robi. Goliłem się tylko wtedy, kiedy miałem pojechać na kurs. Zastanawiałem się, czy nie zapuścić brody. Sean Connery zyskał największe uznanie kiedy przestał wylewać na swoje czarne włosy litry brylantyny, osiwił i zapuścił brodę. Większość starych mężczyzn nosi zarost. Odpuścili sobie golenie. Staranne ubieranie się też nie wchodziło w grę. To znaczy teraz, bo dawniej o świadomym odpuszczeniu sobie elegancji nikt nie myślał. Mój ojciec nawet po domu chodził jeśli nie w marynarce, to w rozpinanym blezerze i nawet do swetra w serek wkładał krawat. Wieczorami smarował resztki włosów czymś tłustym i zakładał do spania siateczkę, co powodowało, że rano wstawał bez zmierzwionej czupryny. Inna rzecz, że prawie 100-procentowa łysina rzadko się mierzwi. Ja co rano miałem na głowie wiatrołom. Nie łąziłem cały dzień w szlafroku, bo było za zimno na negliż, zresztą nie miałem szlafroka. Został w mieszkaniu w mieście, gdzie pewno chodził w nim mecenas. A może nie, bo parę miesięcy temu zaanektowała go córka, której odbiło i zabierała moje rzeczy, bo mówiła, że teraz są modne obszerne ciuchy, w stylu *oversize*. Fakt, ostatnimi czasy byłem całkiem obszerny. Żonie zabierała kosmetyki, choć stale mówiła, że używa niewłaściwych. Więc nie mając szlafroka włóczyłem się po domu w starych dżinsach z zepsutym zamkiem błyskawicznym i w podartym swetrze. Nawet do sklepu tak chodziłem. Nikomu nie przeszkadzało, wszyscy tu tak się ubierali na co dzień. Tylko do kościoła wkładali coś bardziej eleganckiego. Do kościoła nie chodziłem, zresztą nie miałem nic bardziej eleganckiego, poza garniturem ślubnym, który nie wydawał mi się już tak elegancki jak kiedyś.

Przestałem odsnieżać podwórko i poruszałem się w oblodzonych wawozach między furtką, drzwiami wejściowymi i komórką z opałem. Przestałem zasłaniać i odsłaniać okna, wyśrodkowując położenia żaluzji na coś pomiędzy dniem a nocą. Przestałem zamykać za sobą drzwi do łazienki. Przestałem przebierać się do snu. Przestałem robić obiady, zadowolając się kanapkami.

Zauważyłem, że chudnę. Najpierw mnie to ucieszyło, bo miałem nadwagę, ale potem przypomniałem sobie powiedzenie mamy: „Zanim gruby schudnie, to chudy umrze”. Przeszła tak mówić, kiedy ojciec dostał puchliny wodnej przed śmiercią. Poszedłem do lekarza. Mój kardiolog był również internistą, wysłuchał mnie w skupieniu, po czym zapytał:

- Ile schudłeś?

- Nie wiem – wzruszyłem ramionami – nie mam wagi, bo się zepsuła, jak kiedyś na nią wszedłem po obiedzie. Ale gołym okiem widać, że schudłem.

Zdjął okulary i popatrzył gołym okiem.

- Nie widać. Ale może zmieniłeś tryb życia, mniej jesz, więcej chodzisz?

Jadłem mniej, bo mi się nie chciało gotować. Chodziłem więcej, bo do autobusu miałem półtora kilometra. Odsnieżałem. Szukałem po domu chowającej się w kątach Alicji...

- Czujesz się osłabiony? Boli cię co?

Czułem się osłabiony i bolało mnie, ale obawiałem się, że na to ani kardiolog, ani internista nie może pomóc. Wszedłem na wagę lekarską. Miałem 176 cm wzrostu. Ważyłem 90 kilo. Pewno schudłem, ale za mało. Postanowiłem kupić łódź, pływać codziennie 20 kilometrów i przy okazji łowić ryby. Nie lubię ryb, ale ryby są zdrowe. U nas w jeziorze ostatnio chorowały od braku wody. Na wiosnę miało się poprawić.

Poszedłem na ostatnie spotkanie kursantów. Piechotą, żeby zrzucić trochę kalorii. Zresztą i tak nie miałem samochodu.

*

W ręczając mi świadectwo ukończenia kursu Tomek mrugnął do mnie, żebym zaczekał. Okazało się, że firma mojej żony podpisała jednak kontrakt na organizację kursu dla rolników, zgłosiło się sporo chętnych i teraz nie mogą się wyrobić. Więc szefostwo złożyło do Urzędu Zatrudnienia wnioski, że chętnie zatrudnią informatyka. Nawet bez wyższych studiów. Więc może ja bym się zgłosił?

Poszedłem do szefowej Urzędu i poprosiłem o skierowanie. Zdziwiła się, bo pamiętała mnie jako historyka sztuki, poszukującego pracy na wyższej uczelni.

Pokazałem jej swoje dokumenty, w tym zwolnienie z firmy komputerowej. Nie skojarzyła, że to ta sama, która teraz szuka pracownika. Wziąłem formularz, wypełniłem i powędrowałem do pracy. Na schodach nikt mnie nie spotkał, w sekretariacie była Renatka, która obejrzała się na drzwi gabinetu mojej żony i udała, że mnie nie zna. Puściłem do niej oko i położyłem palec na ustach. Uśmiechnęła się.

- Pan w jakiej sprawie?

- Ja z Urzędu Zatrudnienia. W sprawie pracy.

Mocno się zdziwiła, ale poniosła słuchawkę wewnętrznego telefonu.

- Przyszedł pan w sprawie pracy – popatrzyła na mnie – Nie wiem, ma skierowanie z Urzędu. Już proszę.

Podeszła do mnie i pogłaskała mnie po policzku.

- Zmarniałeś... Ale może się jakoś ułożyć.

- Myślisz, że żona mnie przyjmie z powrotem?

- Szefowej nie ma. Sprawy kadrowe załatwia pan Janusz. No, mecenas, który teraz jest szefem działu osobowego i prawnego. Na pół etatu. Dwa razy w tygodniu urzęduje w tym gabinecie. Idź już.

Adwokat siedział za biurkiem mojej żony, wpatrywał się w ekran laptopa i w ogóle nie zwrócił na mnie uwagi. Stałem w drzwiach.

- Ja w sprawie pracy. Z Urzędu Zatrudnienia.

- Wiem – powiedział – jakie pan ma kwalifikacje?

Dopiero mnie zauważył. Ale udał, że nie poznał. Widzieliśmy się tylko dwa razy, przelotnie. Mógł zapomnieć.

- Dwa lata prowadziłem własną firmę, cztery lata pracowałem w dziale szkolenia. Studia wyższe humanistyczne, potem informatyka podyplomowo. Duża praktyka.

Pochylił się nad papierami i nie patrząc na mnie powiedział:

- Tu praca wymaga żelaznej dyscypliny i ogromnej wytrzymałości psychicznej. Jeśli uważa pan, że pan podoła, proszę złożyć papiery w sekretariacie. Powiadomimy pana, jeśli będziemy chcieli skorzystać.

- Kiedy? Mam parę innych propozycji...

- A, to już pana sprawa. Nie wiem kiedy, w najbliższych dniach. Jak zdecyduje pani dyrektor.

Wypełniłem u Renaty kwestionariusz i podanie, dołączając skierowanie z Urzędu Zatrudnienia. Pokręciła głową:

- Wątpię, czy się zgodzi. Ja bym się nie zgodziła.

- Nie wiesz, jaki jestem dobry – powiedziałem.

- Ja nie wiem? No, założmy, że nie wiem. A ona wie?

Miałem jeszcze sporo czasu do ostatniego autobusu, dzień był ciepły i miało się na wiosnę. W rozpiętej kurtce i bez czapki poszedłem do Ośrodka Kultury.

- Z nieba mi pan spadł! – ucieszył się dyrektor. Też się ucieszyłem, bo już dawno nikt się nie cieszył na mój widok – Umie pan obsługiwać nagłośnienie?

Trwała sesja rady miejskiej. Ośrodkowy elektryk miał chałturę na studniówce i musiał lecieć. Podjąłem się nagłego zastępstwa. Największe kariery zaczynały się w ten sposób. Sprawa nie była trudna – jeden mikrofon na stole prezydialnym, drugi na mównicy, trzeci, bezprzewodowy, krążył po sali w przypadku dyskusji. Dawałem dźwięk na salę, jednocześnie nagrywałem go na potrzeby lokalnego radia i telewizji kablowej. Prościzna!

Radni, których w zasadzie w ogóle nie znałem, bo z lokalną polityką nigdy nie miałem nic wspólnego, dyskutowali o zmianie nazwy ulicy 1 Maja. Jak się zorientowałem, temat ten podejmowany był po raz kolejny. Część radnych wnioskowała o zmianę nazwy, gdyż we współczesnej Polsce nie ma miejsca na takie komunistyczne święto. Argument, że święto pracy ustanowione zostało pod koniec XIX wieku w Ameryce nie trafił do nikogo, poza profesorem historii z miejscowego liceum, który takie sprostowanie zgłosił. Na poprzedniej sesji przyjęto wniosek, by ulicę przemianować na 3 Maja, jako że to święto, państwowe naraz i kościelne, przez nikogo kwestionowane nie będzie.

Jak się okazało, takie uzasadnienie wniosku było przedwczesne. Protest był jeden, ale za to nie od odrzucenia. Zaprotestował zakon jezuitów, który przy tej ulicy miał siedzibę i prowadził tam renomowaną szkołę średnią. Zakon i szkoła miały tablice, pieczętki, dokumenty, których zmiany byłyby zbyt kosztowne, ponadto braciszkanie nie chcieli zmieniać istniejącej już tradycji. Jezuici przy 1

Maja brzmiało cokolwiek perwersyjnie, ale miło.

Wobec protestu zakonu wniosek upadł. Radny z Klubu Prawdziwej Prawicy zaproponował, by wobec tego przemianować 1 Maja na aleję Jana Pawła II.

- Nikt nie zaprotestuje, Wysoka Rado – argumentował – nawet jezuici. Każda szanująca się miejscowość musi mieć ulicę Jana Pawła II, więc najlepiej będzie, jeśli u nas Ojciec Święty zatriumfuje nad sowieckim Świętem.

Nikt nie zaprotestował. Nawet nauczyciel historii nie wspominał już o amerykańskiej proveniencji 1 Maja. Tylko radny z bloku Przyjaciele Miasta podniósł rękę:

- Ja, oczywiście, całym sercem popieram tę zmianę, tylko chciałem zapytać się o sprawę formalną: czy z punktu widzenia przepisów nie będzie problemów w związku z faktem, że w naszym mieście jest już ulica Karola Wojtyły? i że ulica ta krzyżuje się z przyszłą ulicą Jana Pawła II?

Na sali usłyszałem szum. Kilka osób na raz chciało zabrać głos. Otworzyłem mikrofon przenośny. Mówił radny Prawdziwej Prawicy.

- Bardzo dziwię się koledze radnemu. Takie stawianie sprawy jest czysto postkomunistyczne. Przecież zarówno Karol Wojtyła jak i Jan Paweł II są dla nas największymi autorytetami na teraz, potem i przedtem. Ja uważam, że powinniśmy jeszcze przy okazji zmienić ulicę Paderewskiego na ulicę Ojca Świętego. A Wierzbową na Polskiego Papieża. Wtedy dopiero bylibyśmy najbardziej polskim z polskich miast.

- Czy pan stawia to jako projekt uchwały? – pospieszył się przewodniczący rady. Był dyrektorem oczyszczalni ścieków, której ceremonialne poświęcenie przez proboszcza wywołało dyskusje nawet w archidiecezji – Bo w zasadzie powinniśmy najpierw przegłosować zmianę na Jana Pawła II.

- Pan przewodniczący chce taką uchwałę głosować? – oburzył się projektodawca – Papieża pan chce głosować? To tak, jakby chciał pan głosować nad Pismem Świętym.

Oklaski zagłuszyły dalszą orację. Uchwałę przyjęto przez aklamację. Wniosek o zmianę Paderewskiego na Ojca Świętego przeniesiono na następną sesję. Dostałem ekstra 300 złotych. I temat do przemyśleń. Dyrektor MOK-u

zapropował mi pół etatu informatyka miejskiego, z sugestią, żebym zorganizował kurs Internetu dla miejscowego Klubu Emerytów. Poczulem się pewniejszy i potrzebny społeczeństwu. Wyobraziłem sobie, że za parę lat, jeśli jeszcze coś zostanie, może jakąś ulicę nazwą moim imieniem. Albo nawet nazwiskiem.

Następnego dnia pojechałem do miasta w samo południe. Nieogolony, za to w koszuli z krawatem. Kupiłem kwiaty i poszedłem do Urzędu Zatrudnienia. Zapisalem się do kierowniczk i zostałem przyjęty prawie od razu. Podziękowałem za kurs i skierowanie mnie do pracy. Co prawda, nie dostałem jeszcze odpowiedzi, ale przywróciła mi nadzieję na nowe życie.

- Nie ma za co. Przez pół roku może pan przebierać w ofertach. Taki fachowiec na pewno znajdzie pracę. Ja sama...

Przerwała i popatrzyła na mnie uważnie. Poczulem się jak koń na targu. Stary koń. Miałem nadzieję, że nie zacznie mi zaglądać w zęby.

- W zasadzie moglibyśmy spróbować... Dlaczego mamy zlecać organizowanie kursów jakimś firmom z zewnątrz? Przecież takie kursy są co miesiąc, a pan mógłby je świetnie poprowadzić. Więc, gdyby pan u nas pracował, to byłoby dla nas taniej, a pan by miał pracę, prawda?

No, prawda. Brzmiało logicznie. Tylko nie wiem, czy chciałem pracować w Urzędzie Zatrudnienia.

- A ile bym zarabiał? – spytałem interesownie, żeby nieco zniechęcić. Kierowniczk nie wzięła mi tego za złe.

- Niestety, nie mogłabym dać panu całego etatu, najwyżej pół. Byłoby to – spojrzęła do dokumentów – coś koło 1000 złotych. Na rękę.

- To chyba bardziej mi się opłaca zasiłek, który mi pani wypłaca, prawda? To może już niech tak zostanie...

Posmutniała. Ale po chwili milczenia uśmiechnęła się.

- To może zatrudnimy pana na czarno?

- W Urzędzie Zatrudnienia?

- Czemu nie? – uśmiechnęła się kierowniczk – skoro nie ma innej możliwości? Dostanie pan zlecenie na kurs w marcu, potem na szkolenie w

kwietniu, potem na konsultacje w maju – i tak przez pół roku, póki będzie przysługiwał panu zasiłek. A potem albo nie pogardzi pan pół etatem, albo przyznają mi cały etat. Więc jak?

Zgodziłem się. Kto by mógł odrzucić propozycję kierowniczkę Urzędu Zatrudnienia? Tym bardziej, że na zleceniu miałem zarabiać dwa tysiące miesięcznie. Plus ten zasiłek. Plus robota dla Ośrodka Kultury. Plus, ewentualnie, Kurs Rolniczy. Jeśli adwokat mojej żony da mi tę robotę. W co wątpiłem. Zapowiadało się, że zostanę milionerem. Kupiłem Alicji dwie kolby na miodzie, sobie butelkę Johnny Walkera i ćwierć kilo kaszanki. Zapowiadał się uroczy wieczór.

*

Wieczorem najstarsza córka sąsiadów przyniosła mi mleko. Postawiła kankę na stole i czekając, aż przeleję zawartość do garnka, rozglądała się ciekawie po mieszkaniu. Na ekranie komputera migał wygaszacz, którego treść nie powinna być pokazywana młodzieży. Choć córka sąsiada była już klasie maturalnej, czułem się skrępowany. Udawała, że tego nie widzi.

- Nie smutno panu tutaj samemu?

- Nie jestem sam, mam chomika. Czasem smutno. Ale co mam zrobić? Będziesz mnie rozweselać?

- Może? – przysiadła przy kuchennym stole, sięgnęła do kieszeni kurtki. – A co dostanę, jak panu coś dam?

- Zależy co dasz – powiedziałem. Takiej opcji nie brałem dotąd pod uwagę.

- Cukierka?

- Zjadłam już panu wszystkie – przyznała się – jak mieliśmy klucz to przychodziłam tu codziennie. Siadałam w pana fotelu i oglądałam pana telewizję. Ale i tak panu dam.

Wyjęła pogniecioną kopertę z urzędowym stemplem. Wezwanie do sądu. Pomyślałem, że to Ania zaprasza mnie na spotkanie rozwodowe, ale wezwanie było do Sądu Pracy. Na jutro.

- Kiedy to przyszło? Czemu nie przyniosłaś od razu?

- A z tydzień temu. Nie było pana, kiedy ja byłam, a ja chciałam osobiście. No bo tu jest napisane *do rąk własnych*. Z sądem nie ma co się spieszyć...

Posiedziała jeszcze chwilę. Zaprosiłem ją na następny wieczór, żeby sobie połążyła po Internecie. Nakarmiłem Alicję, odstawiłem Johnny Walkera, żeby jutro nie zaspać i włączyłem komunikator.

- *Jak tam na wsi?* - odezwała się zaprzyjaźniona nauczycielka z Bydgoszczy – *Pewno romantyczna wiosna?*

Rzeczywiście, temperatura utrzymywała się od kilku dni powyżej zera, śnieg na ulicy i podwórku zniknął, tylko pod okapem garażu i stodoły bielily się zlodowaciałe zwały. Otworzyłem okno. Ulicą ciągnął fetor świeżej gnojowicy. Gospodarze zaczęli nawozić pola, robiąc wiosenne porządki w obejściach. Wiosnę czuć było wyraźnie.

- *Rzeczywiście, wiosennie. Ale chyba nie koniecznie romantycznie.*

- *Nie masz duszy romantyka? Szkoda, bo ja tak* – uczyła ostatni rok przed odejściem na emeryturę. Była nauczycielką przedmiotów zawodowych w technikum księgowości – *Wyobrażam sobie, jak siedzisz nad brzegiem cicho szmerzącego strumyka, wpatrując się w zachodzące słońce i słuchając śpiewu ptaków, tylko od czasu do czasu podchodząc do komputera i głaszcząc wiernego psa, wpatrujesz się w fotografię ukochanej...*

Na biurku stała fotografia żony ze mną na wycieczce w stolicy. W tle jesiennymi barwami grał Park Łazienkowski. Wyglądało na to, że to ostatnie nasze wspólne zdjęcie. Nad biurkiem wisiała spora fotografia Agaty, gdzie którejś nocy namazałem flamastrem: *Pomyłka, proszę się wyłączyć!* Tak mówiliśmy, kiedy odbieraliśmy telefon będąc nie sami w pokoju. Na komputerze włączył się wygaszacz ze zdjęciami Nicole Kidman. Wpatrywałem się we wszystkie trzy. Poglaskałem wiernego chomika, który pożywiał się w słoiczku. Usiłował mnie ugryźć, ale bez wiary w skuteczność – dzieliły nas pręty klatki. Zachodzącego słońca nie było widać, bo lało jak z cebra. Śpiewu ptaków nie dało się słyszeć, bo ulicą jechały na pierwszym biegu traktory z gnojowicą, jeden za drugim, naliczyłem jedenaście. Sąsiad po drugiej stronie ulicy przecinał drzewo cyrkularką. Pies sąsiada po drugiej stronie ulicy czekał od piętnastu minut w

tym samym rytmie. Sąsiad z mojej prawej strony rozmawiał z sąsiadem z mojej lewej strony wypowiadając w miejscowym narzeczu opinie na temat pogody. Strumyk na końcu mojej łąki szemrał cicho między śmieciami, które usiłowali spławić do jeziora wszyscy sąsiedzi, mieszkający w jego górnym biegu. Zamknąłem okno. Przestało walić gnojowicą, pies ucichł, traktory przejechały, wrzeszczących sąsiadów niemal nie słyszałem. Było miło, wiosennie, romantycznie. Pachniało chomikiem.

- *Prawie zgadłaś z tym romantyzmem, skąd wiedziałaś?*

- *Telepatia, już sporo o tobie wiem...*

*

W gmachu sądów tym razem bez kłopotów znalazłem salę, do której miałem wezwanie. W wokandzie była wypisana moja sprawa, tylko nie zgadzała się godzina. Żony nie było, ale po dłuższej chwili pojawił się mecenas, tym razem występujący jako radca prawny. Sprawiał wrażenie zupełnie innego człowieka, niż jeszcze kilka dni temu. Wesoły, uśmiechnięty, poznał mnie od razu, podał rękę i powiedział:

- Te sprawy często się przewlekają i podobno godzina to normalne opóźnienie. Na wezwaniu mamy jedenastą, na wokandzie napisali dwunastą, pewno wejdziemy o pierwszej. No to musimy skorzystać. Może pójdziemy na kawę?

Tym razem mnie zależało, więc wymyśliłem, że ze strony mecenasa to podstęp – my pójdziemy na kawę, a tu nas wywołają, stron nie będzie, sąd poczuje się dotknięty i odrzuci mój pozew. Nie ze mną takie numery, Bruner!

- Bardzo dziękuję, ale lekarz mi zabronił kawy. Może po prostu usiądziemy.

Chciał najwyraźniej rozmawiać. Głupio wyglądał w tej todze z zieloną wstążką. Chyba nie chciałem, żeby moja córka miała takiego nowego tatusia. Nawet, jakby miał być tylko jej teściem. Pod ścianą korytarza, w miejscu, skąd drzwi do sali były dobrze widoczne, stało kilka krzeseł. Przysunął się do mnie.

- Proszę mnie nie traktować jak wroga, ja nie mam do pana stosunku osobistego.

- Tak, do mnie nie, domyślam się!

Uśmiechnął się, wyczuwając aluzję. Pokręcił głową.

- To też nie tak, ja jestem zawodowcem. Płacą mi, to się staram, żeby się wywiązać. Rozwód to rozwód, zwolnienie to zwolnienie, a ugoda to ugoda. Tym razem chciałbym zaproponować ugodę. Bardzo chcieli pana zwolnić, więc się pospieszyli i rzeczywiście wyszedł bubel prawny – rozejrzał się i przyciszył głos – Między nami mówiąc, sądy zawsze sprzyjają pracownikom i starają się dołożyć pracodawcom. Więc sprawę ma pan jakby wygraną. Ale to potrwa i na pewno nie dostanie pan wszystkiego tego, czego pan chce. Więc możemy się pewno dogadać...

- Mówi pan to jako radca prawny mojej żony, jako szef działu kadr, jako jej adwokat rozwodowy, czy jako jej osobisty przyjaciel?

Jego śmiech był trochę wymuszony.

- Mówię jako doświadczony prawnik. W sądzie nie ma przyjaciół i wrogów, są strony procesowe. No to jak? Trzykrotna pensja, bez powrotu do pracy i wycofanie pozwu. Zgadza się pan?

Nie było to tyle, ile bym oczekiwał. W pozwie żądałem zwrotu utraconych zarobków, odszkodowania i przywrócenia do pracy. Ale rozumiałem to jako stanowisko negocjacyjne.

- Panie mecenasie! Wiem, że sytuacja firmy jest nie najlepsza, ale nie z mojej winy. Trzeba było mnie nie zwalniać.

- No, to jest do dyskusji. To pana odejście wywołało kryzys, a w zasadzie jeszcze wcześniej – pana naganne postępowanie wobec małżonki, co jest jak wiadomo przedmiotem odrębnego postępowania w tym gmachu...

Wyglądało na to, że chwilowe zbliżenie stanowisk już minęło. Korytarzem szła Ania, z którą nie widziałem się od Wigilii. Widząc mecenasa, odpowiedziała chłodno na mój ukłon, udając, że mnie nie poznaje. Powinienem się z nią zobaczyć i dowiedzieć się, kiedy będzie druga rozprawa. Odwróciłem się do mecenasa.

- Roczna pensja i przywrócenie do pracy. W zamian za rezygnację z odszkodowania i wycofanie pozwu. Pozwoli to firmie odzyskać dobre imię, no i wydajnego pracownika.

- To chyba będzie niemożliwe.

- To poczekajmy na sąd – powiedziałem i w tym momencie otworzyły się drzwi sali rozpraw.

Sędzia skinął głową mecenasowi, mnie wskazał miejsce po przeciwnej stronie. Zajrzał do akt.

- Czy strony próbowały postępowania pojednawczego?

- Tak, wysoki sędzie – odezwał się mecenas – ale propozycje firmy nie zostały przez powoda przyjęte.

Sędzia jeszcze raz spojrział do papierów.

- Czy zbieżność nazwiska właściciela i dyrektora firmy z nazwiskiem powoda jest przypadkowa?

Wyjaśniłem. Mecenas uzupełnił:

- To w żaden sposób nie może rzutować na kwestie zawodowe, bo właśnie jesteśmy w trakcie postępowania rozwodowego i jest sprawą kilku tygodni...

- Jesteśmy, mówi pan? Kto z kim się rozwodzi, panie mecenasie?

- Moja klientka, to znaczy moja dyrektorka z pozwanym, to znaczy z powodem...

Jego własna opinia o jego własnym doświadczeniu prawniczym musiała być sporo przesadzona. Sąd podzielił zdaje się ten pogląd, bo powiedział:

- Niepotrzebnie zasugerował pan sądowi, że wyrzucenie powoda z pracy miało charakter osobistej zemsty. Sąd weźmie to pod uwagę przy wydaniu orzeczenia. 10 minut przerwy. Strony mogą pozostać w sali i wykorzystać ten czas na kolejną próbę porozumienia się.

Wyszedł i mecenas znów przysiadł się do mnie.

- Zagalopowałem się, faktycznie. Więc jak pan powiedział? Rok... Tyle nie damy. Może być pół roku. Ale bez powrotu do pracy.

- Jak bez powrotu, to rok. Jak pół roku, to z powrotem i odszkodowaniem.

- Rozmawiajmy jeszcze...

Zastanowiłem się. Czy naprawdę chciałem powrotu do pracy? Czy w obecnej sytuacji byłoby to możliwe? I czy ta praca mi jeszcze odpowiadała?

- Proszę pana, zależy mi na pieniądzach, bo jak panu się powiedzie, to pewno

będę musiał zapłacić za rozwód i jeszcze mnie czekają alimenty. Jak panu się nie powiedzie, to wrócę do pracy kiedy będę chciał. Więc niech pan wybiera.

Wysoki sąd wrócił na salę. Wstaliśmy, potem usiedliśmy. Mecenas wrócił na lewą stronę.

- Uzgodnili panowie?

- Nie bardzo – powiedziałem.

- Widzę. Sąd podziela stanowisko pozwanego o niezasadności zwolnienia dyscyplinarnego, gdyż z dołączonych akt wynika, że nastąpiło ono w czasie, gdy pozwany przebywał w szpitalu, o czym z racji swego ciężkiego stanu nie mógł zawiadomić firmy. Powinien to zrobić szpital, nie zrobił albo zrobił za późno, można dochodzić odszkodowania od szpitala, sąd tym się nie zajmuje, to kwestia sądownictwa cywilnego, nie sądu pracy. Firma złamała prawo i poniesie za to karę. Natomiast zwolnienie strukturalne jest uzasadnione, zaś wystawienie go w środku, a nie z końcem miesiąca skutkuje tym, że pozwany mógł uznać je za nieważne z formalnego punktu widzenia. W opisanych przez mecenasa okolicznościach jednakże sąd nie widzi możliwości dalszej pożytecznej współpracy. W tej sytuacji sąd orzeka: Firma zwróci powodowi równowartość utraconych zarobków, to jest kwotę równą dwóm pensjom.

Mecenas ucieszył się, widziałem, że ma ochotę pokazać mi język. Roześmiał się i zaczął pakować teczkę. Sędzia uderzył aktami o stół.

- Panie mecenasie, proszę uważać, bo pańskie zarobki zmniejszą się o kwotę kary za obrazę sądu! Nie skończyłem. Jednocześnie firma zapłaci powodowi odszkodowanie w kwocie równej jego półrocznej pensji. Termin wykonania – dwa tygodnie, pod rygorem egzekucji przez komornika. Sąd nie nakazuje przywrócenie powoda do pracy, a jedynie sugeruje przedłożenie mu wypowiedzenia zgodnego z prawem, to jest z datą 30 marca najwcześniej. Koszty sądowe poniesie firma. Zamykam rozprawę.

Wstaliśmy, mecenas podbiegł do mnie i wyciągnął rękę. Z wahaniem uścisnąłem jego dłoń, w końcu był tylko narzędziem, kiepskim zresztą.

- Gratuluję panu, w gruncie rzeczy byłem cały czas po pana stronie.

- A to nie pan przypadkiem podpisał moje zwolnienie?

- Och, wie pan przecież, co ja mogłem!

- To niech pan robi to, co pan może.

Uśmiechnął się i odwracając się do mnie, dodał:

- Zarekomendowałem pani dyrektor przyjęcie pana oferty w sprawie kursu rolniczego. Ale niestety, nie mamy etatu. Najwyżej na współpracę. Ale nie jestem pewien, czy ona na to pójdzie.

Byłem bogaty! No, może nie bogaty, ale bogatszy. Mogłem zacząć myśleć o własnym seicento. A rozwód nie wyglądał zbyt prawdopodobnie przy takim rzeczniku prawnym. Pożegnałem go może nie serdecznie, ale bez urazy. W końcu – przegrał prawie tak jak chciałem.

W sądzie rodzinnym Ani już nie było. Miałem pół godziny do autobusu i po drodze punkt dilerski fiata. Wstąpiłem. W części komisowej był roczny egzemplarz w niezłej cenie, zielony, na dogodne raty. Poczulem czyjąś rękę na ramieniu. Długie włosy wysokiego sądu powiewały na wietrze.

- Nie rób głupstw, przynajmniej nie dzisiaj. Rozumiem, że wygrałeś w sądzie pracy?

- Wygrałem. Dlaczego głupstw? Kiepski samochód?

- To że tam wygrałeś, nie znaczy, że u mnie wygrasz. Albo u kogokolwiek. Chcesz powiększać przed rozwodem majątek do podziału?

Zastanowiłem się. Po pierwsze – nie chciałem. Po drugie – dotarło do mnie, że kwestia rozwodu jest rzeczywiście możliwa. A jak Ania nas faktycznie rozwiedzie? Zostanę sam, no, powiedzmy – z chomikiem i co wtedy? Przecież tyle lat wspólnego życia musi coś znaczyć?

Kierowniczka salonu fiata podeszła z kluczami:

- Zapraszam, niech państwo się przejadą. Jazda próbna nic nie kosztuje, a przekona się pan, że autko niewiele jest mniejsze od pańskiego poprzedniego.

- Może następnym razem - powiedziałem – na razie jeszcze nie jestem na kupnie. Zresztą znam ten samochód.

Pewnie, że znałem. Do komisumusiał je wstawić mąż Agaty. Wielokrotnie nim jeździłem, więc jazda próbna nie była niezbędna. Hurtownia pewno się rozwijała i seicento przestało być potrzebne. Agata zawsze chciała mieć opla.

Ania skończyła przegląd swojego uno i pojechaliśmy. Dała mi kluczyki, żebym sobie trochę poprowadził.

Przed Domem Handlowym stała Agata i nie mogła nas nie zauważyć, bo rozmawiając z Anią podjechałem wprost pod przejście dla pieszych, gdzie była pierwsza pod światłami. Nie spieszyła się, bardzo wolno przeszła przed naszą maską, uśmiechając się dość dwuznacznie. Ukłoniłem się sztywno. Spoważniała, odkłoniła się i szybko pomaszerowała dalej.

- To ona? – upewnił się wysoki sąd – To przez nią to wszystko?

- To ona, ale to nie przez nią. Nie tylko przez nią.

Na następnym skrzyżowaniu Ania nagle zsunęła się prawie na podłogę.

- Jedź szybko! lepiej, żeby nas nie zobaczyli!

Na sąsiednim pasie w niebieskim audi jechała moja żona ze swoim mecenasem. W ogóle nie patrzyli w naszą stronę. Nawet przez zamknięte szyby słyhać było, że się kłócili. No, prawdę powiedziawszy nie popisał się Januszek. Był coraz kosztowniejszą zabawką i obawiałem się, że już niedługo na rynku poszukiwania pracy w dziedzinie komputerowej zacznie być tłoczno – paru bezrobotnych może przybyć i w naszej – przepraszam, już nie mojej – firmie.

Skręcili w lewo, ja pojechałem prosto nad jezioro, wypić z Anią kawę w „Czarnym Kocie”. Jak się człowiek przyzwyczai, to trudno mu wybrać coś innego. Na parking, płatnym, i wyjątkowo także strzeżonym, podszedł do nas parkingowy pan Mietek wraz z młodym, nie ogolonym oczywiście, pomocnikiem.

- Wycieraczki może pan kupi? - zapytał nieogolony.

- Nie, dziękuję, nie potrzebujemy.

- Nowe są – dodała Ania – dziękujemy.

- Lepiej wziąć – doradził parkingowy - Takie wycieraczki to się szybko zużywają.

- A tu jedna tak jakoś słabo przylega – dodał nieogolony.

- Ale działa – powiedziała Ania, kończąc dyskusję.

Nad gastronomiczną częścią motelu wisiał napis *Kawiarnia. Specjalność zakładu – pstrąg. Noclegi*. A obok reklama: *Kto w „Kocie” zje – ten fajny je.*

Właściciel spędzał niedawno urlop na Podhalu, zakochał się w góralce i lubił posługiwać się zarówno gwara, jak i stylistyką góralską.

- Czy chamstwo powinno być utożsamiane z folklorem?

- Nie powinno. Ale jest. A brak kultury z kulturą ludową. Zeżremy co?

Kelner podał nam kartę, w której widniały *dania kuchni góralskiej*. Ania zapytała czym się różni placek po zbójnicku od placka po góralsku, placka po bacowsku i placka po juhasku. Kelner spojrzał na nią, jak na typową ceperkę. Znałem go, był Kaszubem.

- To jest taki placek po węgiersku, tylko z różnymi serami.

- To poproszę.

- Który?

- Po zbójnicku.

- Po zbójnicku już nie ma. Może być po góralsku, tylko że z serem z juhaskiego.

Zamówiłem polędwicę z zielonym pieprzem, zastępczo z czarnym pieprzem. Jak odszedł, Ania zapytała szeptem:

- Nie wiesz, co ja zamówiłam? Głupio mi się było wycofać, ale co to jest placek po zbójnicku w sosie z górala czy jakoś tak?

Nie spiłowała dwóch placków ziemniaczanych z gulaszem i sosem pomidorowym oraz startym oscypkiem. Przy kawie zadała mi to pytanie, którego się obawiałem i na które po prostu nie umiałem odpowiedzieć:

- To powiedz mi, chcesz tego rozwodu, czy dalej nie?

Nie chciałem. Ale też nie chciałem, żeby było tak jak teraz czy jak ostatnio. I nie wiedziałem, czy ten czas da się cofnąć.

- Nie jestem w stanie nikogo i niczego zmienić. Mogę tylko dać rozwód lub nie dawać. To będzie jeszcze jedna rozprawa pojednawcza. A za trzecim razem już będzie decyzja. I nie wiem, jaka. Nasza znajomość na nią nie wpłynie.

Nie bardzo wierzyłem. Ale nie wypadało mi o nic pytać. Na przykład, czy wysoki sąd jest zamężny. Czy ma dzieci. Czy przyjaźni się ze mną z przypadku, czy z ochoty. Poza tym, bałem się jej. Nie bez powodu.

- Odwiozę cię. Ale potem muszę jechać do domu. Pani Małgosia tylko

wyjatkowo zostaje mi z dziećmiakami po szóstej. A i tak potem muszę z nimi parę godzin walczyć, zanim sprzątną i zasną.

Jedna niewiadoma się wyjaśniła. Druga pojawiła się za chwilę. W fiacie nie było wycieraczek. Już dawno nie widziałem tak wściekłej kobiety. Parkingowy podszedł skasować opłatę. Jego nieogolony towarzysz spytał:

- Kupią państwo wycieraczki do uno? Tanio sprzedam...

Wysiadłem i zacząłem pertraktować. Policja przyjechała po kilku minutach, musieli być gdzieś w pobliżu. Ania wezwała ich przez komórkę, kiedy tylko stwierdziliśmy brak wycieraczek, sam nie zauważyłem momentu, kiedy dzwoniła.

- Na drugi raz uważaj co i komu kradniesz – powiedział znajomy kapral policji – pani sędzia nie daruje ci tych pięćdziesięciu złotych.

- Posiedzi nie za pięćdziesiąt złotych, tylko za chamską bezczelność – mamy na to paragrafy.

Spojrzałem na nią spod oka. Była wściekła, ale fajna. Wiadomo – żarła w „Kocie”!

*

Alicja dostała plastikową kulę, w której mogła sobie biegać po podłodze, nie ryzykując zgniecenia, nie mogąc uciec, ale mając złudzenie wolności. Wpatrywałem się w tę alegorię życia człowieka i ciągle nie mogłem się zdecydować co robić dalej. Miałem, w zasadzie, trzy drogi do wyboru: klatka z ciasnym domkiem, karuzelą, słoičkkiem na karmę i toaletą, kulę ze złudzeniem swobody, bezpieczną ale ogłupiającą i ucieczkę na wolność, z ryzykiem ciężkiego buta, kota sąsiadów, ugrzęźnięcia w rurze od odkurzacza czy zwykłej śmierci z głodu. Wybór był oczywisty – kula.

Wiosna robiła się coraz większa i postanowiłem trochę posprzątać. Za trzy dni miałem zacząć zajęcia dla emerytów w Ośrodku Kultury, kilka dni później miało się rozstrzygnąć, co z organizacją kursów dla bezrobotnych, no i moja żona miała podjąć decyzję w sprawie szkolenia rolników. Dzwoniłem do niej kilkakrotnie, raz nawet ze mną rozmawiała, dość sympatycznie, mówiąc mi, że pewno się zdecyduje na współpracę, bo nie ma większego wyboru. Kiedy jednak

zaczęłam ją namawiać na inne decyzje – powiedziała, że jest bardzo zmęczona i głowa ją boli. Czyli standard.

Złapałem odkurzacz, sprawdziłem, czy nie ma w nim chomika i włączyłem do prądu. Huknęło, z kontaktu posypały się iskry i na całej ulicy zgasło światło. Słyszając oburzone głosy sąsiadów, zadzwoniłem do elektrowni i przyznałem się do spowodowania awarii. Powiedzieli, że to przypadkowy zbieg okoliczności, bo akurat prowadzili eksperyment związany ze wstąpieniem mojej wsi do Unii Europejskiej. Eksperyment się widać nie udał, bo moja wieś nie wytrzymała podwyższonego do 230 Volt napięcia. Nie najlepiej wróżyło to na przyszłość, jako że napięcie w całym kraju w przededniu zapowiedzianego referendum i tak bardzo rosło. Byłem co prawda pełen wątpliwości, czy to może jednak mój odkurzacz zademonstrował swoją niechęć do Unii, ale nie podzieliłem się tą myślą z elektrownią. Obiecali przyjechać, wymienić bezpieczniki na słupie i więcej nie eksperymentować.

Zapaliłem świeczkę i w tym momencie poczułem, że w domu ktoś jest. Alicja siedziała w klatce i tylko słyszałem jak chrupie. Drzwi wejściowe naturalnie nie były zamknięte, więc wejść mógł każdy, ale kto by chciał? Pomyślałem, że to może żona chce mi zrobić niespodziankę i porozmawiać ze mną pojednawczo w przededniu rozprawy pojednawczej.

- Czy to ty, kochanie?

- Tak – odpowiedział ktoś szeptem, ale to nie był szept mojej żony. Zresztą, nie przypuszczałem, żeby w takiej sytuacji do mnie szeptała.

- Wejdz, Agatko – zaryzykowałem.

- M...m... – usłyszałem mruczone zaprzeczenie. Każda następna hipoteza pogrążała mnie w oczach, a w zasadzie w uszach tej osoby, kimkolwiek ona by nie była.

- Dobra, Aniu, nie ma światła, ale i tak wstawię na herbatę.

Spod drzwi rozległ się chichot. Podwójny. Śmiały się ze mnie dwie panienki. Podniosłem świecę.

- Mleko przyniosłyśmy – powiedziała córka sąsiada – Zuza jest ze mną, bo się bałam sama. Ciemno bardzo. Śmiesznie pan mówił. Chciałyśmy zobaczyć

Internet.

- Bez prądu będzie ciężko. Ale wejdźcie, może włączą. Właśnie sprzątałem.

Nadmierna grzeczność z pewnością kiedyś mnie zgubi. Elektrownia przyjechała po przeszło godzinie i była to jedna z najdłuższych godzin w moim życiu. Próbowałem z dziewczynami rozmawiać, ale słabo wychodzi dialog, jeśli jedna strona mówi, a druga stale chichocze, choć temat wcale nie jest dowcipny.

- Może się czegoś napijecie? Kawy czy herbaty? Mogę ugotować na gazie...

- A wino pan ma? Wina byśmy się napiły, no nie, Zuza? I nie trzeba gotować...

Wino miałem, ale tego jeszcze by brakowało, żeby dwie licealistki wychodziły ode mnie pijane... Sąsiad wsypałby mi do mleka dwa razy więcej ixi niż do bańki dla Spółdzielni Mleczarskiej. Chomik wyszedł z domku i hałasował słoikiem. Potem wszedł do karuzeli i zaczął się kręcić.

- Wypij, będziesz łatwiejsza, no nie Zuza?

Zuza zdecydowanie tworzyła tylko tło na tej scenie, ograniczając się do wydawania piskliwego chichotu. Córka sąsiada zdecydowanie przejęła inicjatywę. Siadłem zrezygnowany w fotelu i postanowiłem poddać się biegowi wydarzeń. Ale wydarzenia stały w miejscu i zrobił się pat.

- Co pan nic nie mówi? Gorąco tu, no nie, Zuza?

Córka sąsiada zdjęła kurtkę. Zuza zdjęła sweter. Alicja została w futerku, ale kręciła się w swojej karuzeli coraz szybciej. Za oknem z piskiem zatrzymała się nyska. W świetle samochodowych reflektorów elektrycy wspięli się na słup. Przekleństwa słychać było w całej wsi – jak jest ciemno, to akustyka znacznie się poprawia. Zuza chichotała. Córka sąsiada dorzuciła polano do kominka i przykucnęła koło mojego fotela. Zrobiło się przytulniej. Ale zapaliło się światło. Odkurzacz warknął, chomik z łomotem schował się w domku. Zuza zachichotała, córka sąsiada wstała i odeszła na drugą stronę pokoju. Z odkurzacza posypały się iskry, światło znowu zgasło w całej wsi. Elektrycy wymienili następny komplet bezpieczników. Ich przekleństwa pod adresem Unii Europejskiej wywołałyby entuzjazm w Partii Prawdziwej Prawicy. Na wszelki wypadek wyciągnąłem wtyczkę z prądu. Świeca migotała.

- Zimno się zrobiło, no nie, Zuza? – powiedziała córka sąsiada, wkładając kurtkę. Zuza poprawiła stanik i włożyła sweter. Alicja wyszła z klatki, w futerku, i poszła się kręcić. Światło zapaliło się ponownie, ale eurosceptyczny odkurzacz milczał, więc tym razem nie zgasło.

- To my już pójdziemy – powiedziała córka sąsiada. Przełam mleko do garnka, umyłem borynkę i podałem jej.

- Może chcecie posurfować po Internecie? – powiedziałem z uprzejmości. Popatrzyły po sobie, Zuza zachichotała. Córka sąsiada spojrzała na mnie z politowaniem.

- Jeszcze musimy się uczyć, no nie, Zuza? A jak jest już światło, to idziemy do domu.

Zrobiło mi się smutno, znowu miałem zostać sam. Już mi się nie chciało sprzątać.

- Wpadniesz jutro? – zasugerowałem córce sąsiada ograniczenie liczby uczestników spotkania. Pokiwała głową.

- Przyniosę mleko.

Wyszły. Odetchnąłem z ulgą. Rola starego lowelasa trochę mnie zmęczyła. Niby wszystko działo się bez mojego udziału, ale przecież jakoś swoim usposobieniem, czy jakimiś głupimi wcześniejszymi uwagami musiałem ją ośmielić. Kominek przygasał, więc sięgnąłem po następne polano. Wrzuciłem kilka i pochyliłem się, żeby podnieść kawałek kory, który odpadł z drewna. I tak już zostałem.

Ból w krzyżach był tak niesamowity, że nie zdołałem się odgiąć. Skurczony przewróciłem się na podłogę.

- Agnieszka! – zawołałem za córką sąsiada. Musiały odejść dość szybko, bo nie usłyszały. Leżałem przed kominkiem, mogłem ruszać rękami i nogami, mogłem mówić, a nawet krzyczeć, mogłem myśleć. Nie mogłem tylko wstać. Więc nie wstawałem.

Jak się nie ruszałem, to nawet mnie nie bardzo bolało. Ale długo bym tak przed tym kominkiem nie wytrzymał. W ostateczności, jutro wieczór Agnieszka przyniesie mleko i mi wtedy pomoże – był to, jakby nie patrzeć, kawał baby.

Wizja lowelasa-paralityka, leżącego dołem w kałuży własnych ekskrementów zmobilizowała mnie jeśli nie do wysiłku fizycznego, to przynajmniej intelektualnego. Zacząłem myśleć. Pomyślałem sobie, że dobrze, że mam telefon przenośny. Pomyślałem sobie też, że kiepsko, że nie mam go w ręce. Widziałem go – leżał na fotelu dwa metry ode mnie.

W zasięgu ręki miałem pogrzebacz od kominka. Brakowało mi jeszcze pół metra. Pomyślałem, że gdybym zdołał przewrócić się na plecy, to mógłbym przyciągnąć fotel, a razem z nim telefon. Oparłem się na łokciu i spróbowałem. Kiedy już wróciła mi przytomność i ból trochę ustąpił - sięgnąłem i przyciągnąłem. Złapałem spadającą komórkę tuż nad ziemią. Znow zaboląło.

Leżałem teraz na plecach w pozycji embrionalnej. Niby niemożliwe, a jednak – czego to człowiek nie robi, kiedy naprawdę musi... Miałem w ręku telefon – i nie miałem do kogo zadzwonić. Po kolei odrzuciłem pomysły zadzwonienia do moich bliskich, bo nagle od pewnego czasu wszyscy moi bliscy stali się moimi dalekimi. Do sąsiada mógłbym w zasadzie, ale pewno znow przyszyłaby Agnieszka z koleżanką, a kolejnego chichotu Zuzy mogłem już nie przetrzymać. Dzwonić po pogotowie w zasadzie też mogłem, ale ciężko mi byłoby wytłumaczyć rodzaj dolegliwości – atak korzonków u samotnego, starszego pana? Ba, żeby tak! Ale nie byłem samotny – w świetle prawa miałem żonę, dwoje dzieci, no i kilkoro przyjaciół. Nie istniał status prawny osoby w trakcie rozwodu.

I wtedy przyszedł mi na myśl wymiar sprawiedliwości. Ania odebrała po dobrej chwili, nieco zadyszana.

- Zadzwoniłem nie w porę? Gdzie jesteś? Co robisz?

- Nie mogłam znaleźć telefonu. Jadę samochodem. Jestem na początku twojej wsi. Będę u ciebie za pięć minut. Jesteś w domu?

- Tak, bardzo – jęknąłem – drzwi są otwarte.

Nie pytała już więcej o nic. Za chwilę weszła, rzuciła płaszcz na ziemię i pochyliła się nade mną.

- Korzonki, co? Znam to... Mam sporą praktykę, nie bój się.

Powiedziała mi, że od korzonków tylko boli. I jak to mężczyzna, boję się

tego bólu, a przecież tak naprawdę to mi się nic nie stało i nie stanie, jeśli pokonam ten ból i powlokę się do łóżka.

- Mój były mąż miał to od młodości. Więc można powiedzieć, że jestem przyzwyczajona.

Z niespodziewaną u tak drobnej istoty siłą pomogła mi się dźwignąć, zabołało okropnie, oparłem się o stół i przysiadłem na łóżku. Ania wygrzebała w torebce blaszkę pyralginy, wyjęła dwie tabletki, resztę zostawiła koło łóżka i poszła po wodę.

- I nie daj Boże leżeć. Dziś śpij na siedząco, ale przede wszystkim – ruszaj się. Jutro przywiozę witaminę B. Musisz wydobrzeć – za dwa tygodnie mamy rozprawę. Wczoraj kazałam wysłać zawiadomienie. Ponieważ oficjalnie nie wiem, że nie mieszkasz w domu, więc poszło na domowy adres. To zmusi twoją żonę do jakiegoś ruchu.

Pokręciłem głową. Zabołało.

- Nie zmusi. Za dwa dni zaczyna się kurs rolniczy, który jest u nas w pracy. Po prostu zostawi mi na biurku. A ja muszę się pozbierać, bo to jest kupa forsy, której potrzebuję na samochód.

Siadła obok mnie. Ciepło jej ciała, jak mi się wydawało, dobrze robiło mi na korzonki. Popatrzyła na mnie z bliska.

- Mam cię rozwieść czy nie?

- Nie wiem – zastanowiłem się – ciągle jeszcze nie umiem być sam.

- I nie powinieneś. Choćby z uwagi na kręgosłup. Na razie trzeba się zdecydować, czy chcesz być z tą kobietą, czy nie.

Chomik Alicja wylazła z domku, gdzie najwidoczniej przespała całą sprawę z korzonkami. Przysiadła w kącie klatki najbliżej Ani i zaczęła obgryzać pręty. Od czasu do czasu spoglądała z ukosa na nas, niewygodnie siedzących obok siebie na łóżku. Ból kręgosłupa nieco przycichł, spróbowałem się nawet trochę wyprostować. W kuchni zagwizdał czajnik – nie zauważyłem, kiedy Ania nastawiła na herbatę.

Usiadłem trochę wygodniej, przenosząc się na fotel. Opatuliła mnie poduszkami – ogólnie dało się wytrzymać.

- Nie jesteś głodny? Może zrobię ci coś na zapas? Ale, moim zdaniem, musisz próbować chodzić.

- Co byś mi doradziła? W sensie prawnym, oczywiście.

Odstawiła kubek z herbatą i zapatrzyła się w kominek.

- W sensie prawnym - nie wiem. Rozwód ułatwi ci pewne działania, odzyskasz albo prawo do mieszkania, albo do samochodu, długi zostaną podzielone, bez obaw będziesz mógł podejmować decyzje w swoich sprawach. Jako kobieta...

Odezwała się jej komórka. Wysłuchała kilku zdań i powiedziała:

- Niedaleko. Będę za dziesięć minut.

Obróciła się w moją stronę:

- Jako kobieta chciałabym, żebym wieczorem mogła komuś powiedzieć dobranoc. I żeby ktoś pomógł mi w trudnej sytuacji. I żeby było do kogo się przytulić. I żeby ktoś umiał zatamować krwotok. Moja młodsza córka skaleczyła się przy kolacji. Pewno nic poważnego, ale niania mdleje na widok krwi. A starsza córka nie umie znaleźć bandaża. Muszę jechać... Wytrzymasz do jutra? Wpadnę przed pracą.

Dałem jej zapasowy klucz, który zostawiła wyjeżdżając moja żona. Czuję się dużo lepiej. Nie byłem całkiem sam, choć moja sytuacja nadal była nie najweselsza. Wstałem i poszedłem do łazienki. Przeżyłem.

*

Musiło tam być nie najlepiej, jeśli żona sama zadzwoniła do mnie, żeby zawiadomić o przyjęciu mojej oferty. Okazało się, że w tym samym czasie w mieście prowadzone były trzy kursy komputerowe i fachowców zabrakło. Mogła, oczywiście, ściągnąć kogoś z województwa, ale ja byłem tańszy. Sprzedaż komputerów znacznie spadła, wzrosły podatki. Urząd Zatrudnienia i Miejski Ośrodek Kultury wycofały się ze współpracy. Wzrosły też koszty osobowe, ale te – jak powiedziała żona – postara się zredukować. No i jeszcze teraz to odszkodowanie dla mnie.

- Mogłabym się odwoływać, składać apelację – siedzieliśmy w jej gabinecie jak za dawnych dobrych czasów. Za parę minut zaczynałem pierwsze zajęcia –

ale to podnosi koszty, w razie przegranej. A już nie jestem taka pewna siebie, w sensie prawnym, oczywiście.

Zorientowałem się, że był czwartek i powinien tu siedzieć jej mecenas.

- Coś się stało?

- Nie, skąd, wszystko gra. Krótko mówiąc, muszę cię zatrudnić, żeby zarobić pieniądze za kurs po to, żeby zapłacić ci odszkodowanie. Musisz być zadowolony, co? Nie wiem, czy przez to nie pójdziemy z torbami!

Pomyślałem sobie, że ja nie, wręcz przeciwnie. I to nie ja podejmowałem decyzje o zwalnianiu mnie z pracy. Ale nie powiedziałem tego głośno.

- Wiesz, że w razie czego możesz na mnie liczyć. Na pewno jeszcze ci się przydam, zobaczysz!

Wstałem, mocno przytrzymując się ręką fotela.

- Tak, widzę – zauważyła sarkastycznie – jesteś w świetnej formie. Coś samotne życie ci nie sprzyja!

- A tobie sprzyja?

- Ja nie narzekam. A poza tym skąd ten pomysł, że u mnie to jest samotne życie?

Wyszedłem, bo zaczynały się zajęcia.

W przerwie podeszło do mnie kilkoro kursantów.

- Czy nie pomógłby pan nam kupić komputer? I potem zainstalować w domu? Oczywiście prywatnie, poza kursem...

Zapisałem telefony i adresy. Większość osób pochodziła z najbliższej okolicy, zauważyłem też sąsiada z mojej wioski. Bardzo się zdziwił, bo we wsi mało kto wiedział, czym się zajmuję. Wracalem z nim po kursie do autobusu i potem do wsi. Właśnie po zajęciach w szkołach średnich wracała do domów młodzież szkolna, więc wszystkie miejsca były zajęte.

- Wie pan, ja to bym bardzo chciał taki z DVD – krzyczał mi sąsiad do ucha. Obaj udawaliśmy, że nie słyszymy co i jak mówi w autobusie młodzież szkolna. Nie słyszał też kierowca, trzy nauczycielki, ksiądz i policjant z naszej wsi, wracający po służbie do domu. Przekleństwa nie były zresztą wymierzone przeciwko komukolwiek – ot, po prostu, występowały jako element folkloru, jako

niezbędne uzupełnienie slangu młodzieżowego. Były jak palenie papierosów – przydawały dorosłości.

Inna rzecz, że w tym autobusie klęły także dzieci i starszki rencistki. Nie klął ksiądz i policjant, bo obaj spali.

Staliśmy, trzymając się siedzeń, na których klęła młodzież. Autobus kolebał się na wybojach. Trudno się rozmawiało. Ale sąsiad rozwijał temat komputera.

- Bo taki z DVD to jest jak własne kino. Byłem u znajomego na filmie „Shrek”, pan widział, nie? Jaja nieprzytomne! No i ja to chcę koniecznie. Tylko nie bardzo mam kiedy oglądać, ale chociaż w sobotę wieczór i w niedzielę po mszy. Bo tak, to nie da rady.

Na okres kursu musiał wziąć urlop. Był jednym z nielicznych mieszkańców naszej wsi, który pracował i nieźle zarabiał. Kumpel z wojska załatwił mu posadę w fabryce butów. Kiedyś, za komuny, takie specjalne autokary jeździły po wsiach i bladym świtem zbierały załogę, żeby dowieźć ją przed szóstą do kombinatu. W tym autobusie można było jeszcze podrzemać, albo wypić pierwsze piwo. Po drugiej człowiek wracał tym samym autokarem, klnąc z resztą dojeżdżających na majstra, dyrekcję, zarobki, związki zawodowe i kiepskie piwo w kiosku. Teraz, po sprywatyzowaniu zakład oszczędzał i każdy musiał dojechać na własną rękę.

- Budzik dzwoni codziennie o 3.15. O czwartej wychodzę z domu. O piątej mam autobus z szosy głównej. O szóstej staję przy taśmie. Za minutę spóźnienia można mieć uwagę i po premii, za trzy uwagi – żegnaj, praco! Po południu biorę pół etatu drugiej zmiany, na portierni. O szóstej kończę i zaczynam powrót. Kiepsko się mi układa, bo na autobus czekam do siódmej. To jeszcze jakieś zakupy zrobię. W domu przeważnie jestem po ósmej, czasem pogodę uda mi się zobaczyć. Najpóźniej o dziewiątej zasypiam. W chałupie mam przechlapane, kobieta na bezrobociu, to wariuje z nudów, chciałaby chociaż porozmawiać, co na świecie się dzieje, nie mówiąc już o tych, pan wie, obowiązkach małżeńskich. A mnie się po byle piwie oczy kleją. I tak w kółko. Kasa jest, nie powiem, ale co z tego? To chociaż te filmy bym obejrzał. A jak się uda z tą agroturystyką, to pieprzę tym póletatem, zawsze będzie więcej czasu w domu...

Młodzież robiła widać konkurs na dowcip, bo co parę sekund wybuchały

salwy śmiechu, zagłuszające rozmowę. Już z dwojga złego wolałem jak klęli. Na szczęście jednak wysiadali po trochu, więc tłok zmniejszał się z każdym przystankiem, a wraz z nim – hałas. Wreszcie zrobiło się cicho i prawie pusto. Usiedliśmy. Na horyzoncie pojawiła się wieża kościoła, stojącego przy głównym placu w naszej wsi. Sąsiad przeżegnał się. Nie wiedziałem, że jest taki religijny.

- Pan się nie boi? – ściszył głos do szeptu, ale w turkocącym autobusie i tak musiał szeptać bardzo głośno.

- Boję się – potwierdziłem. Z fanatykami lepiej nie zaczynać. W dodatku był bardzo przepracowanym i niewyspanym fanatykiem. – A czego?

- No przecież tego, co się dzieje na tym polu Fabisiaków.

- Nie wiedziałem. I co na tym polu?

Rozejrzał się i mówił mi prosto do ucha. Był nieogolony. Nie lubię poufałości, zwłaszcza kiedy drapie kłującą szczecinę.

- Znowu się pokazało. Dziś w nocy. Rano mi powiedzieli, w autobusie.

Wstaliśmy. Autobus zwalniał. Czekał nas jeszcze półtorakilometrowy spacer boczną drogą. Zapadał zmierzch. Poczułem swędzenie na plecach. Jak w zasadzie wygląda ciarka?

Rolnicy z naszej wsi mieli pola pomiędzy główną drogą a ulicą Miejską. Fabisiak był jednym z najbogatszych sąsiadów, pola były dodatkiem do emerytury, którą przez wiele lat wypracował sobie w Niemczech, zazwyczaj uprawiał je wspólnie z kilkoma parobkami, których nazywał gasterbeiterami. Teraz część pola przylegająca do drogi była odgradzona biało-czerwoną taśmą, przy której stało kilka osób. Idący przed nami nasz wiejski policjant zatrzymał się, my też.

- Co się pokazało? Diabeł? Matka Boska?

Nigdy nie wiadomo, która opcja jest dla sąsiada straszniejsza.

- Koła – powiedział i spojrzał na mnie zdziwionym wzrokiem - Kręgi zbożowe. To już trzeci raz. Pierwszy raz były w listopadzie, zaraz po Zaduszkach. Nie widział pan? Wszyscy widzieli.

- Kręgi zbożowe w śniegu? – ciarki mi znikły, sprawa nie wyglądała groźnie – może kto wydeptał?

Sąsiad popatrzył z politowaniem. Nie wiedziałem, co powiedzieć, sprawa może była poważniejsza, niż wyglądała. Policjant usłyszał moje pytanie.

- W śniegu. Zboże wyrośnie później. Teraz są w ozimie. Fabisiak stratny nie będzie, ale to niedopuszczalne, żeby w porządnej wsi jakieś pojazdy niezidentyfikowane poruszały się poza pasem ruchu drogowego i nie objęte kontrolą. Będziemy teraz pilnować. Sołtys zarządził powołanie straży obywatelskiej.

Przecisnąłem się do przodu. Na ledwie wyrosniętej zieloności widać było jakieś ślady. Nie za wyraźne, ale w każdym razie coś się z tą ozimina działo. Koła wydawały mi się niezbyt regularne, niemniej jednak coś tę oziminę wygniotło.

- Może ktoś tu łaził? Albo coś weszło w szkodę? Krowa, czy co?

Popatrzyli na mnie, jakbym powiedział jakieś bluźnierstwo, albo chciał im ukraść ulubioną zabawkę.

- Pan miastowy, to na krowach się zna tyle, co ze szkoły. Krowy teraz w oborach siedzą. A to złe może były. Albo ufy – rzuciła starsza kobieta.

Poczułem się głupio. Przeprosiłem i poszedłem do domu. Mój kursant niebawem skręcił w swoją stronę, niespokojnie oglądając się na pola Fabisiaka. Umówiliśmy się, że jutro pojedziemy razem i wymienimy się informacjami.

Czułem się dużo lepiej, ale wciąż musiałem zażywać proszki przeciwbólowe, a i pion trzymałem z trudem. Agnieszka od sąsiadów przysłała z mlekiem zaraz jak tylko zobaczyła światło w kuchni. Na szczęście, tym razem bez koleżanki. Poprosiłem, żeby pomogła mi napalić w piecu – schyłanie ciągle mi nie wychodziło. Bez słowa zdjęła kurtkę i zaczęła rozpalać. Ja ułożyłem stosik drewna w kominku. Nie rozmawialiśmy. Na gazie nastawiłem wodę na herbatę, wyciągnąłem z siatki zakupy i zacząłem układać w lodówce.

- Wytrzyma pan tak sam? Pani nie wróciła? Nie wróci? – spytała i tym samym się dowiedziałem, że pewno już cała wieś zna dokładnie moją historię. Agnieszka w porównaniu do poprzedniej wizyty wyglądała i mówiła jak własna starsza siostra.

- Nie, nie wróciła. Ale może wróci. Przeżywamy, jak to się mówi w serialach, trudny okres.

Patrzyła na mnie z dziwnym wyrazem twarzy.

- Pan by chciał, tak?

Zastanowiłem się. Odpowiedź „tak, ale...” byłaby najwłaściwsza, ale wobec dwudziestolatki mogła być zbyt skomplikowana.

- Tak, chciałbym. Ale to w małym stopniu zależy ode mnie. To wszystko jest dość skomplikowane. Ale bardzo ci dziękuję za zainteresowanie. I za pomoc.

- Nie ma za co. A ja pana przepraszam za przedwczoraj. Wczoraj nie przyszłam, no bo... głupio mi było, że się tak zachowałam. Wypiłyśmy wino i tak wyszło... Tak zodważniałam... Bo mnie naprawdę jest pana żal i chciałam...

- Dziękuję. Może kiedyś jeszcze będzie okazja, to sam cię zaproszę na wino. I na Internet, oczywiście. I nie masz za co przepraszać, nic się nie stało. A na razie mam zapalenie korzonków i jak widzisz, nawet schylać się nie bardzo mogę. Słuchaj, Agnieszka, co to z tym Fabisiakiem i jego polem?

Puknęła się w głowę.

- Ja głupia, byłabym zapomniała. Dyrektor naszej szkoły, tu we wsi, zaprasza pana na spotkanie jutro po pracy. Ma być o tym UFO. I telewizja ma przyjechać. Może będzie ktoś z „Klanu”?

Czułem się lepiej i podziękowałem za ofertę zrobienia kolacji.

Nazajutrz kurs zaczynał się w południe, więc spokojnie jeszcze spałem, kiedy obudził mnie dzwonek do bramy.

- Nie otwieraj, to pewno znowu ten obwoźny sklep z proszkami... – powiedziałem do kogoś, kto powinien spać w moim łóżku.

Co tydzień świtkiem pojawiał się w naszej wsi spory furgon, który jechał powoli przez ulicę na sygnale, a sprzedawca chodził od bramy do bramy i dzwonił. Uświadomiłem sobie jednak, że to było we wtorki, a dziś był piątek. I nie mam do kogo tego mówić. Dzwonek dzwonił.

Spieszenie się przy zapaleniu korzonków jest bardzo wolne. Ubrałem na piżamę gruby sweter i starałem się nie zemdleć z bólu przy wkładaniu spodni. Wreszcie odszukałem gumki i włożyłem na gołe stopy. Dzwonek nie ustawał.

- Cicho, dzwońcu! – zwróciłem się do chomika – Jak kocha, to poczeka, nie?

Alicja zgodziła się z tą opinią, w każdym razie nie zaprotestowała. Przy

bramie stała Zuza i uśmiechała się miło.

- Przepraszam, ale ja tu jestem w imieniu gminnego komitetu wyborczego. Zbieramy podpisy w kampanii. Potrzebujemy jak najwięcej.

Podawała mi ulotkę *Hubert Urbański na prezydenta!*

- Bo to, proszę pana, byłaby wielka szansa dla nas wszystkich. On prowadzi tych „Milionerów” i jakby wszyscy obywatele dostali taki milion, to by się bezrobocie skończyło, bo powstałyby nowe zakłady pracy, no i byłoby wesoło, no nie, proszę pana?

- Jakby wszyscy mieli po milionie, to kto by w tych zakładach pracował, no nie, Zuza? Pogadamy wieczorem, na razie jeszcze nic nie widzę, bo jest za wcześnie. Ale dziękuję, że o mnie pomyślałaś. Pa, tymczasem.

Zuza, tak jak i Agnieszka, była w maturalnej klasie. Pomyślałem, że wykorzystywanie uczennic do kampanii politycznej jest jeszcze bardziej nieetyczne niż wykorzystywanie do czegoś innego. Potem przypomniałem sobie o kogo walczył jej komitet wyborczy i machnąłem ręką. Wiedza o społeczeństwie musiała nie być najlepszym przedmiotem w jej liceum. Tłumiąc ziewanie, wróciłem do domu. Nie opłacało się już kłaść. Zadzwoiła Ania i spytała, czy czegoś nie chcę. Powiedziałem, że tak, ale ona pewno musi iść do pracy. Pogroziła mi grzywną za obrazę sądu. Zaczynał się fajny dzień.

*

Wiatr od zachodu niósł ciężkie chmury, a temperatura spadła do zera. Szedłem do drogi, a od strony sztucznego jeziora niósł się odgłos wybuchów i łamanej kry. Saperzy z jednostki policyjnej mieli ćwiczenia, albo znów obawiano się, że piętzący się lód zniesie tamę, zbudowaną przeważnie z piasku, bo beton poszedł na budowę kolonii willowej dla powiatowych i wojewódzkich VIP-ów. Było mi coraz chłodniej, mimo szybkiego marszu i puchowej kurtki. Bałem się czy przenikliwy wiatr nie doprawi mi korzonków. Zwolniłem, żeby się nie spocić, koło pola Fabisiaka przystanąłem.

Przejaśniło się na moment i pewno dlatego go dostrzegłem. W szarozielonym mundurze stapał się prawie idealnie z otoczeniem. Oparty o pień dębu trzymał jedną ręką rower, drugą wachlował się czapką, jakby mu było

bardzo gorąco. Leśniczy Majewski obserwował wygnieciony krąg w ozimie z jakimś bólem, jakby pojawienie się Nieznanego zrobiło mu osobisty afront.

- To dotąd się nie zdarzyło – powiedział, kiedy podszedłem – w moim lesie wiedziałem wszystko. Mrówki nie zmieniły tras przy mrowisku bez mojej wiedzy. Wiedziałem, który dzik ryje na którym polu. A tu coś takiego? Może już jestem za stary?

- Panie Majewski, pan się nie martwi! – pocieszałem go – to, co tu przyszło, nie jest z tego lasu. To nie z pana rewiru. Nie pan przegapił.

Wcale się nie ucieszył.

- Jak nie z mojego, to po cholere tu łązi? To ja powinienem to wypędzić!

Czas uciekał, a autobus mógł mi uciec za chwilę. Poklepałem go po ramieniu.

- Pogadamy wieczorem. Na pewno coś się zaradzi.

Stał tam dalej jak wierzba płacząca, zapatrzony w pole Fabisiaka. Wygnieciona ozimina już się prawie wyrównała z tłem, ale z daleka widać było mocno nieregularne koło. Coś tu na pewno było.

Zajęcia na kursie były dość nerwowe. Rolnicy, poinstruowani widać przez sąsiada z mojej wsi, zamiast wyszukiwać w Internecie stron i reklam propagatorów agroturystyki, co mieli zadane, grzebali po sieci w poszukiwaniu wiadomości o UFO. On sam odnalazł w Nowej Zelandii zupełnie podobne ślady, opublikowane w Internecie zaledwie przed tygodniem.

- To chodzi po całym świecie, najpierw było w Nowej Zelandii, a teraz u nas u Fabisiaka. Zobacz pan, na 3 Maja będzie wielkie nieszczęście. Tak jak w Ameryce przylecieli na Dzień Niepodległości. I zniszczyli te wieże w Nowym Jorku. I ten ich prezydent musiał latać odrzutowcem, żeby uratować Ziemię. A nasz na pewno nie umie prowadzić odrzutowców, zresztą nie kupili jeszcze tych samolotów dla wojska. I ci Marsjanie na pewno są wynajęci przez tych Żydów od BinLadena. Więc mamy przekichane. Bo jest jak w banku, że Ukraińcy z Niemcami stoją za tym wszystkim. Słyszał pan, że chcą naszą ziemię wykupić, te komuchy z Brukseli. Więc namówiły Marsjan od Łukaszenki z Iraku, żeby tu narobiły kółek, to cena spadnie. Trzeba po prostu przywrócić karę śmierci i już.

Słusznie mówił nasz senator – Polska dla Polaków – pukał w ekran, na którym migotało zdjęcie kręgu zbożowego w Nowej Zelandii.

Rozwikłanie naplątanych przez sąsiada wątków przekraczało moje możliwości. Osłabiony tym wszystkim, zapytałem nieśmiało:

- A co z tymi z Nowej Zelandii?

- Żydzi, panie, są wszędzie. Tam tylko próbowali, a tu zaatakowali. Zobacz pan, co się stanie!

Z trudem wróciliśmy do agroturystyki. Żeby opanować sytuację, zacząłem omawiać zasady korzystania z arkusza kalkulacyjnego. Udało się zainteresować ich tworzeniem tabliczki mnożenia w Excelu. Na szczęście nikt nie zapytał, po co tabliczka mnożenia w arkuszu kalkulacyjnym, jak każdy ją ze szkoły powinien znać, a jak nie zna, to ma podręczny kalkulator, choćby w komórce. W razie czego miałem opanowaną odpowiedź; że taki jest program opracowany przez ministerstwo. Słowo „ministerstwo” wciąż jeszcze czyniło cuda. Z jeszcze większym trudem wywinąłem się z jego towarzystwa po zajęciach. Rzeczywiście nie miałem czasu - zaczynałem kurs dla emerytów w Ośrodku Kultury.

W niewielkiej salce pracowni komputerowej siedziało może z 10 osób, w wieku od 50 do 70 lat. Wstali, jak wszedłem. Zrobiło mi się głupio. Zacząłem od przedstawienia im nazewnictwa - klawiatura, monitor, myszka... Kilka osób notowało. Postanowiłem, że nauczę ich tylko pisania, korzystania z encyklopedii multimedialnych i programów edukacyjnych oraz, naturalnie, z Internetu. To, jak na ich wiek, wydawało mi się dość sporo. Przedstawiłem założenia programu i zapytałem, kto z nich ma dostęp do komputera. Ponad połowa podniosła rękę. Lepiej niż myślałem. Poprosiłem, żeby ci, co już to umieją włączyli komputery i pokazali sąsiadom, jak to się robi. Nikt nie włączył.

- Proszę włączyć! Pani mówiła, że ma kontakt z komputerem? - zwróciłem się do siwej kobiety, na oko przeszło sześćdziesięcioletniej.

- Mój wnuk ma komputer - usprawiedliwiała się - zawsze mi mówi: babciu, nie dotykaj bo zepsujesz!

- Nie pozwala pani korzystać?

- Nie, nawet nie pozwala sprzątać koło niego. Nie umiem włączyć...

Pozostali mieli równie nabożny stosunek do sprzętu, którego wartość wielokrotnie przekraczała kwoty ich emerytur. Uruchamianie i zamykanie programów poszło dość gładko, więc wzięliśmy się do poczty internetowej i popularnych komunikatorów. Pokazawszy co i jak, zostawiłem ich samych - musiałem pójść do dyrektora podpisać umowę.

- Co to z tymi waszymi Marsjanami? Sołtys promocję wsi robi? - postukał w gazetę lokalną, w której na pierwszej stronie widniało jak byk pole Fabisiaka z kręgami. W gazecie wyglądało wyraźniej niż w rzeczywistości. - Widział pan to?

Nie wiedziałem, czy ma na myśli gazetę, czy pole Fabisiaka.

- Widzieć widziałem - wzruszyłem ramionami - nie ma specjalnie na co patrzeć... Małe zielone ludziki się nie pokazały. Tylko coś zepsuło oziminę i tyle.

- Będziecie teraz sławni! W telewizji was pokażą - z zazdrością popatrzył do gazety. - Nie mogło tak u nas?

Był patriotą lokalnym i żałował straconej okazji.

- Może i tu przylecą - pocieszyłem go - Musicie tylko zasiać jakąś oziminę.

- Teraz to już może jare? - powiedział niepewnie. Rolnictwo nie było jego mocną stroną. - A bez tego nie przylecą?

- Bo ja wiem... Fabisiaka trzeba by spytać. Mogę pożyczyć tę gazetę?

Idąc z powrotem na zajęcia uświadomiłem sobie, że tego Fabisiaka w ogóle nie znałem. Czy był przy tym swoim polu wczoraj? Za policjantem stał taki jakiś nieznany, może to on?

Moi renciści byli o wiele spokojniejszą grupą niż wszyscy inni kursanci. Stojąc przed drzwiami nie słyszałem ani jednego słowa. Było cicho, jakby wszyscy uciekli. Może rzeczywiście uciekli?

Wszedłem. Każda osoba siedziała spokojnie przy komputerze, ledwie zauważyli mój powrót, pochłonięci Internetem. Zajrzałem przez ramię może 65-letniej pani. Rozmawiała przez Gadu-Gadu:

- *Cze, jak się nazywasz i kto jesteś* – pytał ją ktoś nieznajomy.

- *Siema!* – pisała kursantka – *jestem Myszka, mam 22 lata i studiuje archeologię w Krakowie.*

- *Jaka pogoda na Wawelu?*

- Pewno klawa, ale ja mam teraz sesję. Zdaję egzamin ze statystyki.

- Masz chłopaka?

- Jasne – odpisywała rencistka – *studiuje ekonomię i jest żeglarzem....*

Obok babcia, której wnuk nie dopuszczał do komputera, rozmawiała z jakąś Wusią.

- *To ja, Przemek – pisała – pamiętasz mnie?*

- *Siur! – biegły literki przez ekran – Pozdro! Była ekstra muza i w ogóle wczoraj fajna impreza!*

Widząc mnie obok, lekko się zmieszała.

- Wnuk mi opowiadał, że fajna dziewczyna. Przypadkiem zapamiętałam jej numer... Byłam księgową... – usprawiedliwiała się.

Panowie mieli konkretniejsze zainteresowania. Jeden logował się właśnie do Encyklopedii Krzyżówkowicza, drugi wczytywał artykuł o chorobach prostaty, trzeci walczył z plikiem samootwierających się stron erotycznych, siedząc krzywo na krześle tak, by marynarką zasłonić ekran przed kobietami. Zrozumiałem, że temat Internetu został już należycie wdrożony. Założyłem wszystkim konta pocztowe i umówiliśmy się na następny tydzień. Pytali mnie o opłaty za Internet. Mówili o zmarnowanych latach bez sieci. Pocieszałem, że niewiele czasu stracili.

Wieczorem poszedłem do szkoły w mojej wsi. Zebrało się nas w sali klasy szóstej może dwadzieścia osób – przeważnie miejscowych gospodarzy. Był nasz sołtys, listonosz, ojciec Agnieszki, moi sąsiedzi z prawej i z lewej, sąsiad z kursu, proboszcz, kierownik sklepu, leśniczy Majewski. Tych znałem. Kobiet, zdaje się, nie zaproszono. Dyrektor szkoły, prowadzący zebranie, przedstawił jeszcze wójta gminy, starostę powiatu, naszego posła z Partii Prawdziwej Prawicy i niepozornego, łysawego mężczyznę w nieokreślonym wieku, którego zaprezentował bez nazwiska, tylko jako „pana pułkownika z UOP-u”, który zresztą zdementował, że UOP już się nie nazywa UOP. Dyrektor machnął ręką. Spotkanie zaczęło się od rekapitulacji faktów.

Pierwsze kręgi na polu Fabisiaka pokazały się w zeszłym roku w Zaduszki, ale widziało je tylko parę osób, bo przyszła odwilż i znikły. W zasadzie nikt nie

sprawdził, czy były tam naprawdę, bo te osoby przypomniały sobie dopiero, kiedy kręgi pojawiły się 6 stycznia, w Trzech Króli. Majewski, który szedł z leśniczówki do kościoła, przechodząc koło pola zauważył dziwne ślady. Początkowo myślał, że to dziki i nawet się zdziwił, bo w taki mróz jak był wtedy, nie miałyby czego szukać poza lasem. Podeszedł bliżej i nie zobaczył żadnych śladów – tylko jednolitą lodową skorupę zapadniętego śniegu. Wzruszył ramionami i poszedł dalej, żeby się nie spóźnić na mszę. Nawet nikomu o tym nie wspomniał, bo najpierw nie chciał się ośmieszać, że leśniczy a śladów nie potrafi znaleźć, a potem zapomniał. Dopiero pod koniec lutego, kiedy przyszły takie ciepłe dni, na polu śnieg zniknął i tylko białe kółko przyciągnęło jego uwagę – dopiero wtedy powiedział policjantowi. Poszli obaj na pole, śnieg z kręgów już powoli zniknął, tak że ledwo zauważyli spore ślady, ale ani zająca, ani sarny. Majewski przyjrzał się dokładnie i powiedział, że to wygląda, jakby zwierzę miało łapy podobne do kota, wielkiego jak lew, a dwie, jakby na tych okrągłych łapach było coś w rodzaju kopyt. Takich zwierząt nie ma, więc uznali, że się pomylili. Niemniej jednak wiadomość się rozeszła i ludzie mieli oko na podejrzone miejsce. I dopiero przed trzema dniami, kiedy ozimina Fabisiaka była już całkiem duża, zauważyli następne ślady. Tym razem, jak sam widziałem, była to nieregularna elipsa, jakby ktoś przejechał po polu niezbyt szerokim walcem drogowym.

- I jest jeszcze jedna rzecz – dodał sołtys, który relacjonował całe wydarzenie – od Trzech Króli nikt nie widział Fabisiaka. Już przedtem często się zdarzało, że bez zapowiedzenia wyjeżdżał na kilka dni, nawet na kilka tygodni, bo tam w Niemczech zostawił jeszcze parę interesów, których doglądał. Swojej kobiecie zakazał rozmawiać na swoje tematy, to i nic nie mówiła. Dopiero jak Włodek – wskazał na policjanta – zagroził jej, że będzie musiała zeznawać na komendzie, potwierdziła jego nieobecność. Poszedł na poranną mszę w Trzech Króli i od tamtej pory nikt go nie widział.

- Potwierdzam – powiedział ksiądz proboszcz – na mszy było mało osób, więc go zauważyłem. Wyglądał, jakby miał kaca, albo jakby miał jakieś zmartwienia. Wyszedł z kościoła jeszcze przed ogłoszeniami parafialnymi. Na tacę dał sporą sumę.

- Ile? – wyrwał się sąsiad z mojej prawej strony. Kilka tygodni temu skończył mu się zasiłek i był uczulony na sprawy finansowe.

Ksiądz zgromił go wzrokiem.

- Tajemnica spowiedzi! – powiedział – co łaska, plus VAT. W każdym razie było to znacznie więcej, niż zazwyczaj. Jakby chciał coś sobie kupić u Pana Boga.

Zapadła cisza. Fabisiaka nikt specjalnie nie lubił, wszyscy mu zazdrościli jego pieniędzy, ale tak czy inaczej był to nasz sąsiad. Kiedyś kupił do szkoły komputer. Całkiem bezinteresownie, bo nawet dzieci nie miał. Pokazywali to w telewizji lokalnej. Dyrektor szkoły zorganizował specjalne zebranie uczniów i nauczycieli, pokazał im komputer, po czym zamknął go do szafy pancernej, żeby nikt nie zepsuł lub nie ukradł tak drogiego sprzętu. Wyjął dopiero wtedy, kiedy w ramach programu rządowego „Internet dla gimnazjów” szkoła dostała całą pracownię komputerową przystosowaną do sieciowego połączenia. Pokazał dziennikarzom wszystkie komputery, po czym zamknął w specjalnym pomieszczeniu, nazywanym pracownią komputerową. Nie mieli do niej dostępu ani uczniowie, ani nauczyciele, tylko specjaliści goście, którym pokazywano szkołę. Po pierwsze, żeby nikt ich nie uszkodził, jako że za rządowe pieniądze kupiono komputery, ale już nie było za co ich ubezpieczyć. Po drugie – we wsi nie było wtedy jeszcze możliwości podłączenia Internetu. Kiedy ten problem został rozwiązany – otwarto pracownię, a komputer Fabisiaka, który nie nadawał się do pracy w sieci, stał nieczynny, zasłonięty tabliczką, wyrażającą wdzięczność dla ofiarodawcy.

A teraz ofiarodawca zniknął, a na jego polu pojawiały się tajemnicze kręgi.

Zabrał głos oficer UOP-u, który teraz nazywał się inaczej:

- Po pierwsze, musicie państwo uświadomić sobie, że sprawa ma charakter tajny i podlega ograniczeniom z tytułu tajemnicy państwowej. Nic z tego, co tu zostanie powiedziane, nie może wyjść poza granice tej sali. Kręgi na polu pana – zajrzał do notatek – Fabisiaka - mogą mieć charakter naturalny, co jest mało prawdopodobne, mogą mieć charakter prowokacji oraz mogą być zapowiedzią agresji na nasz kraj lub nawet na nasz układ obronny, czyli obecnie NATO. No i, oczywiście – uśmiechnął się – może być to UFO, czyli kontakt z cywilizacją

pozaziemską. Zanim sprawa dostanie się do prasy, trzeba ją ograniczyć do tego jednego miejsca. Krótko mówiąc – rozwiązać.

- Do prasy już się dostała – powiedziałem - dzisiejsza gazeta rozstrzygnęła sprawę: Marsjanie.

- Nie wiedziałem – obraził się – pan podał?

- Skąd! Czytałem.

Podąłem mu gazetę. Przejrzał, podał posłowi, ten puścił dalej do sołtysa.

Zapadła cisza. Poczuliśmy się tak, jakby ktoś podejrzwał nas w łazience. Poseł Partii Prawdziwej Prawicy odchrząknął.

- Panie i panowie! Sytuacja jest poważna... Ktoś zdradził naszą sprawę gazecie o określonej orientacji. Wiadomo przecież wszystkim, jakie elementy i w czyim imieniu rządziły do niedawna Polską. A gazeta jest wyrazicielem tych sił. Trzeba ustalić, kto jej doniósł. To nam Bóg powierzył honor Polaków i tylko prawdziwi Polacy powinni być do tej sprawy dopuszczeni. Po pierwsze, przy polu trzeba ustawić tymczasowy krzyż. Panie i panowie, tylko pod tym znakiem...

Pań nie było. Proboszcz, na którego mimo woli spojrzeliśmy, zaczerwienił się.

- Nie uważałem, że to coś złego, ciekawostka taka. Zawsze do nich wysyłam maila, jak coś u nas w parafii się dzieje. Ludzie powinni o naszych sprawach wiedzieć...

Zrobiło się niezręcznie, ale po chwili dyrektor taktownie zmienił temat:

- Co możemy zrobić? Czy może trzeba by zaorać pole?

Policjant potrząsnął głową.

- Myśmy, na polecenie prokuratury, podjęli pewne czynności, określone procedurami, które trwają i póki nie ustalimy pewnych faktów, nie należy niczego zmieniać.

- Znaczy się jak? – chciał się upewnić ojciec Agnieszki.

- Nie ruszać. Może jeszcze przylecą. A wtedy...

- Za rzyć ich i ciupazeckom! – odezwał się właściciel „Czarnego Kota”.

Dopiero teraz go zauważyłem. Był ubrany w góralskie portki i kaszubski kaftan - u niego w karczmie bywali goście z różnych stron kraju.

- Nie tak prosto, panie sąsiedzie! – kontynuował policjant – sprawa może nie być taka łatwa. No dobra, powiem, ale ksiądz nie wygada, dobrze? I nikt z państwa...

- Jak Boga kocham! – przysiągł ksiądz, ale najwyraźniej zrobiło mu się szkoda. Policjant mówił dalej:

- Jak wiecie, w sąsiedniej wsi mieszka taki obywatel, który widział, jak Talibom z Afganistanu były przekazywane tajne dokumenty, plany i broń bakteriologiczna. Podobnie zagnieździli się tam agenci KGB, którzy nad jeziorem pobudowali sobie domki letniskowe. W Sejmie nawet o tym mówili. Czynności sprawdzające co prawda tego nie potwierdziły, a informator trafił do szpitala na obserwację, ale poseł, który o tym mówił, nie wycofał swego oskarżenia i nadal zajmuje poważną pozycję. W dodatku w tejże wsi w ostatnim czasie padła krowa, a weterynarz nie wykluczył, że była zarażona wąglikiem. Albo tą wścieklizną mózgu. Nie ma pieniędzy na przeprowadzenie analizy, więc dopuszczamy taką możliwość.

- I teraz stamtąd przenieśli się do Fabisiaka? – domyślił się sąsiad po prawej – I u niego lądowali? A on zniknął, jak się dowiedział, że się wydało?

- Zniknął zanim się wydało, co jest jeszcze bardziej podejrzane – powiedział pułkownik z UOP-u, który teraz nazywał się inaczej.

- A te kółka to będą pewno ślady śmigieł helikoptera, który tam lądował – dedukował sąsiad po lewej – w „Discovery” pokazywali takie, co potrafią latać do góry nogami. Obróci się taki na plecy, to i oziminę skosi, nie?

Ustaliliśmy, że od dzisiejszego wieczora będziemy pełnić dyżury nocne przy polu Fabisiaka. Chciałem się wykręcić ze względu na te korzonki, ale pomyślałem sobie, że jestem we wsi jeśli nie obcy, to przynajmniej nowy i mogą mnie wziąć za agenta KGB. Wróciłem do domu. Późno już było i mleko zastałem pod drzwiami, a obok kartkę: *byłam, nie zastałam, będę jutro, uważaj na siebie*. Pomyślałem, że to może Agnieszka znów się ośmieliła, zwłaszcza, że zobaczyłem pod spodem literkę A, ale po chwili zrozumiałem, że to wysoki sąd się fatygował osobiście, oczywiście bez związku z mlekiem. Wypiłem szklaneczkę, nakarmiłem chomika i włączyłem komputer. Migąła kopertka Gadu-Gadu.

- Dobry wieczór, tu pisze babcia. Jak pan będzie w domu, to proszę się zgłosić.

Zgłosiłem się. Moja kursantka chciała się dowiedzieć, czy to prawda, że u mnie na podwórku wylądował latający talerz, bo słyszała o tym w programie „Sensacje dzisiejszego wieczoru”. Na wszelki wypadek wyjrzałem przez okno. Księżyc wysrebrzył białą powierzchnię śniegu, przestało padać i zanosilo się na mróz. Latającego talerza nie było, ale zobaczyłem tropy. Nie lubię, kiedy ktoś kręci się po obejściu, więc włożyłem kurtkę i wyszedłem. Pies sąsiadów ujadał już od dłuższej chwili, więc moje pojawienie się na podwórku nie zrobiło mu różnicy. Coś przeszło od środka podwórka do stajni, ale przed drzwiami jakby zrezygnowało i znikło tak samo bez śladu, jak przedtem się pojawiło. Kręgów zbożowych nie było, ale ślady były wyraźne.

- Pewno kot – uspokajałem się, starając się nie patrzeć na odciski kopyt, przeplatające się z odciskami miękkich łap. Zrobiło mi się nagle zimno, więc wróciłem do domu. Siadłem do komputera, zamykając przedtem drzwi na wszystkie zamki.

- Sprawdziłem. Latającego talerza nie ma, ale są ślady jakby skrzyżowania diabła z kotem.

- Jak pan nie chce rozmawiać to proszę po prostu powiedzieć, a nie dowcipkować sobie – obraziła się babcia i wyłączyła się.

Nikogo znajomego więcej nie było on-line, więc posiedziałem jeszcze trochę i wyłączyłem komputer. Księżyc świecił tak jasno, że mimo zasłoniętych żaluzji nie mogłem zasnąć. Pies sąsiadów czekał. Chomik niespokojnie kręcił się po klatce. Nalałem sobie kolację i zasnąłem.

Następnego dnia kurs rolniczy trwał nieco dłużej, bo wszyscy chcieli nagle zakładać własne strony internetowe. Poradziłem, żeby na następny raz przynieśli zdjęcia własne i swoich domów, które mają być reklamowane jako obiekty agroturystyczne. Elegancka rolniczka z sąsiedniej wsi po zajęciach podeszła do mnie i poprosiła, żebym poszedł z nią do sklepu kupić komputer. Poszedłem.

W sklepie z komputerami komputer był tylko przy kasie. Można było kupić od ręki skaner, kamerę cyfrową, telefon bezprzewodowy i mnóstwo części, pewno

nawet wszystkie, które byłyby potrzebne do złożenia komputera. Ale komputer w całości trzeba było dopiero zamówić. Co też uczyniliśmy, po czym rolniczka zaproponowała, że mnie odwiezie. Wobec ewentualności przechodzenia na piechotę koło pola Fabisiaka po nocy propozycję przyjąłem.

Jechaliśmy dość szybko, rozmowa wykraczała coraz bardziej poza tematykę sprzętu cyfrowego i jakoś tak niepostrzeżenie zajechaliśmy do jej domu. Miała na imię Aneta, była po technikum poligraficznym i w domu zajmowała się głównie gotowaniem. Rodzice wyjechali niedawno do Niemiec, mąż do Ameryki, a gospodarstwo prowadzili teściowie. Agroturystyka też nie była jej celem życiowym, ale kurs dawał pewne uprawnienia podatkowe, więc chciała skorzystać. Prowadziła firmę graficzną i szukała zleceń. Wypiłem herbatę i zjadłem ciasto, własnoręcznie upieczone przez kursantkę.

- Miałam nadzieję, że pan przyjdzie, żeby mi zamontować ten komputer – wytłumaczyła się – ale na następny raz upiekę nowe.

Rozmowa rwała się coraz bardziej, bo w domu rolniczki było centralne ogrzewanie i jako nieprzyzwyczajonemu do ciepła robiło mi się coraz bardziej sennie. Wyobrażałem sobie też moje mieszkanie z porastającym coraz gęstszym futrem chomikiem i małymi zielonymi ludzikami, hasającymi po podwórku w księżycowym blasku. Aneta zaproponowała kolację. Zacząłem się wykręcać – miałem do domu około pięciu kilometrów, a noc była za pasem.

- Nie podoba się panu u mnie?

Podobało mi się. Stylowy, drewniany dom wyposażony był w nowoczesne sprzęty i urządzony z gustem. Na ścianie salonu widniał fresk, namalowany własnoręcznie przez gospodynię, na którym rozpędzone konie wbiegały w nurty jeziora. Niby coś jak jelenie na rykowisku, ale ani jelenie, ani na rykowisku, a krople wody, spływające po grzywach były tak przeświecone słońcem, jak na pejzażach impresjonistów. Zacząłem się zastanawiać, czy na jakimkolwiek obrazie impresjonistów widziałem konie. Jako historyk sztuki powinienem to wiedzieć. W kuchni ciemnozielone, duże płytki, kuchenka ceramiczna, duży aluminiowy zmywak. Za oknem ciemniało pasmo wzgórz, pod nimi szeroką białą smugą rysowało się zamrożone jezioro. Poszła za moim spojrzeniem.

- Pięknie tu jest i dlatego zostałam, nie pojechałam z rodzicami. Nie przeniosłam się do miasta, choć powinnam. Siedzę tu i projektuję na zamówienie, czasem opracowuję jakieś grafiki, współpracuję też z tygodnikiem w mieście. Fotografuję, no i chciałabym nauczyć się składu komputerowego...

Mimowolnie westchnąłem. Była ładna, nie najmłodsza może, ale samodzielna – self-made-woman, ale emanowało z niej ciepło, w ciekawym pakiecie ze zdecydowaniem. Może sprawiały to okulary w złotych oprawkach, podkreślające wyraźną linię ciemnych brwi, które prawie zrastały się nad nosem. „Czarownica” - pomyślałem i zastanowiłem się, czy nie powinienem się przesiąść na wersalkę koło niej. Wtedy przypomniałem sobie, że muszę wziąć wieczorną porcję leków. Zapiszczała moja komórka, informując o nadejściu SMS-a.

- *Mam nadzieję, że jesteś w domu. Chciałabym wpaść.*

- Coś ważnego? – spytała Aneta. Nastrój diabli wzięli.

Nadawcy nie było – wiadomość była wysłana z komputera.

- Chyba muszę wracać do domu. Ktoś – nie wiem kto – zapowiedział się z wizytą.

- Trudno – sięgnęła po kluczyki. Opel corsa stał cały czas przed garażem, gotowy do drogi.

- Ale jutro się zobaczymy. I może ten komputer już złożą...

Po kilkunastu minutach samochód zahamował ostro pod moim domem. Kurtuazyjnie zaproponowałem herbatę, ale na całe szczęście odmówiła. Dom samotnego mężczyzny, który rano wychodził przy temperaturze plus 10 stopni przy piecu nie musiał być najprzyjemniejszym miejscem dla osoby takiej jak rolniczka Aneta. Pożegnaliśmy się w samochodzie. Ucałowałem ją w rękę. W corsie nie jest to łatwe. Odjechała z piskiem opon.

Rozejrzałem się po podwórku. Śladów nie było, nawet te stare zasypał śnieg.

Jak tylko zapaliłem światło w kuchni, przyszła Agnieszka z mlekiem. Widać miała monopol na dostawy do mnie. Była odświętnie ubrana, w minispódniczkę i golf, odsłaniający pępek. Na dworze było minus dziesięć i od kilku godzin padał śnieg. W domu miałem plus dziesięć, ale śnieg nie padał. Postawiła mleko i wyciągnęła spod kurtki niewielkie zawiniątko.

- Ktoś pana przywiózł, prawda? Jakaś kobieta... Przyniosłam naszą świnkę morską. Może się pobawić z pana chomikiem? A ja tymczasem napalę...

- Wybierasz się gdzieś na imprezę? Taka elegancka jesteś...

- To pan nie wie? – popatrzyła na mnie ze zdziwieniem – dziś na dyskotecę ma być w remizie telewizja. Jutro będą kręcić wywiady, a dziś chcą pokazać młodzież. Mówiła koleżanka, że może nawet przyjedzie Tomasz Kammel, pan zna, co nie?

Popatrzyłem na nią spod oka. Było na co, bo rozpalanie pod kuchnią jest czynnością, która ukazuje kobietę w mini w pełnej krasie. Niestety, nie miałem okularów. Poczula widać mój wzrok, bo wyprostowała się i obciągnęła spódniczkę. Widok specjalnie się nie zmienił. Pod blachą strzelały płonące kawałki drewna, zrobiło się cieplej. Agnieszka zaczerwieniła się.

- Bo ja to chciałam się pana zapytać... mama mi powiedziała, że... No, czy pan może chciałby... Bo ja tu tak przychodzę i może pan pomyśli... albo i ludzie, że ja pewno...

- A nie chcesz? – przerwałem jej. Czowała się widocznie niezręcznie i ja też miałem niepewną minę.

- Kiedy właśnie chcę. Tylko, żeby jakoś to tak wyszło. No bo pan jest sam i w ogóle...- znów się zaczerwieniła i odwróciła do pieca. Dorzuciła węgla. Wiaderko było już prawie puste i pomyślałem, że muszę ubrać jakąś kurtkę i pójść do komórki. Ale teraz zdecydowanie nie mogłem. Nie umiałem i nie chciałem być sam, coś się w tej sprawie zaczynało dziać, ale chyba nie chciałem wiązać się z córką sąsiadów. Z drugiej strony jednak...

- Czy ja mogłabym u pana brać korepetycje? – wydusiła wreszcie. Chyba musiałem zrobić głupią minę, bo pospieszyła z wyjaśnieniem.

- Bo mama mówi, że ja tu tak przychodzę i przychodzę, to co ludzie powiedzą, a może gdybym brała u pana korepetycje, maturę mam w tym roku, to bym każdemu mogła powiedzieć, że ja się uczę i niech się odczepią. Zgodzi się pan?

- A czego ja miałbym cię uczyć? – pomyślałem sobie, że pewno ja u niej mógłbym brać korepetycje.

- No, matematyki, myślałam... pan jest od komputerów i ...

Ja – matematyki! Pewnie, że były gorsze sposoby kompromitowania się mężczyzny w moim wieku przed maturzystką i wszystkie je znałem. Ale po co jeszcze i ten?

- Agnieszko, ja jestem historykiem sztuki, na matematyce się nie znam...

- To świetnie, wezmę historię sztuki jako dodatkowy na maturze, dziękuję panu!

Rzuciła mi się na szyję. Miała cyklamienową szminkę i węgiel na rękach. Wszystko to przeniosło się na mój biały sweter. Nie zwróciła na to uwagi. Przy piecu było już całkiem gorąco.

Usłyszałem hamujący pod domem samochód. Kuchnia jest u nas pierwszym pomieszczeniem za krótką sienią. Żona weszła tak szybko, że Agnieszka ledwo zdążyła odskoczyć. Potknęła się o kulę z chomikiem. Turlał ją pyszczkiem świniak morski. Wyglądało, że bardzo chciałby Alicję rozebrać z kulki. Agnieszka przysiadła na podłodze, podwijając pod siebie nogi. Żona przyjrzała się jej uważnie, po czym wyjęła papierowa chusteczkę i usiłowała wytrzeć mi szminkę ze swetra. Plama zrobiła się większa.

- Pamiętaj, żeby nie prać tego w pralce – zwróciła się, nie wiedząc czemu, do Agnieszki. – Ciepło tu u was. Widzę, że sobie jakoś radzisz, tylko czemu przewracasz panienkę na podłogę? Musisz się oszczędzać, nie chcę zostać przedwcześnie wdową. Przywiozłam ci wezwanie na rozprawę, tak się do panienki spieszyłeś, że zapomniałeś.

Agnieszka otworzyła usta, potem zamknęła i znów otworzyła. Chomik nie turlał się już w kuli, czekając na dalszy rozwój wypadków. Świniak morski zalecał się do plastikowej namiastki wolności. Żona rozglądała się po mieszkaniu.

- Może herbaty się napijesz? Właśnie mieliśmy siadać do lekcji, Agnieszka bierze u mnie korepetycje przed maturą z historii sztuki.

- Korepetycje? Tak to sobie teraz wymyśliłeś? No proszę, pan naukowiec... Bardzo mi się to podoba. Nie, nie będę wam przeszkadzać. Chciałam co prawda porozmawiać, ale widać przyszłam nie w porę.

- Niech pani zostanie, ja już wychodzę. Tylko mleko przyniosłam. I świnkę

morską – Agnieszka plątała się, zaczerwieniona, wstając z podłogi. Była naprawdę zgrabna, widziałem to nawet bez okularów. Żona też, zawsze miała świetny wzrok.

- Porozmawiamy jutro w pracy. A wzięłeś już wieczorną porcję lekarstw? Bo wiesz, dziecinko, on jest bardzo delikatny, trzeba o niego strasznie dbać. I żeby nie zażywał viagry razem z enarenałem, bo to może się dla niego źle skończyć, pamiętaj, dobrze?

- Dobrze, proszę pani. Zapamiętam. Ale viagra nie będzie potrzebna...

Wyszło złośliwie i klarownie, obie rzeczy nie były w modzie w moim byłym związku... Żona cisnęła papierek z sądu na stół i trzasnęła drzwiami. Alicja zaczęła z powrotem uciekać przed świniakiem morskim. Zachowywał się naprawdę po świńsku. Popatrzyliśmy na siebie z Agnieszką i roześmialiśmy się.

- Trzeba to uprać – powiedziała, wskazując na mój sweter.

Zacząłem go ściągać przez głowę. Może za gwałtownie wyprostowałem ręce, bo łupnęło mnie w krzyżu i tak już zostałem zamotany w tym swetrze jak grupa Laokoona. Jęknąłem i Agnieszka podbiegła, pomagając mi ściągnąć ten wełniany kaftan bezpieczeństwa.

Usłyszałem hamujący pod domem samochód. Pomyślałem, że to żona czegoś zapomniała, ale już trzeba było dokończyć z tym swetrem. Wróciło mi czucie w rękach, ale Agnieszka ciągnęła w jedną stronę, ja w drugą i tak nas zastała Ania. Nic nie widziałem, ale poznałem ją po głosie.

- Gimnastykujesz się? A pani cię rehabilituje?

Podeszła bliżej i powiedziała z jadowitą słodyczą:

- Niech pani pozwoli, ja mam z nim większe doświadczenie. Rehabilitowałam go przed paroma dniami.

Agnieszka odskoczyła ode mnie, świniak podciął jej nogi i rymnęła z powrotem na ziemię, Alicja kwiknęła krótko, kula odskoczyła pod ścianę. Tkwiałem dalej w swetrze z rękami do góry, Ania jakoś nie kwapiła się mi pomóc. Nie miałem wyjścia, więc ściągnąłem go sam. Wysoki sąd klęczał obok Agnieszki i niepokoił się stanem zdrowia dziewczyny. Tworzyły razem ładny widok. Kilkanaście lat różnicy nie miało znaczenia. To, co było widać, było w

pierwszorzędnym gatunku w obu wydaniach. Ania pomogła Agnieszce wstać, upewniła się, że jej się nic nie stało i odwróciła się do mnie.

- Może herbaty się napijesz? – zapytałem niepewnie. Chyba nie utrafiłem w jej gust, bo skrzywiła się jakoś niechętnie i pochyliła gwałtownie. Poszedłem za jej spojrzeniem. Świniak morski wczepiony w jej łydkę usiłował ją ugryźć. Na razie był zaczepiony pazurkami w rajstopy. Agnieszka przyklękała, złapała niesforne zwierzątko i owinęła w szmatkę. Ania bezradnie patrzyła na wyszarpaną dziurę.

- Psiakrew! Zawsze noszę zapasowe, a dziś jak na złość zapomniałam. Pewno nie masz czegoś takiego, co?

Raczej nie miałem. Agnieszka jednak była bardziej konstruktywna:

- Spojrzę do szuflady w toaletce, pamiętam, że pani tam trzymała.

Dała mi do potrzymania zawiniątko ze świnką morską. Ruszało się. Przestraszyłem się, ale w ostatniej chwili ścisnąłem mocniej. Ucichło. Pomyślałem, że zrobiłem jej krzywdę i ostrożnie odwinąłem. Świnka wysunęła pyszczek i usiłowała odgryźć mi palec. Pomyślałem sobie, że moja niechęć do opisywanego w literaturze ibero-amerykańskiej zjadania świnek morskich w restauracjach była nieuzasadniona. Agnieszka pogrzebała chwilę w szufladzie mojej żony i wróciła z rajstopami. Młodzież bywa niezwykle spostrzegawcza. Poszły obie do toalety.

Usłyszałem hamujący pod domem samochód. Zrezygnowany usiadłem na taborecie, starając się nie upuścić świnki morskiej. Ruszała się bardzo energicznie. Zadzwoniła moja komórka, po chwili ucichła. Spojrzałem na wyświetlacz – niewiele osób puszczało mi tak zwanego zajączka. Jedną z nich była moja córka, która w ten sposób oszczędzała – nie chcąc powiększać swojego rachunku, dzwoniła tylko raz, tak, żeby na ekraniku wyświetlił się jej numer. I żebym ja potem do niej oddzwonił, obciążając swoje konto. Było to o tyle bez sensu, że za oba rachunki i tak ja płaciłem. Drugą osobą, puszcżającą mi zajączki była Agata, gdy nie była pewna, czy jestem w domu sam i czy mogę rozmawiać. Oddzwoniłem do Agaty, choć prawie nie mogłem uwierzyć, że to ona.

- Dzień dobry, możesz rozmawiać? – spytała.

- Tak, bardzo proszę. Cieszę się...

- Jestem pod twoim domem. Żony nie ma? Mogę wejść?

Po chwili ledwie usłyszałem ciche pukanie do drzwi. Tylko jedna osoba wchodząc do wiejskiej chałupy pukała – Agata była uosobieniem grzeczności. Miała na sobie tak lubiany przeze mnie czarny, długi płaszcz, teraz szczelnie zapięty, ale wiedziałem, że przykrywa bardzo krótką, jasną spódnicę ze szkockiej kraty, tak zwaną kopertówkę, zapinaną na agrafkę. Na głowie miała kapelusz, spod którego opadał niesforny kosmyk włosów, przykrywający częściowo prawy policzek. Była piękna jak zawsze i tajemniczo uśmiechnięta. Pocałowała mnie w policzek. Wypuściłem świnkę. Zapiszczała i uciekła do pokoju. Alicja w kuli zaczęła uciekać. Patrzyłem na Agatę.

- Jak ci idzie? – spytała, rozglądając się po domu.

- Nareszcie przyjechałaś... Tak długo czekałem... Rozbierz się, zdejmij płaszcz, ciepło jest.

- Nie bardzo mogę, trochę się spieszę. Mąż czeka w samochodzie, jedziemy po towar tu w okolicy. Siedzi i pilnuje auta, bo mamy nowe. Wstąpiłam tylko, żeby spytać czy nie pamiętasz może hasła do mojej poczty elektronicznej? Mieliśmy awarię modemu i mąż musiał instalować na nowo. A ja zapomniałam, więc pomyślałem, że może ty wiesz...

W łazience Agnieszka i Ania musiały opowiadać sobie najnowsze dowcipy, bo ich śmiech dobiegał aż tutaj. Agata spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

- Mówiłeś, że żony nie ma?

- Nie, żony nie ma. Córka sąsiadki i znajoma zabawiają się w łazience. A ja się opiekuję zwierzątkami.

Świniak przytoczył do kuchni kulę z Alicją, wciąż usiłując się do niej zalecać. Agata upewniła się, że hasła nie pamiętam. Powiedziałem, że zadzwonię, jak sobie przypomnę. Delikatnie zamknęła drzwi. Wyjrzałem przez okno. Zielone seicento zmieniła na dostawczego mercedesa. Hurtownia musiała prosperować coraz lepiej. Ania i Agnieszka wyszły z łazienki.

- Pojadę już. Chciałam ci tylko powiedzieć, że rozprawa jest za tydzień. Jak będziesz wolniejszy, to pogadamy o konkretnych.

Usiłowałem powiedzieć, że jestem cały czas wolny, ale już mnie nie słuchała. Agnieszka poprosiła, czy Ania mogłaby ją odwiedzić na dyskotekę do remizy. Złapała świnę morską i powiedziała:

- To może ja jutro przyjdę na lekcję, dobrze?

- To ja też będę jutro – powiedziała Ania. - Będiesz w domu?

- Jakbym wychodził, to wam zostawię klucz pod słomianką – chciałem być złośliwy.

- Dobrze – ucieszyła się Agnieszka i wyszły.

Wyjąłem Alicję z kuli i wpuściłem ją do klatki. Nareszcie poczuła się bezpieczna. Nalałem jej mleka i poszedłem robić sobie kolację. W piecu gasło, więc zacząłem dokładać papier i drewno. Nalałem sobie herbaty. Usłyszałem hamujący pod domem samochód. Trzasnęła furtka i drzwi wejściowe. Nie otrzepując butów wpadła moja córka.

- Cześć, jak tam u ciebie? Musiałam wziąć dodatkowe jazdy, bo mam egzamin niedługo. Ale jaja, słuchaj!

Przysiadła na taborecie i złapała za mój kubek z herbatą.

- Bez alkoholu, mam nadzieję? Bo ja autem jestem...

- Syn mecenasa poczeka?

- To już nie aktualne, mówię ci, że są jaja, nie? Zamknęli tę szkołę jazdy i kurs kończę w innej. Z instruktorką. Mecenas splajtował, zamknęli mu wszystkie firmy, miał ich z dziesięć. Teraz podobno uciekł za granicę, żeby nie płacić długów.

- A mama? Jej też ponawalał?

- No, mówię ci! W waszej firmie komornik siedzi, ale mama mówi, że nie ma sprawy, nic się nie dzieje i trzeba myśleć pozytywnie. Możesz mi dać stówę, bo muszę zapłacić te jazdy? A przecież w tej sytuacji do mamy nie pójde...

Dałem jej stówę, trzasnęła drzwiami. Ostrożnie się pochyliłem i zacząłem sprzątać śnieg, który naniosiła.

Usłyszałem hamujący przed domem samochód. Otworzyłem szeroko drzwi - już i tak się wyiębiło, więc nie miałem co oszczędzać. Aneta była niesłychanie elegancka, chustkę na głowie miała zawiązaną fantazyjnie, jakoś tak po parysku,

kurtkę miała narzuconą na jasną bluzkę i najwyraźniej wskoczyła do samochodu prosto od pracy, bo na obcisłych dżinsach widać było ślady farby. Podała mi dłoń w rękawiczce. Nie wiedziałem, czy ją ucałować w rękawiczkę, czy nieco wyżej, widząc moje wahanie rozwiązała ten dylemat całując mnie w policzek.

- Zostawił pan u mnie notes. I chciałam, żeby pan wiedział, że ja bardzo potrzebuję tego komputera. I pana pomocy. I koniecznie proszę znaleźć więcej czasu, dobrze?

Popatrzyłem na nią. Ogień w kuchni wygasł już prawie całkiem, chomik stukał w klatce, ale jakoś ją to nie interesowało. Patrzyła na mnie z takim jakimś napięciem, jakby od mojej odpowiedzi zależało wszystko w jej życiu. Poczulem się głupio i głupio też powiedziałem.

- Naturalnie, przecież od tego jestem. Jeśli pani chce, możemy zacząć już dziś...

Potrząsnęła głową najpierw, jakby się ocknęła, potem, żeby zaprzeczyć.

- Nie, dzięki, późno już... Tylko notes chciałam oddać, może być panu potrzebny...

Położyła notes na kuchennym stole i nie oglądając się na mnie wyszła. W powietrzu został zapach perfum, w lustrze widziałem swoją ogłupiałą twarz. Zabrałem się z powrotem do rozpalania pod kuchnią.

Usłyszałem hamujący pod domem samochód. Poczulem się trochę zmęczony i postanowiłem, że przy najbliższej okazji z pewnością pojedę na jakiś urlop.

- Pan pozwoli z nami – bez wstępów zaczął łysawy pułkownik z UOP-u.

*

Za ścianą remizy łupało disco, grono obradujących zmniejszyło się wydatnie – nie widziałem księdza i policjanta, znikł ojciec Agnieszki i sąsiad z lewej. Pułkownik z UOP-u wskazał mi miejsce w pierwszym rzędzie, sam zasiadł za stołem prezydialnym i spojrzał na sołtysa. Ten skinął głową i powiedział:

- Witam na zebraniu sztabu kryzysowego wsi. Dziś wieczór znowu się pokazało. Szymon – wskazał na Majewskiego – jeszcze nie zdążył rozpocząć

obchodu, jak zobaczył. Koło w śniegu. Ale nie wydeptanie, tylko jakby wytopione i znów przysypane.

- Jakby złe się trochę zapadło, powierzchnia była jak uniżona. Coś się zmieniło, ale dalej jest.

Pułkownik z UOP-u przejął inicjatywę i podniósł głowę znad sterty papierów.

- Przypominam o obowiązku zachowania tajemnicy państwowej. Zawiązaliśmy tajny komitet kryzysowy. Jak widzicie, parę osób musiało opuścić nasze grono, bo nie dawały gwarancji. Coś złego dzieje się w waszej wsi. Moje posterunki u wlotu ulicy wylotowej... – przerwał, sprawdził w dokumentach – Miejskiej, zdaje się, zaobserwowały dziś nie notowaną wcześniej aktywność. Mimo złej pogody ulicą w stronę wsi między 16 a 16.30 przeszło 17 osób, podczas gdy w analogicznym czasie w dniu przedwczorajszym przeszło tylko sześć.

- Targ był dziś w mieście – nieśmiało wtrącił sąsiad z prawej.

- Możliwe, możliwe – sceptycznie odniósł się pułkownik. – Aktywność była też samochodowa. Od godziny 16 do 20 nie przejechał żaden samochód. A potem między 20.15 a 20.50 aż sześć. Z tym, że ten szósty to mój. A ja jechałem służbowo. Pięć z tych aut wróciło tą samą drogą zaledwie po kilku minutach. Czy może wiecie panowie, do kogo ci goście jechali?

- Wiemy – wstałem – do mnie.

- Kto to był? – rzucił niezobowiązująco pułkownik. Nie patrzył na mnie. – Może pan powiedzieć?

- Kobiety. Różne kobiety, związane ze mną. Nic groźnego. Chyba że dla mnie.

Siedziałem w pierwszym rzędzie, więc nikt nie musiał się odwracać, żeby na mnie spojrzeć. Ale ciężar tych spojrzeń czułem na plecach. Sołtys, zmierzyszy mnie spojrzeniem, napisał coś na kartce i podsunął pułkownikowi. Ten kiwnął głową i nie spiesząc się, nalał sobie wody do szklanki. Cisza trwała nadal, tylko zza ściany remizy dobiegały dźwięki zabawy.

- Skoro pan tak mówi... – pułkownik wzruszył ramionami – tylko proszę pamiętać, to wszystko jest tajemnica. I dlatego kobiet tu nie dopuszczamy.

Żyjemy w wolnym kraju, ale pewne zasady obowiązują... Ale jeśli to nie ma związku ze sprawą... Pan rozumie, że my to i tak sprawdzimy - przerwał, popatrzył na mnie. Cicho było, aż nieprzyjemnie. Nawet disco miało przerwę. Głupio się poczułem, więc usiadłem. I tak nie mogłem długo stać przez te korzonki. Pułkownik rozłożył ręce. - Więc na czym stanęliśmy? Kto miał dziś dyżur?

Okazało się, że stróżował leśniczy Szymon Majewski i mój sąsiad z prawej. Wypili po dwa piwa i jednego fikołka na rozgrzewkę i kiedy już miała nadejść zmiana – zauważyli, że nad pole nadciąga od jeziora mgła. Sąsiad się zdrzemnął, bo niczego nie było widać, ale Majewski trwał na posterunku. Odważnie wszedł w opar mgły, ale niczego nie zauważył. Pochodził trochę i wrócił. Obudził sąsiada i zaczęli wyglądać, kiedy nadejdzie sołtys z nauczycielem fizyki, którzy mieli objąć następną wartę. Gdy mgła znikła, zobaczyli, że padający od południa śnieg powoli przysypuje świeże ślady.

- Słyszeliście co? Szum jakiś, silnik? – dopytywał się Wiesio ze sklepu spożywczego – Głosy może jakie?

Sąsiad, sołtys i nauczyciel zgodnie pokręcili głowami. Majewski zastanowił się.

- Jakbym co słyszał, gdy w tę mgłę wszedłem. Tak jak dawniej, wicie, kiedy jeszcze były takie smołowane słupy telegraficzne, to latem tak przewody szumiały, jak po nich depesze leciały. Takim niskim szumem. Jak mrówki w mrowisku – zaplątał się w metaforach ze swego zawodu. Pokiwali głowami ze zrozumieniem.

- A to nie piwo wam tak nie szumiało? – uściślał Wiesio.

- Zaś by! Po dwóch?

Sołtys poprosił o głos.

- W zasadzie to ono nic nie robi, to coś, co robi te koła. Nawet jak oziminę wygniecie, to na biednego nie trafiło. Chyba żeby gdzieś jeszcze poza Fabisiakowym było. Ale nie jest, no nie?

Pomyślałem o śladach na podwórku, ale dałem spokój. Jeszcze mi tego brakowało, żeby mi przed domem sfrustrowany Majewski z UOP-em stali. Sąsiad

z prawej i jednocześnie Wiesio ze spożywczego podnieśli ręce. Sołtys machnął w stronę sąsiada.

- Wam co zaś zrobiło, Jaśku?

- Nie, nie żeby coś, i nie wiem czy to owo coś... No, jakby nic takiego... - wahał się, czy powiedzieć - Nie, to może ja przepraszam. Zdawało mi się może...

Pułkownik spojrzał na niego groźnie i zatrzymał rękę z długopisem nad kartką papieru. Sąsiad przełknął ślinę, aż echo poszło po sali. Disco znów łupało za ścianą.

- Nic niby... - podjął sąsiad - ino, że butle od gazu miałem w bojsku, na rezerwę, jakby zbrakło, bo to wiecie, zawsze w niedzielę, albo Wigilię się kończy, złośliwie. No i patrzę wczoraj, a tu pusta butla. Akurat potrzebowałem, no i nie ma.

Pułkownik z UOP-u przytknął długopisem.

- Butla jakiego typu?

- A, taka niebieska, Gaspolu. Ale może ta to nic, może moja nie dokręciła, czy ja wiem... Ale nie używana, przed tygodniem ze sklepu przywiozłem, więc nie wiem...

Wstał Wiesiu.

- U mnie kontenerek piwa zniknął, też wczoraj...

Kiedy się wszyscy skończyli śmiać, Wiesio poważnie kontynuował:

- Zamknięte było w komórce, nikt nie wiedział, trzymałem na sobotę. Goście z miasta mieli... Dziś rano patrzę - wszystkie flaszki są, ino puste. Ale zakapslowane...

Wyjął jedną zza pazuchy i poniósł do stołu prezydialnego. Pułkownik, nauczyciel i sołtys poważnie obejrżeli i oddali Wiesiowi.

Sołtys wrócił do wątku.

- Znaczy się, śladów innych nie było, a to - to się wyjaśni. Coś lubią sobie podgazować, te Marsjany... To panie pułkowniku, może by się tak nie cudować? Wiosna idzie, gnojówkę będziemy wywozić, jak się na polach smrodem podleje, to na pewno się uspokoi. Warto to się przejmować?

Pułkownik chwilę milczał, stukając długopisem o stół. Obejrzał się

niespokojnie na drzwi, spojrział na nas wszystkich, jakby wahając się, czy warto z nami rozmawiać, wreszcie powiedział:

- Pod polem Fabisiaka biegnie nielegalna nitka rurociągu jamalskiego. No, tego od ruskich. Miała iść przez Pieniążkowo, ale odbiła i znalazła się tutaj, jakby kto się zatoczył po pijanemu. I ten kabel, co to go nazywają infostrada, też nielegalna, co to ją bez zawiadomienia naszego rządu pociągnęli, jakby od ruskich do Niemiec. Nie wiadomo, do czego to służy, w zasadzie, bo niby nie działa, a działa. Jakby coś robi, tyle, że nie konkretnie, wiecie, rozumiecie...

Nie rozumieliśmy. Gimnastykował się, biedak, żeby powiedzieć tak, żeby nic nie powiedzieć, a jednocześnie żeby podkreślić jakie ważne jest to, czego nie mówi. Potrząsnął głową, otworzył usta i jeszcze raz popatrzył na drzwi, jakby się spodziewał, że ktoś podsłuchuje. Disco waliło coraz głośniejsze. Pułkownik podniósł głos.

- To jest zupełna tajemnica - przekrzykiwał decybele - podejrzewa się, że to jakaś taka maszyna to wywoływania u przeciwników zmian, jakby w pamięci czy co. Taka wojna psychologiczna..

Dyrektor szkoły skorzystał, że pułkownik popił trochę piwa z puszki.

- No, ale niby że kto tę wojnę z nami prowadzi? Ruskie?

Pułkownik otarł pianę.

- Ruskie czy nie ruskie, prowadzi czy nie prowadzi, to tego jeszcze nie wiadomo. Ale tam jest coś, czego nie znamy i to jest groźne. I może to coś robi tamto coś, co to wiecie...

Wstał właściciel „Czarnego Kota”.

- To może by, panie, w ramach wiosennych podorywek, wykopać to coś i do pola z tym, krucafuks? Znaczą się, z pola?

Pułkownik wzruszył ramionami.

- Tak by było najprościej, ale tam, w Warszawie, kombinują, żeby może to coś odwrócić, żeby w drugą stronę robiło to, co nie wiemy co robi... W wywiadzie i tak dalej to nic takie nie jest jak wygląda... Poza tym w zeszłym roku Fabisiaka ktoś widział z tym..., no mniejsza - takim grubym od gazu, co to wszędzie go pokazują. Nie możemy wykluczyć, że to jest z tym związane... - zorientował się,

że powiedział już za dużo, bo spojrzał jeszcze raz na drzwi i wstał. Sołtys wstał także, a za nim odruchowo my wszyscy. Pułkownik obciągnął garnitur - Sprawa jest poważna i tajna. W związku z tym nie będziemy dyżurów amatorskich robić, sprawą zajmą się siły specjalne. Panowie - to by było wszystko, jeszcze tylko pana leśniczego proszę na chwilę.

Rozeszliśmy się w milczeniu, nawet dobranoc sąsiad mi powiedział szeptem. Dyskoteka tylko waliła z łoskotem w ciemną noc. Pod domem zobaczyłem jakąś ciemną postać w kapturze. Udałem, że to nie mój dom i przeszedłem dalej. Usłyszałem głos Agnieszki.

- Nie ma co uciekać... To ja jestem... Mogę wejść?
- Coś się stało? nie poszłaś na dyskotekę?
- Mogę wejść? Zmarzłam...

*

Wiosna zbliżała się wielkimi krokami i śnieg bielił się jeszcze tylko w zacienionych miejscach pod stodołami i w lesie. Odkąd przestaliśmy dyżurować, uspokoiło się na polu Fabisiaka, zieleniło się zresztą wszędzie na potęgę i nawet autobusy zaczęły jeździć punktualnie. Kurs rolniczy zakończył się w przewidzianym czasie, przeprowadziłem egzamin i mocno się zdziwiłem, jak wiele wszyscy się nauczyli. Najwięcej się nauczyła Aneta.

- Dzwoniłam dziś do tego sklepu - zatrzymała moją rękę, kiedy wręczałem jej dyplom i gratulowałem ukończenia kursu. Dyplomy sam wydrukowałem na własnej drukarce, bo firma mojej żony cienko przędła i nie stać jej było na kupno gotowych - Mogę pana porwać? Pomoże mi pan? Ciasto upiekłam...

W sklepie upakowali wszystkie akcesoria do dwóch pudeł, ledwie to zmieściliśmy do corsy. Aneta siadła na siedzeniu pasażera i wręczyła mi kluczyki:

- Pan pewno lubi prowadzić, proszę, niech pan jedzie...

Podziękowałem, zapaliłem i ruszyłem. Z dwoma żabkami, bo nie wiedziałem, jak toto się rusza. Patrzyłem na nią z ukosa - wpatrywała się w drogę przed sobą, starannie unikając moich spojrzeń. Ale wszystko w jej postaci mówiło

do mnie to, czego nie chciałem usłyszeć, a nawet nie powinienem, jeśli swoje sprawy domowe miałem załatwić porządnie.

Na wylotowej ulicy droga wznosiła się lekko pod górę. Stali za zakrętem, tuż obok kościoła Świętego Latarnika, jak nazywano sanktuarium maryjne, przy którym wybudowano wieżę jako żywo przypominającą latarnię morską na Rozewiu. Jeden trzymał oburącz suszarkę z radarem, drugi stał na środku jezdni z lizakiem i kierował mnie na pobocze. Obok stały już trzy samochody. Widać zarabiali na premię.

- No, panie kierowco, ile to mieliśmy na liczniczku? I dokumenciki proszę...

Odszedł na bok, pewno z obawy przed gangsterami, których mogłem przewozić na tylnym siedzeniu.

Obróciłem się do Anety.

- A ile tu można jechać?

- 40. Stawiają ten znak tylko w godzinach szczytu, a potem zdejmują, żeby się ludzie nie przyzwyczaili. Zapomniałam pana uprzedzić. Zawsze tak robią. Ja się dotąd jakoś wykręcałam, może z nimi pogadam?

Spojrzałem na nią i pomyślałem, że na pewno jej byłoby łatwiej się wykręcić od mandatu. Ale wcale jakoś tego nie chciałem. Tym bardziej, że koło radiowozu zauważyłem znajomego kaprała, tego od kursu komputerowego. Pojawiał się na mojej drodze w trudnych momentach. Ostatnio jakby częściej.

- Zmienił pan samochód? - zagadnął, gdy tylko zobaczył, że mam znów kłopoty - Jeszcze nie wyczuwa pan gazu?

- Pod górę było, mamy ciężki bagaż, bałem się, że samochód stanie, a ślisko jest...

Wsunął dokumenty przez okno pochylając się tak, żeby sprawdzić z kim jadę. Zobaczyłem po minie, że szyk Anety zrobił na nim wrażenie.

- No tak, już rozumiem. Szerokiej drogi, no i niech pan uważa na siebie...

Zabrzmiało dwuznacznie i takie też pewno miało być. Aneta uśmiechnęła się, ale nadal nie patrzyła na mnie. Pojechaliśmy.

Dom stał na wzgórzu, a podjazd był nie utwardzony, pokryty błotem. Nie udawałem chojraka, tylko zatrzymałem przy bramie wjazdowej na dole i

wysiadłem.

- Zamieńmy się, ja tu nie umiem jeździć.

Usiadła bez słowa za kierownicę, poczekała aż zamknę drzwi i na jedyńce z hałasem podjechała na górkę. Światło zapaliło się automatycznie, w sąsiednim domu ktoś otworzył okno i czekał, aż Aneta wysiądzie.

- To ja, mamó! Już wróciłam!

Odwróciła się do mnie.

- Teściowa. Zawsze pilnuje mi domu. I mnie. Niech się pan nie zdziwi, jak za parę minut wparuje tutaj, żeby sprawdzić, co to takiego kupiłam. I kogo przywiozłam.

Pownosiłem pudła na piętro, zdjąłem kurtkę, włożyłem kapcie, pewno należące do pana domu, który gdzieś w Detroit zrywał z dachów azbest i zacząłem montować sprzęt. Aneta przysiadła koło mnie.

- Nie proponuję, że pomogę, bo nie pomogę, a nie lubię obietnic bez pokrycia. Najwyżej duchowego wsparcia udzielę...

- Będiesz moją muzą, tak?

- Komputerową? Mogę być...

Jakoś gładko i bez żadnych zahamowań przeszliśmy na ty. Rozmowa jednak się nie kleiła, bo kiepsko się gada, gdy jedna osoba siedzi na fotelu, a druga pod biurkiem układa kable.

Więc wyszedłem spod biurka, bo i tak musiałem wypakować sprzęt. Najpierw usiłowałem wyciągnąć z pudła komputer. Styropian przylegał tak szczelnie, że musieliśmy wyciągać go na cztery ręce. Przy monitorze Aneta klęcząc na podłodze trzymała pudło, ja ciągnąłem. I tak zastała nas teściowa. Weszła bezszelestnie na bosaka, od razu na piętro do pracowni graficznej i zastała nas w pozycji dość dwuznacznej: Aneta klęcząca przede mną z głową na wysokości mojego, powiedzmy, pasa, ja w ekstazie z ogromnym ekranem nad tą głową... Wytłumaczenie tego, co robimy, przerastało moje umiejętności, zresztą nie robiliśmy niczego złego.

- Pan inżynier napije się herbaty czy kawy? - zagadnęła Aneta wstając z kolan i poprawiając włosy. Monitor całym swoim 21-calowym, stosownym dla

grafika jestestwem pysznił się w moich rękach, nie mogłem się przywitać, zresztą i tak dostałem zadyszki. Postawiłem go na biurku i trochę bez zastanowienia wlałem pod blat, chcąc uzasadnić swoje zachowanie szybkim podłączeniem sprzętu. I wtedy się okazało, że nie kupiliśmy listwy rozdzielającej. Aneta ponowiła pytanie. Spod biurka, skurczony i niemal bez oddechu, poprosiłem o herbatę. Stały obie koło mnie i widziałem tylko ich nogi - teściowej w dżinsach i na bosaka, Anety w brązowej spódnicy poniżej kolan i eleganckich pantofelkach. Zacząłem sobie wyobrażać różne rzeczy, na szczęście jednak wyobraziłem sobie też, co by było, gdybym te różne rzeczy zaczął wprowadzać w czyn. Pomyślałem, że powinienem przedstawić się teściowej. Ale głupio mi było to robić na czworakach i spod biurka. Potem przypomniałem sobie o moich korzonkach, którym długotrwałe przebywanie pod biurkiem w pozycji kucznej zdecydowanie nie mogło posłużyć i wróciłem do kabelek. Nogi w pantofelkach i nogi bose odeszły.

Kontakt na ścianie miał tylko dwa gniazdko, mogłem więc podłączyć komputer i monitor. Skaner miał łącze USB, więc brał prąd z komputera, ale drukarka i lampka na biurku musiały poczekać na lepsze czasy. Zacząłem łączyć kable i wtedy usłyszałem kroki nad sobą. Domyśliłem się, że odgłos dobiega ze strychu. Ponieważ głosy Anety i teściowej słyszałem dobiegające z kuchni na dole, a nikt do domu nie wchodził - zastanowiłem się, kogo moja nowa przyjaciółka trzyma na strychu. W zasadzie to nie była moja sprawa, ale przed chwilą - tylko przez moment - pomyślałem sobie o tym, że nie musiałbym koniecznie dalej palić w piecu w mojej wsi, skoro tu jest tak wygodne centralne ogrzewanie. Dałem spokój krokom na strychu i wróciłem do kabelek. Monitor, klawiatura, głośniki, skaner... Wśród zwisających z za biurka wtyczek nie było zielonego PS-2 od myszki. Musiała zostać w trzecim pudle z akcesoriami. Zacząłem wylazić spod biurka.

Nogi w zniszczonych adidasach i dresie z zielonym lampasikiem zobaczyłem w ostatniej chwili. Zatrzymałem się pod biurkiem i wtedy najpierw doleciała mnie woń wczorajszego piwa, a potem zobaczyłem wsadzaną właśnie pod blat czerwoną z wysiłku mordę z trzydniową szczeciną. Moda na niegolenie

się zataczała coraz szersze kręgi i dotarła już nawet tutaj. Cofnąłem się gwałtownie i zakolebałem biurkiem. Monitor zakołysał się, ale przytrzymany silną ręką pozostał na miejscu.

- Pan uważa, panie inżynierze - usłyszałem ochrypły głos. Uznałem, że w tej sytuacji prostowanie, że nie jestem inżynierem byłoby nie na miejscu. Powoli wygramoliłem się spod biurka, gotów do prezentacji. Ale w pokoju już nie było nikogo. Znalazłem i podłączyłem myszkę. Pstryknąłem włącznikiem. Weszła Aneta, bez teściowej.

- Działa? - spytała, stawiając herbatę i ciasto na stoliku pod lampą.

Popatrzyłem na ekran. Windowsy ładowały się powoli, system po kolei sprawdzał połączenia nowego sprzętu. Poszukałem wtyczki telefonu i dołączyłem do modemu. Zacząłem konfigurować Internet. Za oknem zapadł już zmierzch, lampa dawała łagodne światło i Aneta uśmiechała się tajemniczo.

- Ktoś tu był - rzuciłem od biurka, wpisując adres zaprzyjaźnionego serwera, na którym miałem założyć Anecie pocztę.

- Mama Wojtka, mówiłam, że zawsze sprawdza, kto do mnie przychodzi i po co. Ale już wyszła, bo teść jest chory i nie wstaje z łóżka.

- Potem był. Jak wyszłyście do kuchni. Najpierw chodził po strychu, potem zszedł tu. W adidasach i dresach. Nieogolony. Facet - dodałem niepotrzebnie.

Aneta uśmiechnęła się. Miała piękny uśmiech. I śliczne oczy za okularami.

- Tylko sprawdzał, oni wszyscy mają obsesję. Brat teścia. Tymczasowo mieszka u nas, bo przyjechali jacyś jego zagraniczni znajomi i załatwiają interesy. Ktoś coś komuś sprzedaje, nie wiem czy całkiem legalnie, a że ma gadatliwą żonę, to wyjechał niby, a tak naprawdę jest u mnie. Prawie go nie znam, a teraz zupełnie nie widuję. Ale nie ma się co obawiać, już nam nie będzie przeszkadzał.

Mało mnie to pocieszyło. Romans z teściową za ścianą i bratem teścia nad głową był trudny. Ale mało który mój romans był łatwy. Na biurku wszystko działało, założyłem jej pocztę i Gadu-Gadu, wgrałem swoje adresy i wziąłem talerzyk z ciastem. Na strychu łupnęło, jakby brat teścia przewrócił szafę. Aneta uśmiechnęła się jeszcze bardziej promiennie.

- Masz dużo takiej pracy? - spytała. Udawałem, że nie słyszę hałasu na górze.

- Niedużo. Do tej pory nie udzielałem indywidualnych porad. I nie zamierzam. Ty jesteś wyjątkowa...

Położyła rękę na poręczu mojego fotela, bo akurat podniosłem do ust szklankę z herbatą.

- Jesteś bardzo miły, że tak mówisz.

- Napiszesz do mnie wieczorem? - pokazałem na komputer - będę czekał...

- Ale chyba jeszcze nie musisz jechać?

Nie musiałem. Nie chciałem. Nie powinienem. Zadzwoiła komórka. Przeprosiłem, Aneta odeszła do komputera. Ania zawiadamiała mnie, że będzie koło ósmej u mnie w domu. Rozłożyłem ręce.

- Znowu musisz jechać - bardziej stwierdziła niż spytała Aneta. Nie patrzyła na mnie. Wziąłem drugi kawałek szarlotki. Jeszcze nie musiałem, była dopiero szósta, a od mojej wsi dzieliło nas piętnaście minut. Corsą, miałem nadzieję. Było więc co najmniej półtorej godziny do dyspozycji.

- A teraz posłuchaj... - powiedziałem. Zajęło mi równe dwadzieścia minut, żeby jej wytłumaczyć istniejącą sytuację. Nie przerywała. Na górze ucichło, było ciepło i miło, na ekranie komputera powoli przesuwaly się obrazki wygaszacza „Leonardo da Vinci”. Znow się uśmiechnęła i już nie mogłem od tego uśmiechu oderwać oczu. Ostatnio rzadko kto się do mnie uśmiechał inaczej, jak ironicznie.

- Zawsze przecież możemy sobie mówić, że jesteśmy przyjaciółmi - powiedziała. Jednak było to ironiczne.

- Jak rozwiążę swoje sprawy, wtedy zadecydujemy. Przyjaciółmi możemy być zawsze. No i zawsze deklaruję swoją pomoc przy sprawach komputerowych - chyba sam w to nie wierzyłem - Ale nie będę cię narażał wobec twojej rodziny, a raczej rodziny twojego męża.

- Och, oni nie są wcale źli, a on jest daleko i...

Mąż może był daleko, ale brat teścia znalazł się całkiem blisko. Schodził ze strychu z trzema czarnowłosymi i ciemnoskórymi mężczyznami. Za srebrne uchwyty trzymali brązową trumnę, przykrytą zieloną flagą. Nie zwracając na nas uwagi, wyszli tylnymi drzwiami. Usłyszałem trzask zamykanego bagażnika, potem silnik samochodu, po chwili wszystko ucichło.

- Może jeszcze herbaty? – Aneta długimi palcami przytrzymała srebrny czajniczek. Skojarzył mi się z trumną i podziękowałem.

- Nie chciałbym się wtrącać, ale czy możesz mi powiedzieć, co się dzieje u ciebie w domu?

Nalała więc tylko sobie, odstawiła czajniczek, oparła się wygodnie w fotelu z filiżanką w ręku.

- Nic takiego... Załatwiają interesy, i tyle. On ma tam taki mały pokoik, kilka razy w tygodniu wyjeżdża ze znajomymi gdzieś w Polskę. Na pewno nie będzie go aż do jutra, może do niedzieli...

- Z trumną interesy? Macie tu zakład pogrzebowy? A te hałasy?

Machnęła ręką.

- Och, nie wiem, nie znam się na tym. Musimy o tym mówić? Mówię ci, że już nikogo nie ma, jesteśmy sami. Możesz nauczyć ten komputer grać jakąś muzykę?

Zrzuciła pantofle i podwinęła nogi pod siebie na fotelu. Przyjrzałem się - było co podwijać. Włączyłem muzykę. Półtorej godziny to jednak sporo czasu, ale i tak minęło nie wiedzieć kiedy.

*

Ania pojawiła się zaraz potem, jak trochę ogarnąłem dom i napaliłem w piecu. Sama wstawiła wodę na herbatę i nie owijając sprawy w bawełnę zapytała, czy moja żona nadal chce się ze mną rozwieść. W kominku trzaskały świerkowe polana, Alicja wyszła z domku i ziewając zaczęła kręcić się w karuzeli, a ja jeszcze ciągle myślałem o drewnianym domku na wzgórzu, gdzie na świeżo zmontowanym komputerze nadal pewno migąła zorza polarna elektronicznych kolorów, zmieniających się w rytm muzyki Carlosa Santany.

- Chyba tak, ale pewno już nie tak chętnie jak kiedyś...

- A ty?

Milczałem. Może trzeba było skorzystać z okazji, być zarazem winnym jak i pokrzywdzonym i wreszcie oficjalnie uzyskać wolność? Tylko czy chciałem tej

wolności? Może trzeba było zostawić sprawy ich biegowi?

- No, co ty... Chyba nie...

Wyobraziłem sobie domek na wzgórzu i brata teścia z trumną pod pachą. Wyobraziłem sobie Agatę w długim płaszczu i zapinanej agrafką spódnicy w szkocką kratę w samochodzie hurtowni męża. Wyobraziłem sobie Agnieszkę w minispódniczce z Zużą. Spojrzałem na Anię, która nie patrząc na mnie piła herbatę, nie zdjęwszy kurtki, bo temperatura nie przekraczała plus dziesięciu. Wyobraziłem sobie ją bez kurtki. Wyobraziłem sobie wszystkie te miłe osoby spotykające się na moich imieninach w letnim domku wiejskim w środku zimy i zdecydowanie powiedziałem:

- Nie dawaj jej rozwodu, Aniu. Chcę wrócić do domu.

*

Do sądu pojechałem mikrobusem. Kierowca był na tyle zaprzyjaźniony, że podjechał pod sam gmach i gdy wysiadałem, podniósł kciuk do góry:

- Pan się nie martwi, wszystko będzie dobrze. Wyjdzie pan stąd jako kawaler!

Plotki o moich problemach rozniosły się więc szeroko, ale nie do końca odpowiadały rzeczywistości. Przynajmniej mojej rzeczywistości... Żona przyjechała do sądu tym razem sama, zaparkowała niepotrzebnie ciasno drzwi w drzwi koło jakiegoś malucha i z trudem wysiadła, obciążając wąską spódnicę kostiumu. Albo sytuacja finansowa firmy się poprawiła, albo w banku dawali większe kredyty, bo kostium najwyraźniej był nowy. Pozwoliła pocałować się w policzek i weszliśmy do budynku.

Tym razem już bez błędzenia trafiliśmy do sali 208, bo sąd był konserwatywny i nie zmienił adresu rozprawy, a może po prostu było to miejsce pracy Ani. Nigdy mi o tym nie mówiła, bo staraliśmy się podczas naszych spotkań nie rozmawiać na tematy zawodowe. Wysoki sąd był w służbowej todze, pod którą miał jasną garsonkę, ale kozaczki zmienił na jasnobrązowe pantofelki.

Protokolantka już nie miała zielonych pasemek na jasnych włosach, w ogóle nie miała jasnych włosów. W zasadzie w ogóle nie miała włosów, bo była przystrzyżona na zapalkę, położoną na płask. Była w dżinsach o trzy numery za małych i bluzce o trzy numery za krótkiej. Na rozprawach rozwodowych powinni tego zabronić. Sąd zauważył, że się jej przyglądam i zgromił mnie wzrokiem. Miałem przerąbane, bo Ania zawsze zauważała, jak się przyglądam innym dziewczynom. W tym nie różniła się zasadniczo od mojej żony. Zresztą od niczyjej żony. Usiedliśmy.

- Nie widzę pana mecenas - Ania udała, że nie wie, co się stało. O sytuacji na froncie informowałem ją na bieżąco, ale nie uważała za stosowne o tym powiadomić mojej żony.

- On wyjechał, no i go zwolniłam. To znaczy, no, nieważne, postanowiłam bronić się sama.

- Przed czym postanowiła się pani bronić? - rzuciła Ania nie odrywając wzroku od papierów, które porządkowała na stole sędziowskim. Żona spłoszyła się.

- To znaczy, no przed nim... - pokazała na mnie ręką. Siedziałem po przeciwnej stronie, z widokiem na grecki profil wysokiego sądu i tył protokolantki, która stukała z wysiłkiem w klawisze komputera. Wyglądało na to, że nie była u mnie na kursie. Tył protokolantki prezentował się lepiej niż komputer, który musiał pamiętać czasy rządów pani minister Suchockiej.

- W naszych papierach jest napisane, że to pani jest w tej sprawie powódką, a pozwany pani nie atakuje, tylko chce się z panią pogodzić. A może sytuacja uległa zmianie?

- Tak - powiedziała żona. - To znaczy nie.

- Proszę zaprotokołować - Ania pochyliła się do protokolantki. Powinna była zapiąć bluzkę wyżej, bo się rozpraszałem. - Powódka podtrzymuje pozew. Czy ma pani dokument o wycofaniu pełnomocnictwa dla swojego adwokata?

- Nie mam - żona rozłożyła ręce - nie powiedział mi, żebym miała. Bo wyjechał - dodała niepotrzebnie.

Popatrzyła na mnie, jakbym mógł jej coś pomóc. Otworzyłem usta, ale sąd

mnie ubiegł. Nadspodziewanie łagodnie – a może z pobłażaniem? – Ania uśmiechnęła się do mojej żony.

- Zaprojektujemy, że powódka ustnie zgłasza wycofanie pełnomocnictwa, ale – popatrzyła na nią - do tygodnia proszę o złożenie tego na piśmie w kancelarii. Informuję strony, że jest to druga rozprawa pojednawcza. Druga i ostatnia. Jeśli nie dołożymy wysiłku do pogodzenia się, to istnieje niebezpieczeństwo, że małżeństwo zostanie z mocy prawa rozwiązane. Dokonany zostanie podział majątkowy, sąd ustali też losy niepełnoletniego dziecka i to, kto i w jakiej wysokości będzie płacił alimenty. Zazwyczaj dziecko zostaje przy matce, chyba że samo zechce inaczej. W jakim wieku jest dziecko?

Spuściłem głowę, żeby ukryć uśmiech. Przecież świetnie się w tym orientowała, ale nie mogła inaczej.

- Osiemnaście – powiedziała żona - Co to znaczy podział majątku? Przecież to jest moje, jak mamy się dzielić? On korzysta z domku na wsi, a ja mam dla siebie mieszkanie w mieście, to chyba jest sprawiedliwie? I jak to ustalić alimenty? To nie on będzie mi płacił alimenty?

- Proszę o spokój - Ania, jak chciała, potrafiła naprawdę być lodowata jak Syberia - ja tu z powódką nie dyskutuję, tylko informuję, decyzję podejmę na następnej rozprawie, chyba że państwo się pogodzicie. Czy pozwany podtrzymuje chęć pojednania?

- Tak, wysoki sędzie - zawahałem się tylko chwilkę, ale nie uszło to uwadze mojej żony. Spojrzała na mnie spod oka. Ania patrzyła na mnie z kamiennym wyrazem twarzy.

- Jest pan pewien, że będzie potrafił zapobiec przyczynom konfliktów w małżeństwie?

- Nie, nie jestem pewien - powiedziałem szybciej, niż pomyślałem. Zawsze wpajano mi, że przed sądem trzeba mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. Tak pisali we wszystkich kryminałach. Nie byłem pewien, bo przecież na żonę wpływu jak nie miałem, tak mieć nie będę, na otoczenie mogę nie reagować, ale byle co może powodować konflikt. Albo brak byle czego.

Żona nie wytrzymała i podniosła głos.

- A widzi wysoki sąd? Nawet nie obiecuje poprawy! No to jak ja mam się z nim nie rozwieść? I jeszcze mówi, że się chce pogodzić!

Protokolantka uderzała w klawisze z szybkością, przy której wysiłki moich kursowych emerytów były olimpijskimi wyczynami. Pomyślałem, że powiem Ani, żeby przysłała ją do mnie na korepetycje, ale potem doszedłem do wniosku, że to nie jest dobry pomysł. Żonie zabręczała komórka, właśnie wtedy, kiedy wysoki sąd nabierał powietrza, żeby ją skarcić. Anię zatkało, protokolantka odsunęła klawiaturę, a moja żona wstała z ławki i odeszła w stronę drzwi, żeby spokojnie porozmawiać. Sala była niewielka, więc i tak było słyhać. Słuchaliśmy w milczeniu, nie chcąc przeszkadzać. Trwało wyjątkowo krótko.

- Przepraszam, ale mam jakąś kontrolę w firmie, będę musiała zaraz jechać. Na czym skończyliśmy?

Wysoki sąd odkorkowało.

- Co powódka sobie wyobraża? To nie pani prowadzi tę rozprawę. Jak pani się nie uspokoi, to ukarzę panią grzywną za obrazę sądu.

Żona popatrzyła na nią ze zdziwieniem.

- Jak to ja nie prowadzę? Przecież to ja złożyłam pozew, prawda? I beze mnie rozprawa się nie odbędzie. Więc proszę na mnie nie krzyczeć, ja nie mam czasu na wysłuchiwanie tego wszystkiego. I niech on sobie nie myśli, że zgodzę się na jakieś jego warunki. Żadnego podziału majątku nie będzie, ani żadnych alimentów innych niż jego dla mnie, ani nic. Jak tak będzie dalej, to po prostu wycofam ten wniosek. I żadnego sądu też nie będzie. Czy pani ma jeszcze coś do mnie? Od rana jestem na nogach, następne zebranie mnie czeka, nawet do toalety nie miałam czasu wyjść.

- Toaleta jest na końcu korytarza w lewo - powiedziała Ania spokojnie - zarządzam dziesięć minut przerwy. Jeśli pani nie wróci za dziesięć minut, będzie pani doprowadzona przez policję. Proszę więc wyjść do toalety. A jak pani wróci, proszę wyłączyć telefon i zachowywać się stosownie do powagi sądu.

Żona założyła nogę na nogę, ciągle była bardzo zgrabna i ciągle to zauważałem, spojrzała na zegarek i uśmiechnęła się. Nie lubiłem tego uśmiechu. Spojrzałem na protokolantkę. Protokolantka spojrzała na wysoki sąd. Wysoki sąd

spojrzał na mnie. Udawałem, że tego nie widzę, żeby nie pogarszać sytuacji. W końcu, to nie był mój problem. W sądzie rodzinnym powinni umieć sobie radzić w sytuacjach, które w rodzinie zdarzają się na co dzień. Przynajmniej w mojej rodzinie. Ania zaczerwieniła się, ale wiedziałem, że to nie jest rumieniec ze wstydu. Podobny wyraz twarzy miała nad jeziorem, gdy bezczelny gówniarz chciał jej sprzedać kradzione z jej wozu wycieraczki. Pochyliła głowę nad papierami i nie patrząc na moją żonę spytała półgłosem protokolantki:

- O której zaczynamy następną sprawę?

- Za pół godziny.

Siedzieliśmy bez ruchu przez chwilę. Moja żona nie wytrzymała już po dwóch minutach.

- Proszę pani, ja się spieszę!

Ania poinformowała bezosobowo:

- Strony obowiązane są zwracać się do sądu.

- Proszę sądu - zagulgotało żonie w gardle - ja mam w firmie kontrolę!

- Powódka miała wyjść do toalety i sąd zarządził 10 minut przerwy.

- Ale nie wyszłam!

- To już pani sprawa. Przerwa skończy się za 7 minut.

Byłem pełen podziwu. Dawno nie byłem na lekcji wychowawczej. Przez siedem minut nikt się nie odzywał. Protokolantka włączyła w komputerze pasjansa, ale zgromiona wzrokiem przez Anię szybko wróciła do edytora tekstu. Wreszcie Ania, ignorując moją żonę zwróciła się do mnie:

- Czy pozwany wyraża zgodę na rozwód?

- Bez orzekania o winie? – chciałem się upewnić. Ania zawahała się przez chwilę.

- O tym zadecyduje sąd. A bez orzekania pozwany wyraża?

Żona spojrzała na zegarek i wzięła do ręki torebkę. Pomyślałem, że taka okazja więcej się nie powtórzy. Ale potem wyobraziłem sobie, jak żona zostaje w końcu sama po tych wszystkich wspólnych latach, jak patrzy na puste mieszkanie, z którego córka też lada dzień ucieknie, jak doprowadza do upadku firmę, którą wspólnie założyliśmy, jak w końcu zaczyna sobie uświadamiać, jaką wysoką cenę

musi sama zapłacić za to ukaranie mnie. Nie, nigdy w życiu tego sobie nie uświadomi – dalej będę winny ja... Zrobiło mi się nagle żal tych wszystkich lat, kiedy brnęliśmy w błędy i sytuacje, które wydawały się we wtorek bez wyjścia, by w środę już tylko śmieszyć, ale we czwartek znów powracać w przetworzonej – na gorszą – postaci...

No i przede wszystkim na zeszłej rozprawie powiedziałem, że nie chcę rozwodu, do żony wypisywałem błagalne listy, to z gęby cholewy robił nie będę...

- Nie, dziękuję. Nie skorzystam.

Wysoki sąd otworzył buzię, żeby mnie ochrzanić za dowcipkowanie, widziałem to po jej oczach, opanowała się, ale z trudem. Żona już wstawała.

- Stwierdzam, że strony nie porozumiały się w toku postępowania pojednawczego. Rozprawa rozwodowa odbędzie się w ciągu trzech miesięcy. Zamykam posiedzenie.

Spojrzała na mnie z pytaniem w oczach. Pokręciłem lekko głową. Przymknęła oczy. Wyjąłem telefon komórkowy i go włączyłem. Powinna to odczytać - nie mogę teraz z nią pojechać, zadzwonię wieczorem. Na korytarzu podszedłem do żony. Wyglądała na przegraną, zmęczoną i potrzebującą pomocy.

- Podrzucisz mnie do pracy? Może się przydam?

Skinęła głową.

*

Wróciłem na wieś wczesnym wieczorem, bo żona, kiedy już skończyła się kontrola urzędu skarbowego, była taka zmęczona, że - jak powiedziała musiała trochę odpocząć i nie miała ochoty ze mną rozmawiać. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie poprosi mnie o to, żebym wrócił do domu. Ale proszenie nadal nie leżało w jej naturze. Wydawało mi się, że oboje nie bardzo wiemy, co mamy z sobą zrobić, jakoś tak starannie unikaliśmy rozmowy na temat tego co dalej. Inna rzecz, że warunków specjalnie nie było - kontrola miała na celu ustalenie wartości firmy. Żona zamierzała wystąpić o ogłoszenie jej upadłości.

Koło pola Fabisiaka znów stała gromadka ludzi, ale od czasu nagłośnienia sprawy przez prasę stale przychodzili tu gapie, nawet z miasta przyjeżdżali, więc nie zatrzymując się przeszedłem obok. W domu na wsi było chłodniej niż zazwyczaj. Chomik spał w domku. Nie chciał nawet jeść i pewno z obawy przez przeziębieniem w ogóle nie wychodził. Zachrobotał tylko w środku, kiedy mu dosypywałem karmy, wysunął pyszczek, ale czarnych oczu nie otworzył i poszedł z powrotem spać. Zadzwoiłem do Ani, ale telefon odebrało dziecko i stwierdziło, że mamy nie ma. Włączyłem komputer. Kiedy się odwróciłem, w kuchni stała mama Agnieszki. Jak zwykle na wsi, nie zapukała. Poczułem się nieswojo.

- Mleko przyniosłam. Agnieszka jeszcze nie wróciła ze szkoły - powiedziała tonem usprawiedliwienia - Ale też chciałam z panem porozmawiać. Można?

Wziąłem bańkę z mlekiem i przelałem do garneczka na zsiadłe. Nie zmieściło się - było więcej niż zwykle, a co ważniejsze, więcej niż mieścił garneczek. Niestety, zauważyłem to dopiero po fakcie. Mama Agnieszki rzuciła się zbierać i przez dłuższą chwilę miotaliśmy się po podłodze ze ścierkami. W końcu, zadyszani, siedliśmy przy stole. Zaproponowałem herbatę. Odmówiła. W piecu trzaskał ogień, za oknem było już ciemno, chomik spał, po ulicy jechały traktory. Jakoś tak się nie mogła zebrać, w końcu zapytałem:

- Mam coś pomóc? Coś się stało?

- Stać się nie stało, ale może się stać. Bo Agnieszka...

Milczałem. Postanowiłem w razie czego wszystkiemu zaprzeczyć, nie było świadków, zresztą niewiele było do zaprzeczania. Przypomniałem sobie ofertę korepetycyjną i to, że właśnie mama Agnieszki ją wymyśliła.

- Agnieszka ma jutro urodziny. Dwudzieste. Maturę w tym roku zdaje, może na studia pójdzie, no to postanowiliśmy kupić jej w prezencie taki używany samochód. Pan się na tym zna, prawda? No bo pan jest inżynier, no i sam pan ma samochód...

Już mi się znudziło prostowanie tego, że po historii sztuki rzadko kto jest inżynierem i tłumaczenie, że samochód ma moja żona, która chwilowo nie jest moją żoną. Ale najwyraźniej mama Agnieszki nie przyszła z awanturą. Kiwnąłem głową.

- No, znam się to za dużo powiedziane, umiem prowadzić i dużo jeździłem. Ale na używanych samochodach się nie znam, i nie umiałbym go kupić na przykład na giełdzie, tu trzeba fachowca.

- Nie o to chodzi. Samochód już jest, kupił kuzyn męża, jest mechanikiem w mieście, takiego używanego opla. Tylko Agnieszka nie ma prawa jazdy, ma się dopiero zapisać i chodzi o to, żeby pan trochę jej pokazał...

- A tatuś Agnieszki? Przecież umie jeździć?

Popatrzyła na mnie, otworzyła usta, potem zamknęła. Wyjęła chusteczkę i wytarła nos.

- To co? Mógłby pan z Agnieszką trochę pojeździć? Ona pana lubi i mówi, że pan umie uczyć...

Hm... Prawdę powiedziawszy, to ta Agnieszka już całkiem sporo umiała. No, ale nie chciałem tego tematu rozwijać w tym momencie. Ile lat mogła mieć mama Agnieszki? Pojęcia nie miałem, w każdym razie musiała być sporo młodsza ode mnie...

- Wie pani, ja trochę czasu mam mało. Wyjeżdżam wcześniej, wracam późno, w dodatku i w pracy i w domu mam sporo kłopotów.

Okazało się, że to akurat nie jest problemem. Agnieszka też jeździła codziennie do miasta i według planów rodzinnych, miała jeździć w moim towarzystwie, wracać też, przy okazji ja nie wydawałbym na autobus, no, a na moje kłopoty, to zdaniem mamy, Agnieszka mogła zawsze coś poradzić.

- Ona robotna jest, posprzątać umie, ugotować, no i porozmawiać w razie czego też... Na pewno by się pan nie nudził, a ona lepiej zda prawo jazdy i urządzi się w życiu.

Przyjrzałem się jej spod oka. Co oni tam kombinowali po drugiej stronie ulicy?

- A kiedy ten kurs się zaczyna? – spytałem.

- Jeszcze nie wiemy. Ale jutro są te urodziny, więc pana serdecznie zapraszamy, już od popołudnia, bo to sobota...

Zapytałem o męża już wprost. Okazało się, że wyjechał bez słowa, po prostu wyszedł i nie wrócił. Ona, rozumie się, wie gdzie i do kogo pojechał i nie zamierza

go ścigać, ale miłe to nie jest, a dzieci zostały bez ojca. Ona się nie dziwi, że mu się chce do młodszej, ale w końcu ona czuje, że jest jeszcze fajną kobietą, a jakby trafił się porządny mężczyzna, to by to mógł docenić. I by nie miał źle.

- Więc bardzo pana zapraszamy na jutro. Ja też bym chciała, żeby pan się zgodził. Może i ja bym się czegoś nauczyła?

Popatrzyła na mnie, potem dyskretnie rozejrzała się po mieszkaniu.

- Sporo się tu zmieniło... Ale ładnie pan tu ma, tylko kobiecej ręki brakuje. Jeśli się pan nie pogniewa... Może wpadnę tu kiedyś i trochę posprzątam? A pan mi coś opowie ciekawego... Tak bym chciała, żeby się pan Agnieszką zaopiekował. To może i ja skorzystam?

Chętnie się zgodziłem – sympatycznych ludzi nigdy dość. W zasadzie różnych kobiet sporo się tu przewijało, ale jakoś żadna miotły do ręki nie brała...

- Mam teraz chwilę, dzieciaki zostały w domu, film oglądają. O, łóżko ma pan nie pościelone, ale teraz to już pewno się nie opłaca... I może ja też jeszcze na tych naukach skorzystam? Jeszcze taka stara nie jestem... I proszę do mnie mówić Ada.

Zgasilem światło w kuchni i przeszliśmy do sypialni. Rzeczywiście, z tym sprzątnięciem to miała rację, zawałem sprawę. Z tym, że ścielić łóżka to już teraz się naprawdę nie opłacało.

*

W prawym rogu migiała niebieska kopertka wiadomości i żółta komunikatu Gadu-Gadu. Otworzyłem żółtą.

- Nie mogę sobie sama poradzić, coś MUSZĘ zrobić, jak wrócisz do domu, to zadzwoń!

List był nie podpisany, identyfikował się tylko numer, a katalog użytkowników był niedostępny. W zasadzie mogła to być tylko Aneta, bo moja żona nigdy w życiu nie przyznałaby się do tego, że nie może sobie sama poradzić, Agata pewno bałaby się do mnie napisać, żeby nie przeczytała moja żona lub jej mąż, córka napisałaby od razu o co chodzi, Ania świetnie radziła sobie sama, a Agnieszka i jej matka nie miały komputera. Odpisałem:

- *A dokładnie o co chodzi i pod jaki numer mam zadzwonić?*

Wysłałem. Otworzyłem pocztę. Wywaliłem 3 strony pornograficzne, nie z powodów moralnych, tylko że one otwierają się tak długo, że już człowiekowi wszystko opada, zanim fotka pokaże o co chodzi, przeczytałem do połowy list, udowadniający, że wszyscy polscy politycy z koalicji i większość z opozycji to Żydzi, Rosjanie i Niemcy na raz, a tylko Partia Prawdziwej Prawicy obroni moją ziemię przed komunistycznymi kapitalistami z Brukseli, a ponieważ nie miałem swojej ziemi nawet w doniczce, więc nie byłem ciekaw jak, nie przeczytałem też, jak mogę zarobić 10 tys. dolarów nie wychodząc z domu, tylko klikając na coś na komputerze, wreszcie dotarłem do ostatniej wiadomości.

- *Potrzebuję twojej pomocy. Odezwij się.*

Jako nadawca figurowała jakaś *Mażena*, przez żet z kropką, ale nie miałem takich znajomych, które robiłyby błędy ortograficzne we własnych imionach. Odpisałem, z prośbą o zidentyfikowanie się. Zabrzęczała komórka, informując o nadejściu SMS-a. Wysłany z komputera, zawierał tylko trzy słowa: *To ja, mogę przyjechać?* Znów bez podpisu. Ale domyśliłem się, że czeka mnie trudny wieczór. Na wszelki wypadek zrobiłem sobie kolację w postaci piwa i białego sera z dżemem. W komputerze trwała cisza, więc zabrałem się do projektowania strony dla Ośrodka Kultury. Dawno już powinienem był ją skończyć, ale warunki zdecydowanie nie sprzyjały. Teraz też po ściągnięciu kilku skryptów javy z Internetu pomyślałem sobie, że ktokolwiek by się do mnie nie wybierał, lepiej będzie jeśli otworzę bramę i garaż, bo pewno ten ktoś będzie wolał nie zostawiać auta na ulicy.

Wyszedłem na zewnątrz i zauważyłem, że nie zapaliło się automatyczne światło przed drzwiami. Było ciemno, więc i tak nie miałem szans na jego naprawę. Otworzyłem bramę, potem garaż i już wracając do drzwi wejściowych go zobaczyłem. Stał, oparty o ciemną ścianę stodoły, niemal niewidoczny, tylko zielony mundur połyskiwał lekko w świetle dalekiej latarni.

- *Panie Majewski!* - zawołałem półgłosem.

Szeptem się przywitał, ale nie ruszał się nadal. Nie powiedział też, w jaki sposób znalazł się na moim zamkniętym ze wszystkich stron podwórku i co tam

robił. Podszedłem, bo odniosłem wrażenie, że potrzebuje pomocy. Zresztą, był na moim podwórku i poniekąd czułem się za niego odpowiedzialny.

- Panie, chodzi tu u pana – powiedział - Pan go widział?

Jakoś tak od razu go zrozumiałem.

- Kiedyś widziałem ślady, jego samego nie. Pan wie, co to jest?

Pokręcił głową. Oczy latały mu po całym podwórku, tak systematycznie, z lewej do prawej i z prawej do lewej. Wzrokiem przypominał ochroniarzy prezydenta, ale ochroniarze nie okazują, że się boją. On się bał.

- Pan się nie gniewa, że ja tu stoję. I że wszedłem. Postoję jeszcze chwilę, a jak do pana ta kobieta przyjedzie, to sobie pójdę. Może on przyjdzie, to przynajmniej się popatrzę. Ale go nie dotknę, za nic w świecie. Książd się ze mnie śmieje i mówi, że poda to do gazety, że leśniczy diabła widzi. A ja, panie inżynierze, niejedno już w lesie widziałem, ale takiego jak ten to nie.

- A tego tu, to pan u mnie widział z bliska?

Majewski jakby zmalął w środku.

- Tylko ślady widziałem z bliska, jego tylko z daleka. I tyłem. Ale diabeł czy nie diabeł, nie ma prawa tu u nas chodzić. Przedtem chodził tylko u Fabisiaka, teraz pokazuje się u pana i u Zbyszka, podobno nawet u sołtysa, ale sołtysowa szybko ślady zamiotła, żeby do UOP-u nikt nie doniósł. O panu już wiedzą... A ja to wszystko wiem. Wszędzie chodzę, na wszystko patrzę, to wiem.

Trochę się przestraszyłem. Wszystko to w moim przypadku było trochę za dużo.

- Może pan wstąpi na kielicha? - zaproponowałem.

- Nie, panie, na służbie jestem. Ja sobie zaraz pójdę.

Poklepałem go po ramieniu.

- Jak pan chce. Jakby panu zimno było, to niech pan wejdzie, choć na herbatę czy kawę.

Pokręcił głową.

- Dziękuję. Ja herbaty nie piję, a na kawę za późno. Ja zaraz sobie pójdę - powtórzył i znów oparł się o ścianę stodoły, jakby znikając na jej tle.

Wróciłem do domu.

Chomik się obudził, więc wypuściłem go w kuli na podłogę. Biegał sobie statecznie, najpierw w mojej pracowni, potem w dawnym pokoju córki. Słyszałem jak się obija o meble, więc najwyraźniej był w lepszej formie niż wcześniej. Pomyślałem sobie, że Alicja musi mieć już swoje lata. Jak długo żyją chomiki? Dłużej niż myszy?

Poruszyłem myszą i wygaszacz z Nicole Kidman zniknął z ekranu. W pasku zadań migąła żółta kopertka. Nacisnąłem.

- *Potrzebuję twojej pomocy. Czy mogę na to liczyć?*

W miejscu nadawcy wiadomości widniał tylko ten sam co przedtem numer. Katalog użytkowników Gadu-Gadu nadal był niedostępny, widać linia była przeciążona.

- *Jasne, jeśli tylko będę w stanie...* - odpisałem. Ktokolwiek to był, jeśli mogłem mu pomóc, powinienem pomóc... A może to oryginalny sposób na zawarcie ciekawej internetowej znajomości? Późną nocą pojawiła się wiadomość z tekstem:

- *Hello! czy my się przypadkiem nie znamy?*

Sprawdziłem, katalog tym razem był czynny, ale wyświetlił mi się tylko pseudonim rozmówczynie. Napisałem, że jeśli nawet nie, to ta bolesna luka w naszych życiorysach jest do nadrobienia. Ucieszyła się. Zaproponowałem na początek małą grę wstępną, polegającą na tym, że może się przedstawimy, i że *ladies first*. Potem to przetłumaczyłem, na wszelki wypadek, bo wiem jak wygląda poziom nauki języków obcych w naszym kraju. Znow się ucieszyła i napisała:

- *Tak wiec, jestem Madziara z Grudziądza (wiesz gdzie to jest?)*

Wiedziałem, gdzie to jest, więc tylko spytałem czy to wszystko, co może mi o sobie powiedzieć. Zaśmiała się znaczkami i napisała, że wystukała przypadkowo mój numer z klawiatury, nie zastanawiając się nad niczym, po czym spytała ile mam lat. Ciekawe, nie była zainteresowana kim jestem, co robię, jakie są moje poglądy na temat globalizmu, eutanazji i niszczenia lasów podzwrotnikowych, jaki mam kolor oczu i czy przypadkiem nie jestem w trakcie procesu rozwodowego, tylko ile mam lat. Poinformowałem, a na wszelki

wypadek podałem adres swojej strony internetowej ze zdjęciem - a co! Niech wie.

Milczała przez dłuższą chwilę, potem z szacunkiem napisała:

- *no to sie narzyles! pol wieku przerzyles! ponad...*

Nie dało się zaprzeczyć, ale co *przerzyłem* to moje. Madziara uznała, że temat został zamknięty i znajomość zawarta, rozwinięta i zakończona.

- *do uslyszenia spadam pa. jeszcze cie dorwe.....kiedys* - dodała na osłodę.

- *Śmieszne!* - stwierdziłem i rozłączyliśmy się.

Ja, żeby nie było tak śmiesznie, nigdy nie pisywałem do osób nieznajomych. Zastanowiłem się, jak znajomi internetowi zareagowaliby na moją prośbę o pomoc.

Otworzyłem pocztę i napisałem maila:

- *Mayday! Mam kłopoty, potrzebuję pomocy!*

Zaznaczyłem wszystkich w mojej książce adresowej jako „ukrytych odbiorców”, przez co każdy mógł mieć przeświadczenie, że wysyłam S.O.S. tylko do niego i kliknąłem. W tym momencie na podwórku zrobiło się jasno, jakiś samochód zatoczył koło reflektorami, świecił chwilę w moje okna, po czym silnik zgasł. Drzwi trzasnęły dwukrotnie. Pomyślałem, że to może Ania przycięła sobie płaszcz, często tak robiła, mówiłem jej, że powinna jeździć w todze, to by jej policja nie zatrzymywała, ale ona te drzwi podawała zawsze jako przykład, że to nietrafiony pomysł.

Pomysł z Anią w ogóle tym razem był nietrafiony. Weszło ich dwóch, bez pukania, stanęli przy oknie i telefonie. Jeden w skórzanej kurtce, drugi w marynarce w kratę, ciemne włosy, wyglądali jak rosyjscy reketierzy. W tej chwili ktoś delikatnie zapukał do drzwi, weszła Aneta, trzymana mocno pod rękę przez trzeciego mężczyznę, o jeszcze ciemniejszej skórze. Wyglądała jak zawsze elegancko i uśmiechała się jak zawsze pięknie, choć z niejakim wymuszeniem.

- Dobry wieczór. Pamiętasz kolegów brata mojego teścia? - była wzorem dobrego wychowania - Mają pewne kłopoty i potrzebują pomocy. Dowiedzieli się ode mnie, że jesteś specjalistą od komputerów, najlepszym jakiego znam, więc musiałam ich tu przywieźć.

Zaakcentowała słowo „musiałam”, co pozwoliło mi zauważyć spory nóż,

jaki z pewną nonszalancją trzymał w ręku ten, który stał najbliżej mnie. Uśmiechał się uprzejmie i na nic nie nalegał, ale jakoś nie umiałbym odmówić pomocy takiemu człowiekowi w potrzebie. Tylko nie potrafiłem sobie wyobrazić, że to on wysłał na GG prośbę o pomoc...

- Czemu nie napisałaś maila o co chodzi? Chętnie pomogę...

- To wyszło dość nagle. Próbowałam na Gadu-Gadu, ale się nie odzywałeś... Wszystkie kontakty ze światem zewnętrznym, handlowe i inne, załatwiał tym panom ten brat mojego teścia, którego poznałeś u mnie. Teraz, niestety, sam ma kłopoty z kontaktem ze światem zewnętrznym, więc potrzebna będzie pomoc komputerowa. Ja znam się na tym za mało, więc musimy - znów ten akcent - pojechać do mnie, wysłać kilka maili i załatwić parę transakcji przez internet. I zeskanować parę dokumentów... Potem cię odwieziemy. Możesz? Proszę...

- Dobra - niespodziewanie po polsku odezwał się ten z nożem - starczy. Pan wie, trzeba jechać. Noc jest, chcemy spać. Robota czeka. *Shut door, lights off, keep quiet, don't say a word* - jego polski miał najwyraźniej ograniczony zasięg, angielski zresztą też.

Zgasilem światło, zamknąłem drzwi zewnętrzne. Z trudem upakowaliśmy się w piątkę do corsy. Pustą szosą zajechaliśmy w dziesięć minut do Anety. Domek na wzgórzu teraz nie wydawał mi się już tak bardzo przytulny jak kiedyś.

Pierwsze zadanie okazało się dość łatwe - miałem przepisać i wysłać kilkanaście krótkich listów w języku, który zinterpretowałem jako arabski, fonetycznie zapisany alfabetem angielskim, jeden po niemiecku i jeden po angielsku. To co zrozumiałem, nieco mnie przestraszyło - listy informowały o likwidacji oddziału Organizacji na terenie naszego regionu i przeniesieniu jej w inne miejsce. Nie likwidacja mnie przestraszyła, tylko to, że przedtem istniała. Na Internecie bandyci znali się bardzo pobieżnie, tak że część listów, gdy ich uwaga już osłabła, wysłałem na własny komputer „do wiadomości”. Niczego nie zauważyli. Potem z banku, działającego za pośrednictwem sieci, przesłałem na jakieś konto jakąś sumę pieniędzy, przy czym zarówno hasło, wysokość sumy i numer konta wstukał ten z nożem, dość brutalnie odsuwając mnie od komputera. Nóż odłożył obok klawiatury, pewno James Bond byłby go chwycił i wygrał tego

seta, ale ja nie lubiłem ani wstrząśniętych, ani nawet mieszanych martini.

Ze skanerem zrobił się problem, bo za nic nie chcieli dać mi do ręki dokumentów i zdjęć do skanowania, a nikt z nich nie umiał się tym obsłużyć. Anety nie dopuszczali również, co kazało mi przypuszczać, że i ona działa w tej sprawie pod presją. Nie pozostawało mi nic innego, jak tylko przeprowadzić szybki kurs obsługi sprzętu. Pojętni byli nadzwyczajnie, tak że w pół godziny udało nam się wszystko zeskanować i nagrać na CD-ROM, przy czym na szczęście nie zorientowali się, że wszystkie pliki pozostają na twardym dysku komputera Anety. Dostali do ręki płytkę, kazali sprawdzić, czy jej zawartość im odpowiada i wyglądało na to, że moja robota jest skończona. Czy nie wiedziałem jednak za dużo, na to by mi pozwolili spokojnie zająć się swoimi sprawami w swoim domu?

Pojechaliśmy wszyscy razem. Aneta zamknęła starannie drzwi, Arabowie wsadzili do bagażnika kilka niewielkich pakunków i po kilkunastu minutach byliśmy z powrotem przed moim domem. Tym razem nie pozwolili wjechać na podwórko, tylko kazali zaparkować na ulicy pod oknem. W piątkę weszliśmy do domu. Zabronili mi zapalić światło, monitor zgodnie z programem wyłączył się, więc ciemno było jak w studni. Szef grupy zapalił latarkę o długiej ręczce i skierował światło na podłogę. Powiedział kilka słów w języku, którego nie znałem, na historii sztuki uczyli tylko o sztuce islamu, ale szybko zrozumiałem, bo kiedy powtórzył to, trochę głośniejszy, drugi raz – najniższy i najciemniejszy z moich klientów wyciągnął pistolet i zaczął nakręcać tłumik. Staliśmy w kuchni. Pomyślałem, że plamy z podłogowych desek nie zejdą nigdy i moja żona będzie musiała zlecić ich wymianę. Usiłowałem sobie przypomnieć, jak nazywa się stolarz, mieszkający dwa domy dalej. Aneta przytuliła się do mnie. Wszystko rozumiałem, człowiek szybko się uczy...

I wtedy z sąsiedniego pokoju rozległ się ciepły alt Agaty:

- Jesteś tam? Czekam na ciebie...

Szef rzucił szybkie spojrzenie w głąb ciemnego pokoju, gdzie na niewidocznym stąd biurku stał komputer z wygaszonym monitorem. Nagrany dawno temu głos Agaty informował mnie o nadejściu maila. Zawsze lubiłem ton

jej głosu i dlatego sobie zostawiłem to nagranie także w tych czasach, kiedy od dawna już na mnie nie czekała... Miło było choć posłuchać, wyobrażałem sobie, że to ona siedzi przy komputerze i zawiadamia mnie o nowej poczcie... Wszyscy w popłochu cofnęli się do drzwi wejściowych. I wtedy naprawdę się przestraszyłem.

Z pokoju córki z hurkotem wytoczyła się połyskująca w świetle latarki kula, zmierzając wprost na stłoczonych w drzwiach Arabów. Zaczęli krzyczeć, Aneta dostała spazmów i objęła mnie z całej siły za szyję. Straciłem równowagę i żeby się nie przewrócić, cofnąłem się dwa kroki do ściany. Oparliśmy się o kontakt. Światło zalało całą kuchnię. Aneta miała piękne i ładnie umalowane oczy, trochę za duże teraz, może to okulary tak robiły. Wszyscy byli wpatrzeni w plastikową kulę z Alicją, która odbiła się od nogi szefa terrorystów i potoczyła się w kierunku przestraszonej kobiety.

- To chomik... – powiedziała Aneta słabym głosem.

Ktoś zaśmiał się gardłowo. Niski i ciemny podniósł pistolet, celując w Alicję.

- W chomika będziesz strzelał? Syryjskiego w dodatku? – padło pytanie.

Ten z pistoletem opuścił broń i popatrzył na mnie. Ja tego nie powiedziałem, zresztą nie wiedziałem, że Alicja jest syryjska. Nie to, żeby nie zrobiło to wrażenia na terrorystach. Arabska solidarność dała o sobie znać.

Grupka osiłków w panterkach wepchnęła stojących w drzwiach bandytów z powrotem do kuchni. Aneta wciąż mocno mnie obejmowała, więc nieco niezręcznie cofnąłem się wraz z nią w głąb mieszkania, bo przy wejściu zrobiło się trochę tłoczno. Ten z pistoletem dostał po łapach, broń wypadła na podłogę, dźwięk zatraskiwanych kajdanek zabrzmiał jak wystrzał, Aneta przymknęła oczy. Szef terrorystów pchnął najbliższego z policjantów, drugi z Arabów błyskawicznie wyjął pojemnik ze sprajem i skierował na trzymających go rosłych mężczyzn. Wszyscy zaczęli kichać i kaszleć, zakotłowało się w progu, po chwili usłyszeliśmy dźwięk uruchamianego silnika. Antyterrorysty, z trudem opanowując skutki działania gazu pieprzowego, wybiegli za nimi, szamocząc się ze skutym bandytą.

- Potem porozmawiamy! Proszę nigdzie nie wychodzić! – rzucił od drzwi pułkownik z Agencji Bezpieczeństwa, którego przedtem nie zauważyłem. Przypomniałem sobie, że nie lubił, kiedy mówiono, że jest z UOP-u. Moim zdaniem Agencja brzmiała jeszcze gorzej. Zawarczał drugi silnik, musieli zaparkować trochę dalej, żeby nie zwracać uwagi. Staliśmy objęci ciasno w jasnym świetle kuchni, była noc i jakoś musieliśmy ten problem rozwiązać. Powiedzieć sobie coś, czy jak? Pomyślałem, że tylko tego by teraz brakowało, żeby mnie żona zobaczyła z Anetą płaczącą mi w objęciach. Jej łzy płynęły mi po szyi. Przytuliła się mocniej i ledwo usłyszałem, co mówi. Pomyślałem, że jak to wszystko się skończy, będę musiał pójść do laryngologa.

- Wierzysz mi?

Zawsze na takie pytanie odpowiadałem, że kwestia wiary jest zagwarantowaną konstytucyjnie swobodą obywatelską, ale po pierwsze od dawna to nie jest prawda, a po drugie okoliczności były raczej nietypowe.

- Wierzę... – powiedziałem, choć nie było specjalnie wiadomo, w co. Chyba ogólnie, kwestie zaufania, te rzeczy. Wierzyć wierzyłem, ale już nie wyobrażałem sobie wkładającego wygodne kapcie po mężu w miłym domku na wzgórzu.

- Zmusili mnie... Ja naprawdę do wczoraj myślałam, że to tylko interesy i tymczasowa przysługa dla rodziny męża...

Ktoś zastukał do drzwi. Odsunęliśmy się od siebie. Bezszelestnie wsunął się do kuchni leśniczy Majewski.

- Ja bardzo przepraszam. Czy tego kielicha to ja mógłbym jeszcze dostać? Strasznie zmarzłem...

Aneta wyszła do łazienki. Nalałem Szymonowi pół szklanki, sam gołnąłem z drugiej. Siedliśmy przy stole. Chłodno było, ogień wygasł.

- Pan cały czas na służbie? Przyszedł?

- Nie. Ale ja wszystko widziałem. I jak pana wywozili, to nic nie mogłem poradzić, nawet dubeltówkę służbową zostawiłem w domu... No to tylko pobiegłem do sołtysa, a on ściągnął UOP. No, znaczy się tę Agencję Towarzystwa Bezpieczeństwa. Numer pani taksówki zapamiętałem... Podłyszałem, że pana odwożą, więc czekali... Nie gniewa się pan, że sobie nie poszłem?

Nalałem następnego.

- Ogromnie panu dziękuję, pewno uratował mi pan życie. No to na drugą nóżkę!

Aneta wyszła z łazienki, nalałem jej też. Broniła się krótko, wreszcie stwierdziła:

- Pewno już nie będę dziś prowadzić, bo trochę jakby nie mam czego, corseę mi ukradli...

Majewski przyglądał się jej uważnie, nie uważałem za stosowne jej przedstawiać, bo jeszcze nie wiedziałem, kim w moim życiu będzie. Golnaliśmy równo, Szymon otarł usta, strząsnął kropelkę wódki na ziemię dla dobrych duchów.

- To ja już pójdę, trzeba się przespać. Jutro rano do pracy idę. A panią to pamiętam. Na weselu pani grałem. Bo ja mam dobrą pamięć, choć wesel wiele obsłużyłem. Na gitarze, pani nie pamięta, co? Trudno. A mąż wyjechał, prawda? Słyszałem, Mietek mówił, Fabisiak znaczy. I nie wraca, bo ma nową rodzinę, tak? Niech pani nie żałuje, to taka sprawa... No, to ja już pójdę. Życzę państwu dobrej nocy.

Wstał, potknął się o kulę z chomikiem, z trudem go podtrzymałem. Był bardzo zmęczony. Wziąłem Alicję do ręki. W kuli, żeby mnie nie ugryzła. Też dziś swoje przeszła i może nawet o tym nie wiedząc otarła się o śmierć. Miała prawo być zestresowana.

- Ja już nie wrócę, państwo się nie boją. Jeszcze raz życzę dobrej nocy.

Skinął Anecie głową, ona uśmiechnęła się do mnie, wyszedł. Poszliśmy do pokoju, wsadziłem chomiczkę do klatki, tylko się napiła i zniknęła w domku. Zacząłem rozpalać w kominku, nie chciałem się zająć nawet papier, w końcu chwyciło. Aneta przykucnęła koło mnie, dorzuciła polano do ognia.

- Zostaniesz... – bardziej stwierdziłem niż spytałem.

- A mogę? Bo tak naprawdę to nie mam jak wracać...

Objąłem ją mocno i z rozmachu siedliśmy na podłodze. Z komputera znów odezwała się Agata.

- Ona cię podgląda, czy jak? – spytała Aneta – Jak to działa? Czy ja

mogłabym mieć to samo z twoim głosem?

Wyjaśniłem, że to jest zawiadomienie o poczcie. Wyszła do kuchni zrobić herbatę. Była uosobieniem taktu.

Podszedłem do komputera i poruszyłem myszką. Miałem mnóstwo wiadomości. Otworzyłem pocztę. Siedem listów było kopiami tekstów wysłanych w imieniu terrorystów. Na mój apel o pomoc odpowiedziały trzy osoby. Moja córka pisała:

- Ja też potrzebuję pomocy. Możesz mi jutro zostawić 50 złotych? I jak się nauczyć Gay-Lussaca o przemianie izobarycznej i izochorycznej?

Szybko odpisałem:

- Będę jutro w firmie mamy, poszukaj mnie. Prawo Gaya-Lussaca wykuj. U mnie wszystko w porządku...

Niech się nie martwi, że tatusiowi coś się stało. A może prawdziwe niebezpieczeństwo dopiero przyjdzie?

*- Nikt ci nie pomoże, jeśli ty sobie sam nie pomożesz. Przemyśl swoje życie – pisało do mnie Stowarzyszenie Polskich Rodzin Wielodzietnych. Robiłem im kiedyś stronę internetową i przez pomyłkę zostawiłem w książce adresowej - *Zacznij od zaraz. Dzieci to nasze bogactwo. Dlaczego nie mieć większego bogactwa?**

Aneta wniosła herbatę. Zastanowiłem się nad sugestią Stowarzyszenia. Chyba jednak byłem za stary. Ale dzieci odezwały się wszystkie na mój apel.

*- „Kłopoty to moja specjalność” – pisał mój syn – *kupiłem ostatnio świetną biografię Chandlera, naprawdę powinieneś to przeczytać, doskonale napisana. A poza tym co słychać?**

Reszta adresatów nie odezwała się w ogóle.

Siedliśmy na wersalce. Jakoś tak nie chciało się nam spać.

- Powiedz, o co tu chodzi? – spytałem.

Aneta podciągnęła nogi pod siebie i przykryła się kocem. Dorzuciłem do kominka.

- Coś budowali tu niedaleko, mówili, że w gazie pracują, myślałam, że to Rosjanie, bo teść z bratem robili jakieś interesy pod wschodnią granicą. Z tą

trumną to był taki makabryczny dowcip, jak ktoś u mnie był dłużej, to ją wynosili, a tak naprawdę to tam mieli narzędzia. Z tego co mi ten brat teścia powiedział, to jest to dość specjalistyczny sprzęt, którym się posługują, nie koniecznie legalnie przywieziony do Polski, no i tak się z tym ukrywali. Trumnę kupił kiedyś teść, jak się poprzednio wybierał umierać, jakieś pięć lat temu, bo nie dowierzał żonie, że go w ogóle pochowa. Płacili mi za wynajmowanie, bo ja tam na górze mam trzy pokoiki, dla tej agroturystyki, pamiętasz, przynajmniej nie byłam sama, to uważałam, że jestem bezpieczniejsza. Śmieszne - bezpieczniejsza, pod opieką grupy terrorystycznej!

- To jednak mieli rację ci w Sejmie, jak o was mówili, o kontaktach z talibami?

- Jacy to tam talibowie! Mafia i tyle. Widziałeś taliba w džinsach?

Widzieć - widziałem, ale tylko w telewizji. Wszyscy ci, którzy porywali amerykańskie samoloty byli w džinsach. Akurat by im pozwolili się porwać, jakby tam wchodzili w dżelabach i turbanach! Poza tym skopiowane przede mnie listy były dość jednoznaczne. Ale nie prostowałem, bo to się nigdy nie opłaca...

Przytuliłem ją mocniej, podniosła na mnie oczy, w kominku strzeliło polano i na środek pokoju wyskoczyła iskra. Podbiegłem, żeby ją zgasić i w tym momencie do mieszkania weszła Ania. Fatalny był ten wiejski zwyczaj nie zamykania drzwi i wchodzenia bez pukania. Za wysokim sądem weszło dwóch umundurowanych policjantów.

- Potraktowałam cię serio. Miałeś się odezwać i nie odezwałeś się. Za to dostałam alarmującego maila. Znajomy radiowóz mnie eskortował, bo podobno tu w waszej wsi jakaś strzelanina była czy coś... - przerwała, widząc Anetę. Przykryta kocem, zapatrzona w ogień, wyglądała na bardzo zdomowioną - Ale widzę, że sprawy idą w dobrym kierunku, za każdym razem jak tu jestem masz innych gości...

Policjanci rozglądali się po domu. Jeden schylił się i podniósł z podłogi pojemnik z gazem pieprzowym.

- Psy pana napadły? Tym się pan bronił?

Faktycznie, na pojemniku widniał wizerunek wyszczerzonego rottweilera.

- No, psy, można tak powiedzieć... Tylko, że to one tym gazem atakowały.

- Bandziory jakieś, znaczy się? I przez Internet pan wzywał pomocy? A telefon nie działał?

Za dużo było tłumaczyć, w dodatku jeszcze nie wiedziałem, jaką naprawdę rolę odegrała Aneta w tamtej historii i jaką odegra w tej, co jak się wydawało, właśnie się zaczynała.

- Leśniczy tutejszy mi pomógł, widział ich i ściągnął ludzi. Z UOP-u. Znaczy się teraz, z ABW...

Policjanci poprawili czapki.

- A, jak z UOP-u to jakaś grubsza sprawa. To nas tu w ogóle nie było.

- Już pan nie potrzebuje pomocy? - zapytał znajomy kapral i zabrzmiało to dość dwuznacznie, bo patrzył przy tym i na Anetę i na Anię. Zastanowiłem się, co mam odpowiedzieć. Ania odpowiedziała za mnie.

- Cieszę się, że wszystko w porządku. O naszej sprawie porozmawiamy jutro, późno jest, muszę wracać do domu. Panowie mnie będą eskortowali?

Kapral kiwnął głową, od drzwi jeszcze się odwrócił:

- Ale spokojnie nie jest, to może się państwo zamkną na zamek. Jak jechaliśmy, minęliśmy pościg z kogutem jadący za niebieską corsą. To oni, co?

Ania popatrzyła uważnie na mnie.

- Czy wszystko jest w porządku? - nie wyglądała na zazdrosną, raczej nie wiedziała co o tym wszystkim myśleć. Widziałem w jej oczach niepewność, jak potraktować teraz moją sprawę. Chciała mi pomóc, ale nie wiedziała jak. Aneta wstała z wersalki.

- A może panowie by mnie podrzucili do domu? Mieszkam w sąsiedniej wsi, moim autem uciekli ci bandyci, trochę się boję tam sama wracać...

- Zostań! - powiedziałem ostro, bo wydawało mi się, że to już zaczyna być teatr i skrajna głupota - Nigdzie nie pojedziesz. Nie będę się jeszcze o ciebie martwił. Tam nie jest bezpiecznie, nie wiadomo, czy ich złapali, dopiero się okaże, zresztą pułkownik powiedział, żeby tu na niego czekać...

- Zadzwoń jutro z pracy - powiedziała Ania i wyszła pierwsza, za nią policjanci. Zamknąłem drzwi. Kolację jedliśmy w milczeniu i jakoś tak ciężko się

zrobiło, bo nie były to najlepsze okoliczności na podejmowanie życiowych decyzji.

- Żałuję, że ci od razu nie powiedziałam tego co wiedziałam, jak byłeś u mnie - powiedziała Aneta, ogrzewając ręce nad kubkiem z herbatą - Teraz masz prawo myśleć, że cię chciałam oszukać, albo że byłam z nimi w zмовie. Powinnam przyjechać do ciebie zanim cię namierzyli, zaraz po tym, jak Fabisiaka zatrzymali.

- Kogo? - wydawało mi się, że się przesłyszałem.

- Fabisiaka, brata mojego teścia. Ja Fabisiak po mężu jestem, nie wiedziałeś? A twój gajowy grał mi na weselu, bo ono tutaj było, prawie koło ciebie. Ale się dziwnie plecie, prawda?

No, dziwnie się plotło, nie powiem. Nie mogłem od niej oderwać oczu - zarumieniona, z ciemnym kosmykiem włosów opadającym na policzek, elegancko ubrana, sprzątała ze stołu. Pasowała jak nie wiem.

Ale nie przyspieszałem niczego, ani jej, ani samego siebie, bo wiedziałem, że to wszystko jeszcze nie jest takie proste. Dzwonek do drzwi wcale mnie nie zdziwił. Dochodziła północ.

Kliknąłem myszką i na ekranie komputera pokazał się obraz sprzed drzwi, pokazywany przez niewidoczną dla niewprawnego oka kamerkę internetową. Pułkownik z ABW-u, który teraz nazywał się inaczej, był sam - reszta załogi widać czekała w samochodzie. Otworzyłem drzwi.

- Nie powinien pan tak bez pytania otwierać - zganił mnie - A jakby to bandyci wrócili?

- Jakby bandyci wrócili, to by nie dzwoniли, tylko odstrzeliliby zamek, albo wyważyli drzwi. A poza tym miałem pana na podglądzie w kamerze...

- Sprytne... - wszedł do środka i skinął głową Anecie - ma tu pani kluczyki od corsy. Ma niewielką stłuczkę, musieliśmy im zajechać drogę. Szkoda nie będzie duża. Ale nasz samochód ma przestrzeloną szybę, a ja muszę sobie sprawić nowego kierowcę, bo tamten ma z kolei przestrzeloną rękę i leży w szpitalu. Żołnierze Proroka siedzą w kiciu, a pani nam będzie musiała wszystko wyjaśnić...

- Kiedy? - spytała Aneta, a żal w jej głosie kazał mi spojrzeć na sprawę pod zupełnie nowym kątem.

Pułkownik usłyszał to samo co ja.

- W zasadzie natychmiast. Ale - popatrzył na klatkę z chomikiem, w której Alicja właśnie wyszła na siusiu - ja też już jestem zmęczony. Jeśli pan inżynier - uparli się z tym inżynierem, magister było im za mało, czy co? - przypilnuje, żeby mi pani nie uciekła do rana, to przyjedziemy po was koło ósmej. Dobrze tak będzie?

- Dobrze - powiedziałem.

- Na pewno nie ucieknę - powiedziała Aneta w tym samym czasie.

- A nie musi pani jechać do domu? Ja osobiście bym nie radził...

Aneta pokręciła głową...

- Powinam, teściowie będą się niepokoić, oni przecież nic nie wiedzą, w niczym złym na pewno nie brali udziału... Ale się boję. I nie chcę.

Teraz on pokręcił głową.

- Trzeba było wcześniej zadzwonić. Ale teraz proszę tego nie robić. Jest tam nasz pracownik, odbiera wszystkie telefony. Po co ma panią jeszcze niepokoić?

Wstał.

- Spokojnej nocy życzę.

Nigdy nie przypuszczałem, że pułkownik z UOP-u może być taki dowcipny. Leśniczy życzył nam dobrej nocy. Też sobie tego życzyłem. Zamknąłem bramę, przekręciłem klucz w zamku i zostawiłem w drzwiach. Aneta siedziała przed kominkiem w mojej grubej flanelowej koszuli, resztę ubrania rzuciła niezbyt starannie na fotel. Przed nią stały dwa kieliszki wina. Podała mi jeden. Szybko się zorientowała gdzie co jest w domu.

- Co mam zrobić, żebyś mi wybaczył i uwierzył? - patrzyła na mnie wyczekująco. Jej oczy błyszczały w świetle kominka, włosy trochę nieporządnie opadały na twarz, zdjęła okulary i odłożyła je starannie na fotel z ubraniami.

Zgasiłem światło w kuchni, wyłączyłem komputer, jakoś tak nie chciałem słuchać informacji Agaty o mailach. Wyłączyłem komórkę.

- Coś musimy wymyślić - powiedziałem.

- Chyba tak... - wstała.

Wymyśliliśmy. To nie było nawet specjalnie trudne.

*

Przed kursem emeryckim wpadłem do firmy mojej żony, żeby zostawić córce 50 złotych, na wszelki wypadek u sekretarki. Renatka położyła palec na ustach i wskazała na drzwi gabinetu, po czym wyprowadziła mnie na korytarz. Byłem trochę śpiący, wymęczony i niezbyt wesoły - rano zawieźli nas do prokuratury i po dwóch godzinach wyszedłem z niej sam. Wyglądało na to, że sprawa z talibami jest nieco bardziej skomplikowana, niż mi się wydawało i nie daje się wyłącznie obrócić w żart. Anetę zatrzymali.

Renatka szeptem opowiedziała mi, że sytuacja firmy jest katastrofalna i żona zamierza zaproponować mi jej przejęcie. Dokładniej chodziłoby o formalne przekazanie mi części wydzielonej z przedsiębiorstwa, żeby zmniejszyć jego wartość przed ewentualnych zajęciem przez wierzycieli. I lepiej, żebym się zgodził, bo inaczej wszyscy będą z firmy chcieli odejść, no i będzie po zabawie.

- Skończyliście rozmawiać? - żona wyszła na korytarz - to może pani wróci do pracy, a ty wejdź do mnie.

Odwróciła się i weszła do gabinetu. Stałem w progu i spojrzałem na zegarek.

- W zasadzie przyniosłem zostawić tylko coś dla córki. Mam robotę.

- Jak to? kurs się skończył, więc co masz tu do roboty?

Wzruszyłem ramionami.

- Tu nic. Toteż właśnie wychodzę tam, gdzie mam robotę.

- Wejdź na chwilę.

Wszedłem. Zamknęła drzwi. Usłyszałem w zasadzie to samo, o czym mnie uprzedziła Renata, ale zupełnie inaczej - przejęcie działu szkolenia miało być wielką łaską robioną mi na próbę. Jeśli się nie będę grzecznie zachowywał, to mi zabawkę odbiorą.

- To w zasadzie nie jest mój pomysł - usprawiedliwiała się - ale słyszałam, że masz kłopoty, brak ci stałego zatrudnienia, jesteś samotny, no i nie czujesz się najlepiej, więc pewno dobrze by było, gdybyś zarejestrował działalność usługową

i miał ubezpieczenie. Z tym, że będziesz musiał przejąć większość pracowników, bez prawa do używania nazwy firmy.

W nazwie firmy było nasze nazwisko, poprzedzone słowem firma. W zasadzie, było to moje nazwisko. Tak więc nie było o co się targować: słowo „firma” może sobie zatrzymać...

Miałem jeszcze pół godziny do zajęć, na dojście musiałem liczyć dziesięć minut, więc w zasadzie mogłem jeszcze ponegocjować.

- Dobrze - powiedziałem - jak sobie życzysz. Przygotujcie odpowiednie dokumenty, jak wszystko będzie gotowe to podpiszę.

Wstałem, ukloniłem się i wyszedłem. Sekretarka, która podsłuchiwała pod drzwiami, ledwo zdążyła się odsunąć, ale popatrzyła na mnie z miną, która gwarantowała tajemnicę - nie zrozumiała niczego. Żona nie wiedziała, czy się obrazi teraz, czy dopiero potem. Najgorsze, co mogło ją spotkać to to, że zgodzę się na jej warunki. I że nie będę sam przy tym niczego robił.

Emeryci czekali grzecznie pod drzwiami. Było ich coraz więcej - ostatnio już po dwóch przy jednym komputerze. Dobierali się według zainteresowań internetowych. Tylko kilku zapamiętałych „czatowników” musiało siedzieć w pojedynkę przy klawiaturze - pozostali surfowali w grupach.

- Czy możemy sprawdzić pocztę?

Skinąłem głową. Na razie spotykali się na kursie, własne komputery miały tylko dwie osoby, niekiedy korzystali ze sprzętu dzieci czy wnuków. Zajęcia kończyliśmy w następnym tygodniu, ale dyrektor MOK-u obiecał, że zorganizuje przy bibliotece kawiarenkę internetową. Dwa razy w tygodniu miały mieć do niej wstęp tylko osoby po pięćdziesiątce. Za okazaniem dowodu osobistego.

- Co się panu stało?

Obejrzałem się. Podeszła do mnie babcia Weronika, ta której wnuk nie pozwalał nawet sprzątać koło maszyny. Teraz posługiwała się komputerem całkiem sprawnie, właśnie odczytała swoją pocztę i znalazła mój *Mayday*. Wytłumaczyłem, że to tylko próba sprawdzenia wrażliwości społecznej. Pokręciła głową.

- Nie powinien pan tak robić... Pamięta pan bajkę o chłopcu, który oszukiwał

mieszkańców wsi, że napadł na niego wilk? I potem, kiedy wilk naprawdę na niego napadł, to nikt na wołanie nie zareagował?

- Ale mnie naprawdę napadł wilk. Zaraz po tym, jak napisałem ten list. Tylko interwencja brygady antyterrorystycznej uratowała mnie przed - no, czymś nieodwracalnym.

Babcia popatrzyła na mnie uważnie:

- Czyli już na pewno wszystko dobrze? Bo gdyby pan potrzebował pomocy, to może mogłabym coś zaradzić... Mam czarny pas karate... A moja córka jest instruktorem...

Podziękowałem, ale na wszelki wypadek zapisałem telefon. Do córki.

W kolejce ustawił się jeden z tych rencistów, którzy mieli komputer. Siedliśmy przy wolnym stoliku.

- Mam kłopoty w domu. Nie bardzo mogę korzystać z komputera. Nie wie pan, kiedy będzie ta emerycka kawiarenka internetowa?

Nie wiedziałem. Postanowił się podzielić kłopotami.

- Wie pan, ja już mam swoje lata... Komputer kupiliśmy jak dostałem odprawę przy likwidacji firmy. Bo ja na rencie byłem, ale pracowałem na pół etatu. No i jak Zakłady likwidowali, to się załapałem na zwolnienie grupowe. Dużo wtedy mówili o przekwalifikowywaniu się, o komputerach, no to kupiłem. A ostatnio jak można było założyć stałe łącze, to założyłem. Myślałem o encyklopediach, o krzyżówkach, no po wie pan, takie hobby mam...

Przypomniałem sobie. Zawsze zaczynał surfowanie po sieci od encyklopedii krzyżówkowicza. Miał w zeszycie napisane diagramy i sprawdzał słowa.

- I po paru tygodniach się okazało, że moje wyjście do pokoju z komputerem działa na żonę jak płachta na byka. Ona pewno myśli, że ją tam zdradzam przez to stałe łącze. Mam, pewno, kilka regularnych korespondentów, fakt że w większości to kobiety... Ale przecież rozmawiam z nimi o krzyżówkach, o książkach, a nie o ich cyckach.... Już pomijam to, że one mają zwykle tyle lat co ja...

Spojrzałem na niego. Dawno już nie widziałem tak uczciwego człowieka. Anonimowość Internetu skłaniała wielu emerytów do przedstawiania się jako

trzydziestoletnich biznesmenów szukających asystentki, a 14-letnie panny do oferowania swoich - powiedzmy - asystenckich usług z pułapu lat 25.

- Niech pan spróbuje załapać się na taką pracę internetową - podpowiedziałem - co chwilę pewno dostaje pan ofertę, że za wchodzenie na jakąś stronę czy przepisanie maila sto razy zapłacą po 10 groszy, albo lepiej 10 centów za każdy. Pan wydrukuje tę ofertę maila i poradzi się żony, czy przyjąć. Wiadomo, że to oszustwo i tylko nakręca koniunkturę sieciową, ale to dla nas wiadomo. Ona na pewno sama pana potem będzie wyganiała do komputera.

Oczy mu rozbłysły, potem przygasły. Machnął ręką.

- Dobre, ale na krótko. Do pierwszej wypłaty emerytury. Zawsze sprawdza, ile dostaję. Jak zobaczy, że to lipa, to będzie jeszcze gorzej.

- Pan sobie założy konto i niech tam emerytura przychodzi. Najlepiej w banku internetowym...

Obiecał, że przemyśli. Nie byłem do końca uczciwy. Nie tylko sam nie umiałem sobie z podobnym problemem poradzić, ale nie znałem nikogo, kto by sobie poradził. Bo problem nie był z gatunku internetowych, tylko psychicznych. Kobiety nie były zazdrosne o sieciowe kochanki, tylko o czas, jakiego się im nie poświęcało. Ale przecież nie od wszystkich kobiet i nie zawsze odchodziło się do komputera...

O babci z czarnym pasem karate często myślałem tego samego dnia po południu. Wróciłem dość wcześnie i idąc od autobusu zauważyłem, że koło pola Fabisiaka jest więcej ludzi niż zwykle. Było kilkoro znajomych, ale nikt mi się nie uklonił. Ukloniłem się ja, ale nikt mi nie odpowiedział. Podeszedłem do biało-czerwonych taśm, którymi policja odgrodziła pole - rozstąpili się, tworząc korytarz, jakby nie chcieli mnie nawet przez chwilę dotknąć. Na polu nic się nie działo, więc poszedłem do domu. Odprowadzali mnie wzrokiem, ale nikt nie powiedział ani słowa. Było złowroźnie cicho i nieprzyjemnie. Pomyślałem, że może zbliża się bryza od jezior, przed którą zawsze pogarszały się nastroje i wzrastała nerwowość.

Kiedy tylko napaliłem w piecu, przypomniało mi się, że mam iść na urodziny Agnieszki. Głupio mi było jej coś poważniejszego kupować, więc tradycyjnie i

po miejsku poszedłem z czekoladkami. Ada, matka Agnieszki, przedstawiła mnie jako honorowego gościa, ale reszta towarzystwa patrzyła na mnie dość kosym okiem. Byłem jedynym obcym. Goście wypili już przedtem kilka głębszych, młodzież tańczyła w piwnicy, 20-letniej dostojnej jubilatki nie było widać, siadłem za stołem z cieniutką herbatką i odmówiłem picia wódki. Był sołtys, sąsiad z lewej i sąsiad z prawej, policjant, kilka osób, które mało znałem, a nawet jeden kuzyn z Krakowa, który wyglądał na kolegę moich wczorajszych gości - ciemny, krótko ostrzyżony, odzywał się mało i dziwnym językiem. Poczułem się nieswojo. Mama Agnieszki posadziła mnie koło siebie i uparcie namawiała do wypicia, tytułując inżynierem. Podziękowałem. Spodziewałem się, że będę musiał dziś być trzeźwy.

Sołtys popatrzył na mnie przez stół, chrząknął i powiedział:

- Ja bym chciał wypić za zdrowie wszystkich tych, co nam dobrze życzą. I ci, co nam dobrze życzą, to wypiją nasze zdrowie.

Nalałem sobie coca-coli i podniosłem szklaneczkę.

- A pan sąsiad to co, chory? - spytał sąsiad z prawej.

- Nie namawiaj pana sąsiada, może on nam dobrze nie życzy - powiedział sąsiad z lewej.

Mama Agnieszki pochyliła się do mnie.

- Uważaj. Za chwilę Agnieszka cię poprosi, to z nią wyjdź. Wytrzymaj bez awantury jeszcze parę minut.

Wypiłem colę.

- Jadę jeszcze dzisiaj samochodem. Muszę być trzeźwy.

Policjant pokręcił głową.

- Ta pani od corsy to dzisiaj do pana raczej nie przyjedzie. Ani pani sędzia. Ani pana żona. Może pan wypić. Ja pozwalam.

Mama Agnieszki podniosła się zza stołu.

- Kawę wstawię. A może ktoś herbatę?

Sołtys przysiadł się do mnie.

- Niech pan uważa. Różne rzeczy się teraz we wsi dzieją. Ludzie znikają. Stwory chodzą po podwórkach. Duchy. Ja wczoraj widziałem pierwszą żonę

Fabisiaka, która nie żyje od dziesięciu lat. Poznałem ją, bo kiedyś dobrze się znaliśmy, świeć panie... Ludzie mówią, że to koniec świata będzie. A zaczęło się to na początku zimy. Niedługo potem, jak pana żona, no wie pan... I jak pan tu nastał. Na stałe nastał, znaczy się - zaplątał się, wypił, przekąsił sięgając przez stół po ogóreczka.

- A ja Fabisiaka wczoraj widziałem - przelicytowałem. - Znaczy się przedwczoraj. Z trumną.

- W trumnie?

- Obok. Niósł ją. Ale bez nieboszczyka. Z talibami. Tacy Arabowie wredni. Chcą wszystkich pozabijać. Głównie Amerykanów.

Sołtys odsunął się lekko i rozejrzał niepewnie po pokoju. Chyba go przestraszyłem. Miał rodzinę w Ameryce. Część osób popijała w mniejszych grupach, część przysłuchiwała się naszej rozmowie. Nikt się nie uśmiechnął. Sąsiad z lewej podjął licytację.

- U Wiesia w sklepie piwo się pojawiło. Nie było, a potem było. Wiesiu nie miał zaksięgowane, to rozdawał. „Sakramenckie” się nazywało. Wypili wszyscy. Niektóry do domu brali po pięć, sześć. Dobre i mocne. I ciągle były pełne dwie skrzynki. Póki wszyscy się nie napili. Wtedy już nie przybywało. Wszyscy, oprócz pana...

Policjant patrzył na mnie z niechęcią.

- Tu się takie rzeczy dzieją, że policja nie wie co robić. I koło pana to się kręci. To w zasadzie tajemnica, ale sporo pan już powiedział... Fabisiak siedzi. Przez pana siedzi. To pana śledzili i tak trafili na Mietka. No i na całą tę Organizację, którą potem u pana przyaresztowali. Dzięki panu, w zasadzie.

- To dzięki mnie, czy przeze mnie?

Policjant nie tracił cierpliwości. Ludzie przycichli, wszyscy słuchali. Nikt mnie nie lubił. Policjant tłumaczył.

- Pan z miasta, to nic nie rozumie. Przez pana siedzi Mietek, a on jest z naszej wsi, to nie powinien siedzieć. Tamci siedzą dzięki panu i dobrze, bo na pana napadli, a pan był wtedy z naszej wsi. Ale jest jeszcze sprawa tamtej kobiety od pana.

Sołtys nalał następny kieliszek, wypił, strząsnął, nalał i podał policjantowi.

- Wypijcie, Włodzimierzu. Za to, żeby nasze dzieci miały bogatych rodziców. Dobrze mówisz. Jest jeszcze sprawa tej kobiety.

Kobiety za stołem poruszyły się, Teresa ze sklepu energicznie kiwnęła głową.

- Jest sprawa tych kobiet, które tu przyjeżdżają. One tak same z siebie nie przyjeżdżają, bo niby do kogo! To nie jest normalne i to nie są kobiety, moim zdaniem. To wszystko czarownice, tak sobie myślę. U mnie chłop teraz wyprowadził się spać do kuchni. Nie o to, że ode mnie. Ale chłop w kuchni, to obraza boska! Od razu kury nieść się przestały...

Tumult się zrobił okropny. Okazało się, że w ciągu ostatnich miesięcy na moją wieś spadły same nieszczęścia. Krowy dają mleko zbyt tłuste, więc trzeba do niego dolewać więcej wody, a za wodę się płaci. W kościele na ścianach pojawił się grzyb, ksiądz zrobił remont, na który wszyscy się składali, z wyjątkiem mnie oczywiście, po remoncie grzyb jest jeszcze większy, bo robotnicy nie zrobili wentylacji. Maliniakowi kanalizację wybiło i od pół roku spływa wszystko do rzeki, a naprawić nie ma jak, bo Maliniak powiedział, że w tych smrodach się nie będzie grzebał i wyjechał do Niemiec, zostawiając żonę z dwojgiem dzieci i z ojcem tych dzieci. W sklepie zalęgły się myszy i nie da się ich wytruć, Tereska kiedyś natomiast sprzedała Walusiowi zatrutą kiełbasę i nawet jego nie ruszyło, więc myszy czują się jeszcze lepiej niż przed truciem. W dodatku te kręgi zbożowe u Fabisiaka, co to je podobno te ruskie Arabcy robią mogą się przenieść na sąsiednie pola i wtedy głód zajrzy wszystkim mieszkańcom w oczy. I żeby kobiety prowadziły samochód, wieczorem same jeździły po wsi i do domu samotnego żonatego mężczyzny przychodziły...

- I mysz ma taką zaczarowaną, do której mówi i którą potem całuje, i ona w dziewczynę się zamienia, gotuje mu, no i to, wiecie... I wszystko to się porobiło od tego UFA - dorzuciła kierowniczką wiejskiej biblioteki.

Pomyślałem o Alicji. No, rzeczywiście, gdyby jeszcze gotować umiała i nie gryzła mnie odruchowo, bez żadnego cieplejszego uczucia... Nie czułem się winny, a w dodatku mogłem dorzucić jeszcze kilka nieszczęść, które na mnie

samego spadły w ciągu ostatnich miesięcy i winnego też można by było poszukać gdzieś indziej... Niestety, wiedziałem, że żadne ufoludki i żadni czarownicy ani mi nie zaszkadzili ani mi nie pomogą. Zaszkoziłem sobie sam i sam mogę sobie pomóc.

Tyle, że jakoś nie wiedziałem jak.

Biesiadnicy przerzucali się oskarżeniami, jednak nie umiałem wczuć się w miłą i serdeczną atmosferę wiejskiego przyjęcia urodzinowego. W gruncie rzeczy im gorąco współczułem, sam podpowiedziałem dwie czy trzy sprawy, które były nie do wytłumaczenia na chłopski, a nawet na babski rozum. Dyskusja stawała się coraz gorętsza, ale wódki w butelkach prawie nie ubywało, jakby ograniczali się, bo mieli jeszcze gdzieś jechać. Dyskutowano niby o mnie i moim fatalnym wpływie na sprawy wsi, ale beze mnie, jakby mnie tam nie było. Patrzyli przeze mnie, jakbym był powietrzem, nie było to miłe, ale wolałem już to, jak formułowane wprost zarzuty. Nigdy nie umiałem specjalnie dogadać się na wsi, odkąd zaprzyjaźniony stolarz zrobił mi trzy półki po 50 złotych, za które zapłaciłem złotych 400. Tłumaczył mi potem, że nie zrozumiałem miejscowej gwary. Tak więc dyskutowali niejako ponad moją głowę, ale naprawdę nieprzyjemnie zrobiło się wtedy, kiedy sąsiad z mojej lewej - który w rzeczywistości był sąsiadem z domu z prawej - poprosił sąsiada z mojej prawej - który w rzeczywistości był sąsiadem z domu naprzeciwko - o szklankę do piwa. I sąsiad z mojej prawej podał mi ją wprost. Przeze mnie. Jakby mnie tam nie było. Jakbym nie istniał. Widziałem, jak ręka sąsiada, trzymająca szklankę przenika przez moją klatkę piersiową i wychodzi z drugiej strony. Miał brudne paznokcie i bałem się, że mnie zainfekuje. Słyszałem, oczywiście, o filipińskich operacjach, dokonywanych bez użycia narzędzi chirurgicznych i bez krwi, ale akurat od Filipin byliśmy dość kawałek, a ja zresztą nie czułem się specjalnie chory. Te jakieś dolegliwości kręgosłupowe można było w sumie opuścić... W każdym razie poczułem się totalnie zlekceważony - podawać szklankę z pominięciem mojego ciała? Na szczęście otworzyły się drzwi i weszła jubilatka.

Jak na 20 lat, wyglądała dosyć młodo. Jak na moje możliwości, wyglądała zdecydowanie za młodo. Chyba też powinna była trochę bardziej się ubrać,

zwłaszcza wobec tematu rozmowy. Miała proste, czarne włosy, przewiązane czerwoną przepaską, czarny T-shirt i obcisłe spodnie. T-shirt kończył się daleko przed miejscem, gdzie się zaczynały spodnie.

- Może mi pan pomóc? - spytała. Wstałem i wyszedłem za nią. Z nikim się specjalnie nie żegnałem. Nikt z tego powodu nie rozpaczał. Nikt też nie powiedział ani słowa, choć cisza w rozmowie zapadła znacząca. „Jednak coś dla nich znaczę” - ucieszyłem się nierozsądnie. Ale człowiek jest próżny i nie lubi jak go nie zauważają.

Wyjechałem z garażu kilkuletnią tigrą o mało nie rozwalając całego domu, bo nie pamiętałem, że tam biegi są odwrotnie. Pojechaliśmy na koniec wsi, gdzie był plac manewrowy straży pożarnej. Cała straż była albo na urodzinach Agnieszki, albo przy polu Fabisiaka. Agnieszka powiedziała, że dziś wszyscy się spodziewają wizyty. Że może coś przyleci. I jak to złapią i dadzą temu wycisk, to wszystko się odmieni na lepsze.

- A ja to bym chciała, żeby mnie zabrali... - rozmarzyła się - żebym nie musiała już tu przyjeżdżać i odjeżdżać, żeby nie trzeba było się ubierać i rozbierać... I żeby pieniądze były niepotrzebne.

Zatrzymałem samochód. Spojrzała pytająco na mnie, potem uśmiechnęła się. Było pusto i ciemno, choć oko wykol.

- Chcesz tutaj? Nikt nas nie zobaczy?

- Nikt nas nie zobaczy - powiedziałem - możesz się kompromitować. Przesiadaj się, będziemy się uczyć.

Zaliczyliśmy kilkanaście „żabek”, zanim Agnieszka opanowała sztukę ruszania, ale kiedy już się nauczyła, od razu zaczęła jeździć dość pewnie. Przyspieszała i hamowała, na etapie pierwszych dwóch biegów szło jej całkiem nieźle, potem nagle podjechała do budynku remizy, wyłączyła silnik i powiedziała, że jest zmęczona.

- Wracamy? - spytałem.

- Może nie od razu - powiedziała powoli i już wiedziałem, że w tej sprawie zaangażowane są jakieś siły nieczyste. Nad figurką świętego Floriana księżyc świecił zza chmur, słychać było szum wiatru i daleki odgłos fal, rozbijających się

o brzeg jeziora. Moje zdolności wychowawcze były zdecydowanie mniejsze niż umiejętności pedagogiczne w dziedzinie motoryzacji. Zresztą, ta godzina wychowawcza minęła zdecydowanie za szybko.

Potem kazałem jej wycofać i jechać w stronę domu. Zapaliła silnik, pomogłem jej włączyć wsteczny, spojrzała w lusterko i wyłączyła silnik. Nie odrywając wzroku od lusterka zaczęła powolutku przysuwać się do mnie, jednocześnie zsuwając się z fotela. Skuliła się i udawała, że jej tu nie ma. Ledwo usłyszałem:

- Boję się...

Spojrzałem w lusterko, ale z pozycji pasażera niczego nie było widać. Otworzyłem drzwi i wysiadłem.

Na środku podwórka stał słupka kot wielkości cielaka i z krowimi tylnymi nogami. Nie widział mnie - był tyłem, a dziesięć metrów dalej stał leśniczy Majewski z wymierzoną w stwora dubeltówką. Choć stał twarzą do mnie, też mnie nie widział, byłem o tym przekonany. Niestety, jeśli by chybił - musiał trafić akurat we mnie. Ewentualnie w samochód, gdzie została Agnieszka, którą zdecydowanie coraz więcej lubiłem, a poza tym najwyraźniej miałem się nią zajmować z upoważnienia jej matki, która było miłą i sympatyczną kobietą, więc byłoby mi obydwu szkoda.

Kot nie miał uszu i ta okrągła głowa na tle jasno świecącego księżyca wyglądała zupełnie nierealnie. Wydawało mi się, że skoro coś nie ma uszu, to i ze słuchem może mieć kłopoty, więc półgłosem powiedziałem:

- Panie Majewski, niech pan nie strzela! Ja tu jestem!

Majewski nie usłyszał. Stał jak posąg Nemroda, zielono połyskując w świetle księżyca z dubeltówką w skamieniałej ręce, wpatrzony w zjawisko, które śledził od paru miesięcy, a które teraz stało dziesięć metrów przed nim.

Niestety, stało też pięć metrów przede mną. W przeciwieństwie do leśniczego, kot usłyszał. Odwrócił bezuchą głowę i spojrzał na mnie. Z przodu wcale nie przypominał kota. Otworzył oczy i zrozumiałem, że to już długo tak nie potrwa - musiałem się na coś zdecydować, bo moje życie, kolebiące się teraz między pracą, utraconym domem i różnymi znajomościami, z których każda z

osobna mogłaby stać się tą najważniejszą i oczekiwaną, od lat poszukiwaną, ale wszystkie razem z pewnością nie dorastały do pięt domowej zwyczajności - nie było wiele warte i byle nowa sprawa mogła je przewrócić, więc teraz po prostu trzeba się spakować i pojechać do miasta, posprzątać po tym wszystkim i zacząć wszystko to samo co było dotąd jeszcze raz od początku, z nadzieją, że to się jeszcze raz uda, i że moja żona też będzie tego chciała, po tym wszystkim czego ode mnie doznała, ale nie miałem jak pojechać, bo nie bardzo mi wypadało tam jechać samochodem Agnieszki, zresztą wszystko wskazywało na to, że powinienem serio zdecydować się na tę dziewczynę - w końcu, była już dorosła, jak jej mama powiedziała - robotna i bardzo do mnie przywiązana, a poza tym bardzo ładna, jak polny kwiat, który pojawił się w jesieni mojego życia, taka poetycka panna, bardzo mi czegoś takiego brakowało - no i zastanawiałem się nieraz, czego mi w zasadzie do szczęścia było potrzeba właśnie teraz, po tych wszystkich przejściach - tylko tego, żebym mógł czuć czyjeś przywiązanie, ciepło i uznanie, nieważne ile mógłbym jej oferować wspólnych lat, ważne, żeby te lata były szczęśliwe, zresztą sprawy układały się tak, że pieniędzy by nam starczyło, nosiła tak krótkie sukienki, że nie mogły dużo kosztować, i była tak szczupła, że na pewno dużo nie jadła, a że jej ojciec zniknął, więc mogłem przy okazji zastąpić jej tatę, a jej mamie męża, no przecież była jeszcze całkiem młodą kobietą, o widocznej, choć już nieco zaawansowanej urodzie, która mając cały dom na głowie z pewnością organizacyjnie potrafiłaby mnie włączyć swoje życie tak, że miałbym świetne warunki, a że żywiła ogromny szacunek do mojej pracy i wykształcenia, więc z pewnością byłaby to sytuacja, o jakich można by tylko pomarzyć, wiążąca się także z wdzięcznością samotnej kobiety, która przecież potrzebuje mężczyzny i zwykłego docenienia jej serdeczności, no a dla mnie też było czymś niezwykle istotnym posiadanie wygodnego domu i uczucia dorosłej kobiety, doświadczonej przez życie, opuszczonej przez męża i przez to jeszcze bardziej potrzebującej ciepła i męskiej opieki, no a teraz, kiedy policja zaopiekowała się Fabisiakiem i jego podejrzanymi współnikami, a nie wiadomo czy teść też w tym nie maczał palców, w każdym razie z całą pewnością kontrola nad Anetą już nie będzie taka szczelna, poza tym, skoro Wojtek siedzi w Stanach

i ma tam kogoś nowego, to przecież Aneta nie musi zachowywać się wobec niego tak lojalnie jak dotąd, a ja miałem niewzruszoną pewność, że tak eleganckiej i kulturalnej kobiety nie spotkałem już dawno, może nigdy, i nie spotkam długo, może nigdy, a że przy tym było nam z sobą wspaniale, pod każdym względem, w dodatku mieliśmy ledwie przedsmak tego, czym mogłoby być nasze wspólne życie, ale już teraz wzajemnie szanowaliśmy swoją niezależność, była co prawda rolniczką, ale i w pewien sposób artystką, rolniczką-artystką można powiedzieć, więc z pewnością umiałyby docenić moją działalność, historyk sztuki we mnie, przytłumiony co prawda przez informatyka, cieszył się kontaktem z żywym - i jak jeszcze! – dziełem sztuki, jakim z pewnością była, a że w dodatku Aneta była bardzo zainteresowana sprawami komputerowymi, więc chętnie pomogłaby mi w mojej pracy, nie mając pretensji o siedzenie przed ekranem, no i te wspaniałe szarlotki, których smaku nie zapomniałem do dziś, i uśmiech, jakiego nie miał nikt, no - może prawie nikt z moich znajomych, a jeszcze kiedy włosy opadały jej na oczy, umiała tak jakoś skłonić głowę, że jej się to samo robiło, i znów się uśmiechała, ale jakoś tak na poważnie, i wiedziałem, że za chwilę odłoży złote okulary na półkę, obok moich, zrzuci na podłogę samochodu buty i podkurczając nogi na siedzenie wsunie wąskie stopy pod moją kurtkę, lubiła ją od czasu kiedy w przerwie spaceru ubrała ją na gołe ciało i powiedziała - nigdy nie wiedziałem, kiedy Agata żartuje, a kiedy mówi poważnie - że mi jej już nie odda, no chyba że razem z zawartością i zastanowiłem się wtedy przez moment, a takich momentów w czasie naszej znajomości było miliony, że jestem szczęśliwcem, który mając Agatę ma wszystko, czego można w życiu chcieć, że wygrałem na najważniejszej loterii świata i w dodatku całkiem niezasłużenie i obawiałem się tylko tego, że któregoś dnia zapuka do mojego - może już wtedy naszego - domu ten facet z kolektury i powie: zaszła pomyłka, proszę zwrócić wygraną, sprawdziliśmy i okazało się, że pan wcale nie wykupił losu, jednak gdy Agata, zadyszana, jakoś tak nerwowo dzwoniła do drzwi, żeby potem długo i z namysłem patrzeć w moje oczy, a ja widziałem jak w nich ginie i zatapia się cały świat i jak w jej ciepłe topnieje wszystko zło świata, jakie kiedykolwiek może być we mnie i wokół nas i z tym przeświadczeniem byłem absolutnie pewien, że nic złego nigdy nie może

się nam razem się wydarzyć, ona uśmiechała się tak powoli, jakby budziła się z długiej nocy i wtedy nie umiałem się powstrzymać od uruchamiania wyobraźni, jednocześnie byłem ciekaw, czy ona zdawała sobie sprawę, że na tej sali rozpraw zupełnie nie umiałem się skupić i patrząc na nią w ogóle jakoś nie widziałem tej togi i wszystkich atrybutów powagi sądu reprezentowanego przez Anię, zresztą nie to, że bym widział ją całkiem bez togi, nawet kiedyś powiedziałem, żeby na spotkanie ze mną przyjechała ubrana wyłącznie w togę, ale mogła nawet być w kufajce, i tak była fantastyczną kobietą, kimś, kogo mi ogromnie brakowało - kompetentną, fachową, a przy tym opiekuńczą i zarazem zdecydowaną, przy której można było się zwolnić z ciągłego kontrolowania sytuacji i czuwania, czy wszystkie domowe i zawodowe sprawy zostały zapamiętane i wykonane jak trzeba, Ania była uosobieniem rzetelności, a przy tym bez żadnych zakompleksionych władczych negatywów, z drugiej strony jednak nie umiałem sobie wyobrazić siebie w charakterze niańki do jej dzieci, całkiem przecież jeszcze małych, niewiele większych i niewiele bardziej samodzielnych od mojej Alicji, która była teraz najbliższą mi istotą, o której musiałem pamiętać i którą musiałem się opiekować, w pełni świadomy, że w zasadzie to byłoby najlepiej, gdyby można było wybrać taką opcję, w której jak w bajce po pocałowaniu w rudy pyszczek zmieniałaby się w dziewczynę, może od razu lepiej kobietę, związaną ze mną nie z powodu jakiegokolwiek klatki, tylko z jej wolnego wyboru, z chęci bycia ze mną i wiary w to, że to właśnie ja mogę być dla niej kimś najlepszym, najpotrzebniejszym i w zasadzie wystarczyło tylko wyrazić takie życzenie, a może nawet tylko intencję, i już przypominałem sobie, że czeka na mnie teraz w domu, wysoka, szczupła, z burzą rudych włosów na głowie, z zielonymi oczyma i tą charakterystyczną dla rudzielców jasną cerą Ani Shirley, wrażliwą na słońce, od którego robią się piegi, w zielonej spódniczce Alicja wyglądała młodziej niż w rzeczywistości, może sprawiały to białe rajstopy, okrywające bynajmniej nie dziecięce kształty, zresztą ta spódniczka zawsze najlepiej się prezentowała gdy leżała na wiśniowym oparciu fotela, z którego w takich momentach wstawała jak zahipnotyzowana, by nie mówiąc ani słowa podejść do mnie na odległość wyciągniętych rzęs i by dopiero wtedy, kiedy już i

ta odległość wydawała się zbyt wielka, zamknąć wielkie, zielone oczy, opaść na cztery łapy i dopiero w ostatniej chwili umknąć przed czarnym cielskiem oplatigry, uruchomionego i odpalonego na wstecznym przez Agnieszkę. Kot w kilku susach umknął w głąb podwórka, odbił się tylnymi łapami, wskoczył na dach remizy i tyleśmy go widzieli.

Nie wiem, co nam groziło ze strony tajemniczego przybysza, ale Agnieszka mogłaby mieć na sumieniu mnie i Majewskiego, gdybyśmy się nie wykazali mistrzowskim refleksem. Odskoczyliśmy jednak w ostatniej chwili, tигра stanęła tuż przy płocie, Agnieszka wyskoczyła i przytuliła się do mnie z płaczem.

- Co to było? Powiedz, czy to był diabeł? Czy to przez nas? Czy ty go też widziałeś? Czy to ja zwariowałam?

Majewski pokręcił głową.

- To nie przez was. Szłem za nim od Fabisiakowego pola. Z daleka, to mnie nie widział. Zaszedł najpierw na pana podwórko, poniuchał, ale widać wyczuł, że nikogo nie ma, to poszedł do sołtysa, sołtys był u ciebie, zatrzymał się przy kościele, no i tutaj, zaczął się chyba, gapił się z za rogu, jak jeździliście po placu, a potem, kiedyście..., no, tego, odpoczywali, to wylazł. Ja za nim, bom sobie pomyślał, że się na was rzuci, jak będziecie tacy zajęci. Już go miałem na muszce, kiedy mnie usłyszał, czy poczuł. Spojrzał na mnie tylko, on musi mieć jakiś laser czy co, w każdym razie mnie wyłączył, przypominały mi się wszystkie zwierzęta, com do nich strzelał i tak mi się zrobiło przykro, tak przykro, pewnikiem mi coś zatruł w mózgu, no bo przecie jak to, żeby leśniczy myślistwem wzgardził. No a potem to pan wyszedł z auta, to i pana usłyszał. I zaczarował. Ale i mnie nie popuścił. Zacząłem go widzieć, ale byłem jak z kamienia, sparaliżowało mnie. Dopiero kiedy ona go zaatakowała, to się przestraszyłem, najwyraźniej nie zna samochodów. Ale on wróci.

Agnieszka spojrzała na niego przestraszona.

- Wróci? Uciekajmy, boję się.

Uruchomiłem samochód, zaprosiłem gestem Majewskiego. Pokręcił głową.

- Ja sobie tu jeszcze pochodzę. Już mnie nie zaskoczy. Zresztą mam służbę.

Nie byłem ciekaw rezultatów polowania. Podjechaliśmy pod dom

Agnieszki. Goście, choć przedtem nie zauważyli nieobecności jubilatki, to teraz usłyszeli silnik samochodu. Wyrżał sołtys, policjant, sąsiad z lewej. Dziewczyna popędziła do domu i zamknęła drzwi. Minałem ich wszystkich bez słowa. Poszedłem wolno do swojego domu, sądząc, że już na urodzinach nie będę potrzebny i w ogóle już mam wolny wieczór i dosyć wrażeń. Myliłem się.

Otworzyłem drzwi z klucza. Światło paliło się w pokoju z kominkiem i komputerem - nie pamiętałem, czy je gasiłem wychodząc. Ale z całą pewnością nie zostawiłem w domu nikogo, kto by mógł mnie serdecznie przywitać:

- Tak długo czekałam, nareszcie jesteś!

Alicji nie widziałem już chyba z dziesięć lat. Niewiele się zmieniła - rude włosy nieco ściemniały, zamiast zielonej, krótkiej spódniczki, w jakiej ją zapamiętałem, miała brązową długą, ale nerwowa, blada i trochę piegowata twarz i duże zielone oczy pozostały takie same. Nie powinienem się bać dziewczyny, która była ze mną przez ponad rok, ale trochę się nogi pode mną ugięły. Usiadłem, postawiła przede mną kubek z gorącą herbatą i powiedziała:

- Nie powinieneś być chodzić na te urodziny. Przegapiłeś to, jak się tu znalazłam. Jak byś tu był, to byś mi mógł powiedzieć, bo ja sama nie wiem. Jakoś tak byłam tu i przedtem, wszystko kojarzę, jakby mi się to śniło, no i chyba skądś przyszłam, może byłam zamyślona...

Coś musiałem koniecznie powiedzieć, ale żywcem nie wiedziałem co... Wszystko, co mi się cisnęło na usta to pytanie, którego nie miałem do kogo skierować - I co teraz będzie?

- Nieważne skąd, ważne, że przyszłaś – jak zawsze, starałem się wykazać grzecznością - Opowiadaj, gdzie byłaś przedtem!

Zaczęła mówić - o dwóch nieudanych małżeństwach, wyjazdach zagranicznych, opublikowanych książkach i artykułach. Ostatnie daty, jakie sobie przypominała, były mniej więcej sprzed pół roku - była wtedy na Bliskim Wschodzie, gdzie jej mąż pracował jako tłumacz w dużym przedsiębiorstwie budowlanym. Ona, arabistka, pomagała mu w pracy, zresztą nieformalnie, bo tam nie przepadali za pracującymi kobietami. Syria, Irak, Libia, Emiraty... Któregoś dnia dostała list od przyjaciółki z uniwersytetu, który potrzebował lektora z

praktyczną znajomością arabskiego, spakowała się i zostawiając pożegnalną kartkę na stole - wróciła do kraju. Pamięta jeszcze ostrą jazdę taksówką z Okęcia do śródmieścia, ale spotkania na uniwersytecie - już nie.

Wstałem, żeby dorzucić do ognia - w kominku napaliła, ale tliło się ledwo, dołożyłem trochę papieru i dwa polana. Kątem oka rzuciłem na stolik koło komputera - klatka była otwarta, na podłodze wałało się trochę trocin. Wypadałoby posprzątać, ale to może później - pomyślałem. Zresztą – dlaczego ja miałbym sprzątać, przecież nie ja nabałagałem...

- I nie mam żadnych rzeczy. Ja to po prostu myślę, że ta taksówka miała wypadek, straciłam pamięć i mnie okradli. Ale pamiętam, że miałam w portfelu twoje zdjęcie sprzed lat i wizytówkę. Więc może ktoś mnie tutaj przywiózł?

Nie wdawałem się w dyskusje na temat tego, że zdjęcie było sprzed trzydziestu lat, wizytówka sprzed dziesięciu, kiedy o domku na wsi nawet nie marzyłem, a wszystkie te akcesoria i tak nie mogłyby pomóc sforsować drzwi zamkniętych na porządną zasuwę i dwie kłódki. Przemogłem się i wziąłem ją za rękę.

- Tak się cieszę - skłamałem. Co za dużo, to niezdrowo - myślałem o tobie tak mocno...

Miała długie, trochę wilgotne palce, paznokcie delikatnie pociągnięte czarnym lakierem, wypiełgnowane dłonie osoby, która nigdy nie pracowała fizycznie. Wysmukła szyja, długie, ciemnorude włosy, delikatny meszek na karku... Wzdrygnęła się.

- Pozwól, proszę, niech się z tobą z powrotem oswoję...

Przypomniałem sobie, jak pierwszego dnia mnie ugryzła w palec i pomyślałem, że jeśli oswajać się będzie musiała od początku, no to muszę bardzo uważać. Wydawało mi się jednak, że to ja będę musiał się najpierw oswoić.

- Może jesteś głodny? Kolację może zrobię!

- Dobrze - skinałem głową, zastanawiając się, co też mi moja nowa towarzyszka zaserwuje. Musli? ziarnka słonecznika? Kukurydzianą kolbę na miodzie?

- A nie powiedziałeś mi jeszcze, jak twoim zdaniem się tu dostałam. I skąd

ta amnezja? Miałam wypadek?

Chciała podejść do mnie, ale potknęła się o plastikową kulę, porzuconą koło stołu i byłaby miała znowu wypadek, gdybym jej nie podtrzymał. Była szczupła, niemal koścista, wyglądała na wychudzoną.

- Nie lubię tego! - z odrazą spojrzała na zabawkę - Miałam takie coś w Syrii.

- Ty? - zdziwiłem się.

- Taki był przezroczysty balon w naszym domu, mąż mnie tam zamykał bez ubrania i musiałam tak biegać po pokoju, a on się cieszył, niekiedy nawet znajomych sprowadzał. Zboczony sadysta. To jak, wyjaśnisz mi to wszystko? Zawsze umiałeś wszystko wyjaśnić...

Na podwórku zobaczyłem światło latarki. Ktoś zaglądał do okna.

- Chyba teraz jest co innego do wyjaśnienia. Mamy gości.

Wyciągnęli nas oboje bez ceregieli na dwór. Zauważyłem, że mężczyźni bali się dotykać Alicji, ale kobiety z przyjemnością szarpały ją za włosy, przytrzymywały za ręce, wiązały nogi. Mnie dość brutalnie wykręcili ręce i postawili plecami do dziewczyny. Brama na podwórko była otwarta i usłyszałem najpierw, a potem zobaczyłem wjeżdżający traktor, pełen chrustu i grubszych gałęzi.

Za traktorem, przed bramą czekało, praworządnie migając kierunkowskazem, niebieskie uno. Traktor z materiałem łatwopalnym zaparkował pod stodołą, uno wjechało przed dom. Ludzie się rozstąpili, Ania wysiadła i w kilka sekund była już związana przy nas. I wtedy się uspokoiłem. Zrozumiałem, że albo zwariowałem, albo jestem pod wpływem narkotyku i mam przywidzenia, albo to tylko koszmary sen. Uśmiechnąłem się promiennie do Ani i powiedziałem:

- Fajno, że przyjechałaś, akurat w tym momencie. Poznajcie się, to jest Alicja. Jeszcze przed obiadem była chomikiem, a teraz, popatrz – jaka super dziewczyna.

Ania odruchowo rzuciła na Alicję okiem, uśmiechnęła się i nerwowo zapytała:

- Słuchaj, czy możesz mi wyjaśnić, co tu się dzieje? Film kręcą, czy co?

Ale w tym samym momencie odezwała się Alicja:

- Co ty mówisz? Jakim chomikiem? To pseudo jakieś? Nie było mnie w Polsce dziesięć lat, nie znam nowych dowcipów...

Uśmiechnąłem się promiennie do obu:

- Zwykłym chomikiem. Syryjskim. A ten film to takie luźne sceny z *Czarownic z Salem*. Jesteście bohaterkami mojego obłędu, nie przejmujcie się, to jeszcze nie koniec.

Wyglądało jednak, że koniec nie jest odległy. Zaczęli układać stos koło stodoły i w tym momencie na podwórko wbiegła z rozwianym włosom Ada, matka Agnieszki. Miała ładne włosy, dopiero drugi raz widziałem ją bez chustki, ale za pierwszym nie zwróciłem uwagi. Zaczęła się przepychać przez tłum, krzycząc:

- Puśćcie ich! Puśćcie! To diabły wszystkiemu winne! Diabły! Agnieszka widziała! Chodźcie do kościoła! Niech proboszcz coś zrobi!

Z gromady wystąpił proboszcz.

- Nie martw się, córko! Na pewno zrobię co trzeba. Wypowiadam ich przed śmiercią, albowiem wielkie są ich winy. I potem wszystko opiszę do gazety, ale krótko, bo dają mi tylko stroniczkę. I musimy się spieszyć, o dziesiątej zamykają numer.

Ada podbiegła do mnie i zaczęła mnie rozwiązywać:

- Uciekaj!

Za nią znalazła się Agnieszka i we dwie krzyczały:

- Uciekajcie, uciekajcie wszyscy, oni zaraz tu będą!

- Spokojnie – powiedziałem – nie przejmujcie się. Jak mnie wyleczą, to wszystko się ułoży. To tylko kwestia czasu. Czas wszystko wyleczy.

Sołtys spojrzał na dyrektora szkoły, który popchnął do przodu nauczyciela od wufu. Razem z moim sąsiadem z prawej związali równo Agnieszkę z matką i ustawili koło nas. Grupka się powiększała i bałem się, że niedługo *nolens volens* stanę na czele sporej trupy aktorów ze spalonego teatru. Tak, *spalony teatr* wydawał się bardzo na miejscu, zwrot *trupy aktorów* też spodobał mi się bardzo. Powiedziałem to nawet do Agnieszki.

- Jesteśmy trupą aktorów...

- Będziemy. Trupami aktorów - poprawiła, bo miała zdawać maturę i poprawność językowa bardzo jej leżała na sercu.

- Masz komórkę? – spytała Ania szeptem.

- Mam – odpowiedziałem głośno. Szeptanie wobec wrzeszczącego tłumu było, moim zdaniem, zbyteczne. - Ale zostawiłem w domu. Nie planowałem już nigdzie wychodzić.

- Cholera! Ja tu nie mam zasięgu, a nie związali mi lewej ręki, więc mogłabym...

Wydawało mi się bez sensu, żeby gdziekolwiek dzwoniła, co najwyżej do psychiatryka, ale czy czyjeś majaki mogą używać telefonów komórkowych? Jednak, w końcu, jeśli chce...

- Masz alarmowe... Wstukaj 112 i z głowy, połączą cię z policją.

- Agnieszko, odwróć ich uwagę, wrzeszcz – szepnęła jeszcze raz. Agnieszka zaczęła śpiewać najnowszy przebój Lenny Kravitz, ksiądz zasłonił się krucyfiksem, starsze kobiety starały się ją zagłuszyć litanią, mężczyźni popluwali w dłonie, a leśniczy Majewski podniósł strzelbę.

W tym momencie na podwórko wjechała czarna limuzyna ze znakami wojskowymi. Kierowca nie zgasił silnika, wysiadła Aneta i pułkownik UOP-u, który teraz był Agencją. Anetę szybko przyłączono, solidnym sznurkiem, do naszej grupy, która powoli zaczynała stanowić dość istotną część zgromadzenia. Pułkownik podszedł do mnie i, nie witając się, zapytał:

- Co słyhać? Ma pan jeszcze te listy terrorystów, przekopiwane na swój komputer? Można sobie wydrukować?

- Tak, bardzo proszę. Papier do drukarki jest pod biurkiem, a listy zapisałem w folderze „Moje dokumenty”. Skrót na pulpicie. Drzwi otwarte.

- Dziękuję bardzo, sporo pan nam pomógł, będziemy o tym pamiętać – powiedział i wszedł do domu. Ludzie z klasą nie zapominają o uprzejmości w żadnej sytuacji. Zapaliło się światło w pokoju z komputerem.

- Palimy! – rzucił sołtys. Kilka osób wyciągnęło do niego paczki papierosów. Władza miała we wsi właściwie ugruntowaną pozycję. Myślenie o wzniesieniu

buntu w tej sytuacji było nie na miejscu. Jakakolwiek myśl o wzniecaniu budziła we mnie odrazę. Od lat zresztą nie paliłem.

- Stos palimy! – sprecyzował - Niedługo nie starczy gałęzi, tłok się robi.

Stanowczo, choć łagodnie zaczęli popychać nas w stronę ułożonych patyków. Przywitałem się z Anetą, całując ją w policzek. Wydawało mi się, że w tych okolicznościach nie mogłem sobie pozwolić na więcej. Uśmiechnęła się, jak zwykle pięknie, ale teraz jakby nieco zdawkowo. Postanowiłem ją przy okazji zapytać, jak tak w głębi duszy planuje ułożenie się naszych stosunków w przyszłości.

- Protestuję! – krzyknął ktoś z tłumu – nie możemy tak. Nie wolno nam!

Spojrzałem, wyczuwając dobrą nowinę i korzystny zwrot w akcji. Na filmach zawsze przed zapaleniem stosu wydarza się coś, w efekcie czego stos nie płonie, królowa przysyła posłańca z uniewinnieniem czy przyjeżdżają na rączych rumakach kumple i szeryf z Nottingham może sobie co najwyżej usmażyć kielbaski. Niezła podobno jest też karkóweczka z grila. Zrobiłem się głodny.

- Alicjo – spytałem – czy z tą kolacją to było na poważnie? Starczy nam karmy na tyle osób?

Popatrzyła na mnie z troską.

- O czym ty mówisz?

Mówił nauczyciel historii, o którym wiedziałem, że był przewodniczącym komisji ochrony zabytków PTTK. Kiedyś nawet byłem gościem na zebraniu komisji i wygłaszałem odczyt o walorach historycznych okolicznych miejscowości. Czułem w nim sojusznika.

- Panowie! - rzekł, całkowicie lekceważąc obecne na podwórku kobiety - Tak nie możemy. Popatrzcie, tu wokół są same zabytkowe stare stodoły. Jeden niekorzystny podmuch wiatru i cała wieś spłonie. A przynajmniej jej zabytki. Miejcie Boga w sercu, nie niszczonej naszej tradycji, naszej sztuki budowlanej, sławiącej imię naszych dzielnych przodków ze średniowiecza!

Poza szkołą, pracował w biurze poselskim Partii Prawdziwej Prawicy i sporo się nauczył od naszego posła. Ale z tym średniowieczem przesadził. Moim zdaniem, stodoły były z XIX wieku. Jako historyk wiedział o tym na pewno. Z

tym, że pewno uznał, że powoływanie się na średniowiecze w obliczu przygotowywanego stosu, z pewnością będzie bardziej skuteczne. Spojrzałem na niego z uznaniem. Jako historyk sztuki podzielałem jego poglądy całkowicie. Jako ewentualna karkówka z grilla byłem jak najbardziej za odłożeniem działań pirotechnicznych na później. Możliwie na jak najpóźniej. W zasadzie – *ad calendas graecas*.

- Przenieśmy się gdzie indziej. Nie mówiąc już o tym, że tam pracuje pan pułkownik, nie powinniśmy mu przeszkadzać - wskazał na okna mojego pokoju. Pułkownik nadal drukował listy Organizacji.

Sołtys z właściwym lokalnej władzy poczuciem więzi z substancją narodową skinął głową.

- Jasne. Dobra. Dziękuję panu profesorowi. Zabieramy ich na pole Fabisiaka. Tam się to wszystko zaczęło, to i tam niech się skończy.

Chrust i gałęzie, które już były zwalone na ziemię, rozdzielili między siebie, a nas załadowali na *charrette* zaprzęzoną w traktor. Kiedy we Francji wieźli śmiertelną karetą skazanych na gilotynę, to nie było tak dobrze - lud ciągnął sam. Teraz lud wydelegował mojego sąsiada z lewej, który usiadł za kierownicą i pojechaliśmy. Był to spory kawałek, ale mnie się wydawało okropnie blisko. Staliśmy na przyczepie, ja i tych pięć kobiet i nie rozmawialiśmy. Czułem podświadomie, że nie był to dobry moment na ogólne wyjaśnianie sobie wzajemnych zależności między mną a każdą z nich. Ania wolną ręką obejmowała Agnieszkę - najmłodsza z nas czuła się zdecydowanie najsłabiej - widać brała to wszystko na serio. Ja miałem koło siebie Anetę i Alicję, to było bardzo przyjemne, mama Agnieszki z niepokojem patrzyła przed siebie. Jakoś tak cicho się zrobiło i nikt nic nie mówił. Zresztą na przyczepie trzęsło i hałas był okropny. Jak na życie towarzyskie warunki były mało komfortowe.

Traktor jechał coraz szybciej, a gromadka ludzi posuwała się za nim w sporym odstępie, rozciągając się na znacznej odległości. Było całkiem ciemno, ale jakoś mi się tak wzrok wyostrzył, więc z łatwością zauważyłem, że co i raz ktoś zostaje z tyłu i znika między zabudowaniami. Spojrzałem na zegarek, gdy mijaliśmy latarnię - zbliżała się dziewiąta. Ludzie tutaj chodzili wcześniej spać,

bo rano trzeba było oporządzać gospodarstwa, robić zakupy, chodzić do kościoła czy jechać do miasta po zasilek. Najbliżej nas trzymali się najwytrwalsi - sołtys, z racji urzędu, listonosz, z racji umiejętności szybkiego chodzenia, nauczyciel wuefu, także z powodu kwalifikacji, ksiądz z dziennikarskiego obowiązku, Majewski, który jakoś tak od pewnego czasu ogólnie trzymał się mnie, Janek prowadzący traktor też był z nami blisko związany - przyczepą, no i parę kobiet, których osobiście nie znałem.

Dojechaliśmy. Zaproponowałem, żebyśmy nie wysiadali, bo byłem ciekaw jak nas z tej przyczepy wydobędą. Nie znałem się na maszynach rolniczych. Janek włączył jakiś wichajster w traktorze i przyczepa łagodnie podniosła się z jednej strony. Nie dało się ustać. Zsunęliśmy się jak kwintal ziemniaków. Aneta elegancko zeskoczyła sama, od dłuższego czasu podziwiałem jej klasę w każdej okoliczności, Agnieszka upadła na kolano i zauważyłem, że była wściekła, bo czarne spodnie się brzydko pobrudziły, Ada nie mogła się pozbierać z ziemi, ale Alicja jej pomogła, ja pochyliłem się do Ani:

- Zauważyłaś coś?

- Zauważyłam. Już nas nie wyzywają, a ludzi jest coraz mniej.

- No właśnie. Ale Majewski wciąż ma dubeltówkę.

Traktor nie wjechał na pole, więc zgromadziliśmy się przy drodze. Na zagonie widniał wygnieciony przed paroma dniami krąg. Teraz wydawał mi się całkiem duży. Sołtys kazał ludziom niosącym chrust wejść do środka i ułożyć stos. Nikt go nie posłuchał. Złożyli gałęzie na brzeżku pola, zaraz za rowem z wodą i stanęli na skraju szosy. Rewolucja zazwyczaj kończy się wtedy, gdy zmienia się miejsce i termin egzekucji pierwszych ofiar.

Sołtys stanął do nas tyłem, przemawiając już tylko do kilkunastu osób:

- To tutaj już pięć razy pojawiły się kręgi. Wygląda na to, że oni uwzięli się na naszą wieś. Ktoś jest temu winny. Musi być ukarany, bo inaczej zło nie odejdzie. Nie pomoże na to żadna policja i żaden urzędnik. To jest nasza sprawa i my musimy ją załatwić. Jesteśmy sami. Nikt na nikogo nie doniesie. Nikogo nikt nie ukarze. Żaden sąd. Tylko my jesteśmy sędziami i już żeśmy tych tu osądzili.

- O, bardzo przepraszam! - oburzyła się Ania - jestem sędzią sądu

okręgowego i mam immunitet sędziowski. Mnie nikt sądzić nie będzie, to jest bezprawie. To ja wydaję wyroki, rozumiano? Jeszcze słowo, a ukarzę was wszystkich grzywną za obrazę sądu. Bez prawa zamiany na areszt. I do końca życia będziecie ją spłacać. Macie natychmiast się rozejść i przeprosić wszystkich, wysoki sąd w pierwszej kolejności.

Cofnęli się o kilka kroków, bo tego się nie spodziewali. Z sądem nikt nie chciał mieć do czynienia, ja byłem może wyjątkiem, ale usprawiedliwiało mnie to, że inicjatywa nie całkiem należała do mnie. Sołtys próbował ratować swój autorytet:

- Jeśli pani jest sędzią, to dlaczego pani jest tutaj i dała się pani wciągnąć w to wszystko?

Ania zmierzyła go swoim najbardziej oficjalnym wzrokiem i zaczerwieniła się, jak zawsze wtedy, kiedy była wściekła. Szkoda, że tego nie widział, bo jednak było dość ciemno. Świecił tylko księżyc, latarnia przy tablicy z nazwą wsi i pochodnie, które w międzyczasie zapaliły dwie kobiety.

- Ciekawe, pan tego nie wie? I pan jest sołtysem? No, dość tego, proszę nas natychmiast uwolnić. I ostrożnie z tym ogniem, bo jeszcze dołożę mandat z zagrożenia pożarowego, nie wiecie, jak sucho jest w lesie?

Przysunąłem się do niej.

- To już blefujesz - powiedziałem po cichu - nie masz uprawnień strażackich!

- Ja nie mam? Ja? Jestem wiceprzewodniczącą wojewódzkiego zarządu straży!

Zawsze potrafiła mnie zaskoczyć. Majewski energicznie pokiwał głową.

- Ta pani ma rację, w lesie ściółka sucha jak cholera, trzeba bardzo uważać. Jakby się co zapaliło, to nie damy rady, sami jesteśmy, nie ugasimy. Wczoraj widziałem, jak mrówki w gębach wodę do mrowiska nosiły.

Musiał mieć niesamowity wzrok, zaczynałem go podziwiać.

- Dobra - uznałem za stosowne włączyć się do akcji - Zimno się robi, a rano nie wstaniemy do pracy. Wyjaśniliśmy sobie wszystko, to idziemy do domu.

- Józefowa, rozwiążcież mi te ręce, bo czucie tracę, a jeszcze muszę na jutro kartofli naobierać - mama Agnieszki obróciła się do sąsiadki. Ta bez słowa zgasiła

pochodnię i zaczęła rozplątywać sznurki.

- Ależ, córko! - próbował włączyć się ksiądz - powinni się przyznać do konszachtów z diabłem. A my tego w naszym kraju tolerować nie możemy, bo do czego by to doszło, jakby każdy chciał sobie chomika zmieniać w kobietę, a kota w krowę?

Najwyraźniej brakowało mu *auto-da-fé*.

- Co wyście się wszyscy tak tego chomika uczepili? - zdenerwowała się Alicja.

- Jaka córko? - Agnieszka zwróciła się z pretensjami do matki - to ksiądz jest moim naturalnym dziadkiem? Nic nie wiedziałam, to dlatego babcia tak w kościele stale wysiaduje...

Znów wszyscy mówili na raz, staliśmy na środku szosy i kłóciliśmy się. W międzyczasie ktoś podpalił jeden ze stosów, Majewski rzucił się gasić, sołtysowi najwyraźniej było żal, stał samotny na uboczu, jego byli ludzie znikali w szarej ciemności. Przywódcy nieudanej rewolucji zawsze pozostają samotni. Nie było mi go żal i postanowiłem, że na pewno nie będę na niego głosował. Inna rzecz, że byłem zameldowany tylko na czasowo, więc nie wiedziałem, czy w ogóle mam uprawnienia.

Rozwiązaliśmy się do końca sami, na wszelki wypadek rozgarnąłem drugi stos chrustu, dałem Anecie kurtkę, bo trzęsła się z zimna i wtedy z dwóch przeciwnych stron nadjechały na pełnej szybkości dwa samochody, w ostatniej chwili hamując z piskiem tuż przed nami. Od strony wsi zarzuciło czarne BMW, którym jechał pułkownik agencyjnego UOP-u. Wysiadł, rozejrzał się i podszedł do mnie. W rękę trzymał klucz.

- Światło zgasilem, komputera nie wyłączałem, chomika znalazłem i wsadziłem do klatki, drzwi zamknąłem, proszę - klucz. Dziękuję.

- Jakiego chomika? - już nic nie rozumiałem.

- Syryjskiego - wyjaśnił cierpliwie - Tego, co panu już raz życie uratował.

- To... - spojrzałem na Alicję. Nie widziała mnie. Patrzyła na pułkownika, jakby to był Bogusław Linda. Sprawdziłem. Nie był. Nawet nie był ani trochę podobny.

- Marek... - powiedziała cicho. Pułkownik pokręcił głową.

- Mirek. A ty pewno jesteś żoną Marka - odwrócił się do mnie - Mojego brata. Zawsze nas mylili, choć wcale nie jesteśmy bliźniakami. Szukamy cię od paru dni.

Trzasnęły drzwiczki drugiego samochodu, którego dotąd nie widziałem, bo mi go ludzie zasłaniali. Moja córka przeciskała się w moją stronę. Na wszelki wypadek odsunąłem się od wszystkich moich dotychczasowych współtowarzyszek niewoli. Aneta oddała mi kurtkę, mówiąc, że już się rozgrzała.

- Ćwiczenia obywatelskie tu macie? - spytała córka. Nonszalancko kołysała na palcu kluczyki od samochodu. Popatrzyłem ponad głowami ludzi. Przy naszym punkto stała moja żona i uśmiechała się. Widząc, że na nią patrzę, pomachała mi ręką. Przetarłem oczy.

- Anetko... - powiedziałem cicho - uszczypnij mnie, ale tak, żeby nikt tego nie widział. Zwłaszcza moja żona.

Pokręciła głową.

- Ta kobieta przy samochodzie to twoja żona, tak? I nie spodziewałeś się, że może tu przyjechać w takiej chwili? A my...

Przełknęła ślinę...

- No, nic. Jeśli będziesz mógł, to zadzwoń wieczorem. Albo jutro. Szkoda, że nie będziesz już...

Odwróciła się do pułkownika.

- Czy ja mogę wrócić do domu? Będzie bezpiecznie?

Skinął głową.

- Mój człowiek zaprzyjaźnił się z pani teściową i jeszcze przez kilka dni będzie was ochraniał. Teścia pewno wypuścimy niedługo, jak tylko przestanie symulować chorobę. Na razie jest w szpitalu pod strażą. Będzie pani pod opieką.

- To my się będziemy też zabierać - powiedziała matka Agnieszki - pewno dziś już pójdziemy spać, ale może jutro wpadniesz na obiad? Bardzo proszę...

- Jak ty do niego mówisz? Po imieniu? - Agnieszka spojrzała na mnie spoode łba - To jak to - znasz moją matkę? Skąd?

- To ty do niego mówisz po imieniu? Dlaczego? - obruszyła się Ada.

Uznałem, że moje wyjaśnienia nie będą na miejscu i podszedłem do swojej córki.

- A, egzorcyzmy tu robimy, bo diabeł pokazał się we wsi. Takie coś z folkloru. A ty co tu robisz?

- Chodź, pokażę ci.

Podeszliśmy do świateł samochodu, których oczywiście nie wyłączyła, w końcu to nie był jej samochód i jej akumulator, i wyciągnęła z torebki nowiutkie prawo jazdy. Błysnął hologram, kiedy pomachała mi przed nosem plastikowym dokumentem.

- Zdałam! Za pierwszym razem! Bez łapówki, wyobrażasz sobie? No i w nagrodę mogłam tu przyjechać i pochwalić się tobie pierwszemu. No, może nie pierwszemu...

Żona wzięła mnie pod rękę. Zastanowiłem się, czy to nie za dużo sensacji, jak na jeden wieczór. Przypomniałem sobie, że muszę wrócić do domu i zażyć lekarstwa. Wieczorną porcję.

- Patrz, jaka dzielna! I tak dobrze prowadzi! A ja przyjechałam jako pasażer... Ale chciałam z tobą porozmawiać. Jest parę spraw.... Może porozmawiamy w domu?

Spojrzałem na nią. Zamknąłem oczy. Zobaczyłem wszystkie te zimowe dni w letnim domku, wigilię na dworcu, autobusowe dojazdy na kursy dla bezrobotnych, sądowe korytarze, uśmiechniętą twarz mecenasa... Zobaczyłem wszystkie dni wspólnych wycieczek pierwszym samochodem, wszystkie noce za późno podejmowanych eksperymentów, pierwsze kąpiele pierwszego dziecka, rozpędzoną karetkę, szukającą miejsca w szpitalu przed urodzeniem drugiego dziecka, które wciąż machało mi przed nosem nowym swoim prawem jazdy, wspólnie oglądane śluby znajomych, wspólnie przepłakane pogrzeby bliskich. Zobaczyłem wszystkie zabałaganione sprawy, błędy, do których nie można było się nigdy przyznać, wszystkie kłótnie z byle powodu i bez powodu, wszystkich znajomych i przyjaciół, którzy po kolei odchodzili z naszych szeregów... Zobaczyłem te wszystkie przyszłe dni, w których zniknąć będą po kolei wszystkie przyjaźnie, miłości, zawody robocze i miłosne, w których świat, coraz słabiej

widoczny bez okularów i słabiej słyszalny bez aparatu słuchowego będzie kurczył się najpierw do jednego miasta, potem do jednej ulicy z najbliższym sklepem, potem do czterech ścian mieszkania, którego już nie będzie można opuścić, potem do łóżka, z którego nie będzie można wstać, potem do ciała, nad którym będzie się mieć coraz mniejszą kontrolę, aż wreszcie do ostatniego spojrzenia, które fajnie by było, żeby miało komu przekazać błysk pożegnania i podziękowania...

Otworzyłem oczy. Uśmiechnąłem się i objąwszy ją ramieniem, pocałowałem w policzek. Ponad ramieniem żony zobaczyłem szarego opla, który cicho podjeżdżał od strony miasta. Za kierownicą siedziała Agata i nie miała szans na przejechanie obok. Pomyślałem, że pewno jedzie po towar do sąsiedniej wsi, ale późno trochę było. Ludzie jednak rozstąpili się i żona już byłaby się odwróciła i zobaczyła ją, ale nagle nad polem Fabisiaka rozległ się szum, jakby leciało stado dzikich gęsi i wszyscy zaczęli patrzeć w tamtą stronę.

Prawie wszyscy - ja wiedziałem, co tam zobaczę, albo przynajmniej się domyślałem, zresztą miałem coś ważniejszego na głowie. A Agata musiała mieć coś jeszcze ważniejszego, bo powoli przejechała obok wszystkich, dając mi głową znak, który zrozumiałem. To musiało być bardzo ważne, jeśli przy całej swojej ostrożności tak ryzykowała. Zrozumiałem, że będzie czekać na mnie. Bałem się, że moment był najgorszy z możliwych - coś zaczynało się sklejać w mojej rozwalonej rodzinie, no i jeszcze koło mojego domu nie było bezpiecznie...

Wiedziałem, nie wiem skąd, co zdarzy się za chwilę, ale miałem jeszcze kilka minut. Pochyliłem się nad żoną i powiedziałem:

- Mieliliśmy tu niezły Sajgon, wszystko ci powiem, ale jutro. Dziś jeszcze muszę zabezpieczyć nasz (to zaakcentowałem) domek, bo mam tu, jak widzisz, nieco konfliktową sytuację. Nie mogę dziś wyjechać, bo mi się włamią. Jutro będę rano w firmie, to porozmawiamy. Wszystko będzie dobrze?

- Chyba tak... - powiedziała nieuważnie, nie patrząc na mnie. Nad lasem pokazał się ciemny, wirujący dysk z kilkoma światełkami po bokach, bezdźwięcznie już zawisł nad polem Fabisiaka, delikatnie, jak opadający z drzewa liść, splanował na wygniecione miejsce i zatrzymał się. Stał, nic się nie działo, wszyscy czekali na niespodziewanych gości, ale z pojazdu nikt nie wysiadał.

Wydawało mi się, że słyszę melodyjkę, pięć dźwięków, które znał cały świat. Czułem jednak, że ktoś nas obserwuje, a może nawet coś z nami robi, bo nikt się nie odzywał, nikt się nie ruszał, wszyscy tylko patrzyli na pole Fabisiaka, patrzyli, można by było wszystkim portfele powyjmować, gdyby ktoś miał przy sobie portfel, i czekali.

Nadbiegli od strony wsi. Jakoś tak dziwnie, bo całkiem cicho, jak przystało na koty, z drugiej strony jednak mieli tylne łapy z kopytami, więc dlaczego na asfalcie nie było słyhać? Agnieszka krótko krzyknęła, jeden zwolnił, popatrzył się na nią, otworzył zielone oczy, ale zaraz jakby się rozmyślił, przymknął i popędził na pole. Może to był ten, co ledwo uciekł przed kołami tigry. Było ich pięciu, minęli nas wszystkich, jakoś tak niezauważalnie wskoczyli do pojazdu, który uniósł się cicho i z rosnącym szumem zniknął za drzewami. Na polu pozostał ślad niemal regularnego koła.

Chwilę trwała cisza.

- To dobranoc - powiedział ksiądz. - Idziemy spać. Mam pierwszą mszę o szóstej.

- Co złego to nie my - dodał sołtys - nie chcieliśmy nikogo obrazić.

Ania kiwnęła do mnie głową i powiedziała:

- Idę po samochód. Podwieźć kogoś do miasta?

Nie było chętnych. Aneta pojechała z Alicją i pułkownikiem. Ada i Agnieszka poszły do domu, trzymając się od siebie na dystans. Listonosz i policjant bez słowa podążyli za nimi. Żona przytuliła się na chwilę do mnie, córka pomachała mi ręką, wsiadły do auta i z trudem zawracając na wąskiej drodze zniknęły za zakrętem. Zostałem sam z Majewskim. Oparty o to samo drzewo, pod którym zobaczyłem go po raz pierwszy, patrzył na pole Fabisiaka.

- To już szósty. Każdy jest inny. Wszystkie widziałem, tylko nie mówiłem. Tu nikt nic nie mówi. Ale to jeszcze nie koniec.

- No, na pewno nie - powiedziałem. Nawet się na mnie nie obejrzał. Jego panterka stopiła się z tłem i tylko lufa dubeltówki połyskiwała ciemno w migotliwym świetle pobliskiej latarni.

*

Szary opel stał w garażu, garaż był zamknięty, w pokoju cicho grała muzyka, nastawiła moją ulubioną płytę Jobima, kiedyś kupiliśmy dwie takie same mając nadzieję, że może niedługo już tylko jedna nam wystarczy, szumiała woda w czajniku, na kominku płonął ogień, pod blachą było rozpalone i nawet się nie dymiło, co kazało mi po raz pierwszy ciepło pomyśleć o lwowskim zdunie. Agata trzymała w ręku patelnię i smażyła wątróbki. Lubiłem wątróbki. Wiedziała o tym.

Obejrzała się na drzwi, kiedy wszedłem. Jej uśmiech mógłby świętego sprowadzić na drogę grzechu. Usłyszała co pomyślałem i powiedziała:

- Poczekaj. Najpierw coś zjedz, na pewno nic w ustach nie miałeś od obiadu. Na szczęście, nie jest jeszcze za późno. W nocnym zrobiłam zakupy, starczy na trochę. Strasznie tu wszystko zapaściło...

Zamknąłem drzwi. Zamknąłem okiennice. Podejrzliwie popatrzyłem na chomika Alicję, nasypałem jej karmę, dolałem wody i na wszelki wypadek wyniosłem klatkę do drugiego pokoju. Teraz czułem się przy niej jakoś niezręcznie. Umyłem ręce. Na kuchennym stole zrobiłem trochę miejsca na talerze i chleb. Siedliśmy naprzeciw siebie. Kolacja była pyszna. Pozmywałem. Agata przysunęła dla mnie fotel bliżej kominka, a sama przycupnęła na poduszce przed kominkiem. Miała szkocką spódniczkę i czarne rajstopy. Spódniczki prawie nie było widać. Usiadłem. Dzień był ciężki i niełatwo zmierzał ku końcowi.

- Jestem - powiedziała – teraz już wszystko będzie dobrze. Uregulowałam parę spraw i teraz już nie ma przeszkód. Mogę zostać?

To, zdaje się motto dziennikarzy: być w odpowiednim miejscu o odpowiednim czasie. Niestety, Agata nie była dziennikarzem. Milczałem. I wtedy rozplakała się pierwszy raz.

*

Pprzed południem odwiozła mnie do miasta. Pożegnaliśmy się kilka domów przed firmą komputerową mojej żony. Torba z rzeczami Agaty pozostała nie rozpakowana na tylnym siedzeniu.

- Odbiorę dziecko ze szkoły. Jak będziesz mógł, zadzwoń. Jestem teraz sama, więc najwyżej któreś z dzieci odbierze. Trzymaj się!

Odjechała z piskiem opon. Zrobiła się bardzo odważna. Mąż poza domem zmusza kobietę do odwagi i samodzielności. Wszedłem na piętro.

Renatka na mój widok włączyła wodę na herbatę i pomogła mi zdjąć kurtkę. Spojrzałem na siebie w lustrze. Coś mi się musiało stać, że zacząłem budzić szacunek. Tak zastała nas żona - ja przed lustrem, ona za mną z moją kurtką w rękach.

- Czy ja państwu przypadkiem nie przeszkadzam? – żona najwyraźniej wróciła do formy - może jednak byście to odłożyli do czasu pozasłużbowego? Czy ja wam za to płacę?

Renatka powiesiła moją kurtkę do szafy i nic nie mówiąc wróciła za biurko.

- Mnie za nic już nie płacisz - powiedziałem niepotrzebnie. Powinienem się uczyć od sekretarki sztuki nie gadania bez potrzeby.

- O tym właśnie chciałam porozmawiać - żona niespodziewanie znów zrobiła się miła - Wejdz, proszę, zaraz pani poda herbatę. Dzwoniła pani do biura notariusza?

- Już podaję. Tak, dzwoniłam, jak pani kazała.

- I co powiedział? O której będzie?

Renatka naląła herbaty do szklanki i posłodziła jedną łyżeczkę. Pamiętała jeszcze. Zniosła do gabinetu i postawiła na niskim stoliku. Elegancki mężczyzna powinien w pewnych sytuacjach dla przyzwoitości odwracać wzrok, na przykład kiedy kobieta w krótkiej spódnicy wchodzi przed nim po schodach. Albo kiedy stawia herbatę na niskim stoliku. Nie byłem aż tak eleganckim mężczyzną. Renatka poczuła mój wzrok tak, jakby poczuła moją rękę - zawsze była wrażliwa. Uśmiechnęła się. Żona znów to zauważyła, ale tym razem nie zareagowała.

- No i co powiedział notariusz? - ponowiła pytanie.

- Nic nie powiedział. Zajęte było.

Wyszła, zamykając za sobą drzwi. Siadłem, wypilem łyk, czekałem, co będzie dalej. Śpiący byłem. Po wczorajszych atrakcjach powinienem spać ze trzy dni, ale jakoś się nie złożyło. Bałem się, że nie bardzo nadaję się do rozmowy na poważne tematy prawnicze, o rodzinnych już nie wspominając, a do doradców prawnych żony jakoś czułem dystans. Ona też nie kwapiła się do szerszych

wywodów, wiedząc, że dużo od tej rozmowy zależy.

Zadzwoił telefon wewnętrzny.

Zadzwoiła moja komórka.

Żona spojrzała na mnie ironicznie i czekała z podniesieniem słuchawki, aż ja odbiorę swój telefon. W normalnej sytuacji każdy człowiek by odebrał i wyszedł z pokoju, aby swoją rozmową nie przeszkadzać innym. Jednak oczywiście wiedziałem, że zostanie to natychmiast zinterpretowane jako ukrywanie przez nią czegoś, więc odebrałem i nie wyszedłem. Dzwoniła kierowniczka Urzędu Pracy z prośbą o pilny kontakt. Były w planie kolejne kursy, spory kontrakt, ale, niestety, nie znalazła się możliwość zatrudnienia mnie nawet na części etatu - w związku ze wzrostem liczby bezrobotnych ministerstwo obcięło fundusze na Urzędy Zatrudnienia, żeby mieć więcej na zasiłki. Ale powiększyło fundusze na kursy. Z tym, że musiały być prowadzone przez firmy, które zatrudniałyby przynajmniej jednego bezrobotnego. Zastanowiłem się, czy zatrudniony bezrobotny nadal jest bezrobotnym.

Byłem bezrobotny. Nie miałem co prawda na nic czasu, bo miałem tyle roboty, ale pracy nie miałem. Powiedziałem, że reflektuję i że spotkamy się po południu.

Żona odebrała telefon. Głośno mówiąca słuchawka zapytała, czy skoro u notariusza było zajęte, to trzeba zadzwonić jeszcze raz. Pomyślałem, że w firmie potrzebne są zmiany kadrowe. Żona potwierdziła, odłożyła słuchawkę i zwróciła się do mnie:

- Widzę, że jesteś rozrywany... To pewno się spieszysz i nie masz czasu dla mnie? Telefony, spotkania... Wszystko po staremu, jak widzę!

Zadzwoiła komórka mojej żony. Spojrzałem na nią ironicznie. Powiedziała, że czeka i prosi o spotkanie.

- Słuchaj - powiedziałem. Na starość zrobiłem się odporniejszy - nie myśl tak. To była ważna sprawa służbowa, także i dla ciebie. Zaraz ci opowiem, jest pewna propozycja...

- Najpierw posłuchaj mojej propozycji, bo jak się nie zgodzisz, to ja nie będę słuchać twojej.

Zadzwoił wewnętrzny telefon. Renatka poinformowała, że u notariusza nikt nie odbiera i zapytała, czy ma zadzwonić potem jeszcze raz.

- Nie! - wrzasnęła żona do telefonu, odłożyła słuchawkę i odwróciła się do mnie - Chciałabym, żebyś mnie uważnie posłuchał. Niby to też jest kwestia służbowa, ale wiąże się z prywatną. Otóż postanowiłam, ostatni raz, ci zaufać, puścić w niepamięć wszystkie...

Zapisała. Dostałem SMS-a. Wyjąłem komórkę, bo przez ostatnie pół roku odzwyczaiłem się ją wyłączać na czas ważnych rozmów. Nie miałem ważnych rozmów. Córka pisała mi, że dostała plus dostatecznie z chemii. Ucieszyłem się i schowałem komórkę do kieszeni.

- Możesz to wyłączyć? Twoje panienki mogą chwilę poczekać w czasie kiedy ty rozmawiasz z żoną? A może po prostu nie mamy o czym rozmawiać, więc idź sobie do którejkolwiek z nich i z nią porozmawiaj?

Zadzwoiła komórka żony. Spojrzała na numer, uśmiechnęła się, odebrała. Zastanowiłem się przez moment, czy gdybym szybciotko zgłosił prowadzenie działalności gospodarczej i zarejestrował własną firmę - to kierowniczka Urzędu Pracy miałaby dla mnie jeszcze to zlecenie? Musiałoby potrwać z tydzień... Ale zyskałbym niezależne i zupełnie niezłe finanse. Mógłbym zatrudnić chłopaków z firmy...

Żona skończyła rozmawiać przez telefon.

- Zaraz tu będzie notariusz. Chcę ci zaproponować przejęcie działu szkolenia jako wydzielonej osobnej firmy, na zasadzie sprzedaży - sprzętu, oprogramowania, wynajęcia sal i przejęcia ludzi. To pozwoli uratować część przedsiębiorstwa przed komornikiem.

Nie rozumiałem do końca.

- Co to za sprzedaż dla męża? Mamy wspólnotę majątkową, firma powstała w czasie trwania małżeństwa, więc i tak jest współwłasnością. I będzie nadal. Gdybyśmy mieli intercyzę i rozdział majątku, albo gdybyśmy mieli rozwód...

Uśmiechnęła się. Nadal nie lubiłem tego jej uśmiechu.

- A co, już chciałbyś? Może mam ci oddać te wszystkie listy, w których płaszczysz się przede mną, żebyś cię tylko wpuściła do domu? Już tak

zhardziales? Jeśli tak chcesz, to po prostu porozmawiamy w sądzie. Mogę zadzwonić tam jeszcze dziś i przyspieszyć rozprawę rozwodową. Jak powiem w sądzie, to co naprawdę wiem, to tej sędzinie oko zbieleje i da mi rozwód w jednej chwili. I alimenty zasądzi takie, że się nie pozbierasz. A dział szkolenia przejmie Tomek, czy ktokolwiek. No, jak - mam dzwonić do sądu?

Zadzwoniła moja komórka. Zobaczyłem, że wyświetlił się numer Ani. Odruchowo chciałem odebrać i dać telefon żonie, żeby załatwiła to natychmiast. Ale pomyślałem sobie, że nie ma co przejmować się drobiazgami. Nie odebrałem i wyłączyłem komórkę. Wyobraziłem sobie przez moment, jak moja żona rozmawia z Anią. Uśmiechnąłem się.

- Już widzę, jak sąd przyznaje ci alimenty od bezrobotnego. Dobra, nie chcę przecież tego rozwodu. Tylko pytam, jak to komornik uzna, taką transakcję. Przecież ja naprawdę chcę ci pomóc. I naprawdę mi na tobie zależy. Tylko nie mam pewności, na czym tobie zależy.

Popatrzyła za okno i przez chwilę było cicho. Słyszałem, jak w sekretariacie Renatka stuka w klawisze komputera. Jak na firmę komputerową, szybkość jej pisania nie była imponująca.

- Już sama nie wiem... - powiedziała żona półgłosem - chyba przede wszystkim na spokoju. Ale nie miałam go z tobą, ani nie mam bez ciebie. Już sama nie wiem... Ale...

Zadzwonił wewnętrzny telefon.

- Tak, proszę - powiedziała żona.

Weszła kobieta w średnim wieku, przystojna i elegancko ubrana, z czarną dyplomatką w ręku. Położyła teczkę na stoliku, przywitała się z żoną i spojrzała uważnie na mnie. Przytrzymała moją rękę przez chwilę i uśmiechnęła się.

- A, więc to pan... Bez przerwy o panu słyszę i stale się zastanawiałam jak pan wygląda... Zrobił pan furorę u nas w domu, jako słynny komputerowy guru...

Żona nabrała podejrzeń.

- A skąd pani notariusz zna mojego męża?

- Pierwszy raz pana widzę - pani notariusz siadła w fotelu obok mnie - ale moja matka jest panem zachwycona. Nauczyła się u pana korzystać z komputera

i teraz jest stała wojna z moim synem o dostęp. Ja, na szczęście, mam laptopa.

- Mama mówiła, że pani jest instruktorem karate! - zdziwiłem się - I w ogóle inaczej sobie panią wyobrażałem.

- W białym kimonie i z czarnym pasem?

No prawdę powiedziawszy, wcale nie tak. Wczoraj chciałem przez moment mieć ją u boku, ale zrezygnowałem z tej myśli, bo już i tak w tej całej sprawie było za dużo kobiet. U nas tak zawsze – od ściany do ściany – albo deflacja, albo inflacja, albo komunizm, albo antykomunizm, albo pustelnia parmeńska, albo Moulin Rouge... Pani notariusz, gdyby w ramach ćwiczeń karate pojawiła się w tym tłumie, najlepiej by wyglądała w bojowym rynsztunku samuraja.

- Jestem instruktorem po godzinach, uczę w domu kultury dwa razy w tygodniu. Dziwne, że dotąd się nie spotkaliśmy...

Wcale to nie było dziwne. Sport nie interesował mnie w ogóle, a uprawiałem tylko podnoszenie ciężarów. Niewielkich - pięćdziesiąt, najwyżej sto gram...

Notariuszka wyciągnęła z teczki plik papierów i laptopa. Zorientowana w sytuacji, proponowała układ nieco skomplikowany, ale mający zagwarantować naraz zjedzenie ciasteczka i zachowanie ciasteczka.

- Państwa córka jest pełnoletnia, prawda? No więc pani sprzedaje jej wydzieloną część firmy i w zasadzie można by na tym transakcję zakończyć. Ale jeśli pani chce jednak przekazać firmę panu, to wówczas córka wykonuje darowiznę na wyłączną rzecz ojca i wtedy ta część majątku nie wchodzi w skład wspólnoty małżeńskiej. Prościzna!

Spojrzałem na nią z uznaniem - taki slang w ustach prawnika! Ale przypomniałem sobie jej syna, którego w żargonie komputerowym udawała babcia i zrozumiałem.

- A opłaty od tych wszystkich transakcji? - spytała żona.

Ponieważ nikt mnie nie pytał o zdanie, więc wyłączyłem się. Tym bardziej, że za drzwiami, w sekretariacie, działo się coś ciekawego. Renatka spierała się półgłosem z jakimiś ludźmi, po wczorajszej historii grupa większa od dwóch osób trochę mnie przerażała, a tam słychać było więcej głosów. Żona przeglądała dokumenty, w końcu i ona usłyszała.

Otworzyła drzwi jedną ręką i nie patrząc rzuciła:

- Proszę o spokój! Ja tu pracuję!

- Ale, pani dyrektor... - nieśmiało szepnęła Renatka. Żona szerzej otworzyła drzwi. Spojrzałem.

Naprzeciwno, nad biurkiem Renatki wisiał wielki transparent z napisem „Strajk okupacyjny”. Napis był długi i nie zmieścił się na jednej ścianie. Końce smętnie zwisały do ziemi - wyglądało, że był używany w innych okolicznościach i protestujący dostali go tanio z *second handu*. W pokoju było trzech pracowników z białą czerwonymi opaskami. Jednym był Tomek, niedoszły ksiądz, drugim ogrodnik Romek, trzecim Andrzej, były marynarz - nasi najlepsi informatycy. Oparte o ścianę stały za nimi białe tablice z czerwonymi napisami. Każda miała kij do noszenia w czasie demonstracji. Na nasz widok odstawili filiżanki z herbatą, chwycili za tablice i ustawili je frontem do nas. Przeczytałem: „Precz z komuną”, „Złodzieje - oddajcie nasze pieniądze” i „Balcerowicz musi odejść”. Odniosłem wrażenie, że i to dostali z politycznego demobilu.

Żona nie wiedziała co powiedzieć. Pani notariusz zaczęła zbierać papiery i starannie wyłączyła laptop. Niewykluczone, że szykowała się do zrobienia użytku ze swoich instruktorskich umiejętności. Wyobraziłem sobie, jak przebiera się w kimono. Kiedyś *ić w kimono* mówiono na oznaczenie pójścia spać. Ciekawe, czy dałoby się iść w kimono z instruktorką karate i czy czułoby się wtedy bezpiecznie. Byłem śpiący i wszystko kojarzyło mi się z łóżkiem. Nikt nic nie mówił, dopiero Renatka przerwała milczenie:

- Pani dyrektor, czy podać kawę?

Z telewizji lokalnej przyszła tylko młoda reporterka z kamerą. Na jej widok strajkujący się ożywili i zaczęli krzyczeć: „Chodźcie z nami”, Tomek wyciągnął petycję i zaczął czytać, ale że w tym samym czasie ogrodnik zaczął obracać straszliwie hałasującą terkotką, a marynarz dać na rogu, zdaje się przeciwniegielnym - redaktorce zrobiło się sprzężenie i poprosiła o wykonywanie efektów po kolei. Obiecała połączyć na mikserze i narzekała na kiepską jakość sprzętu. Renatka po namyśle dołączyła do protestujących, waląc pustą butelką po „Nałęczowiance” o blat biurka. Żona szybko odsunęła znajdującą się tam

filizankę z kawą, chcąc zminimalizować straty. Redaktorka robiła zbliżenie butelki tak, żeby nie było widać nazwy firmy.

Z petycji, którą Tomek odczytał do kamery wynikało, że załoga firmy mojej żony ogłosiła strajk w proteście przeciw sytuacji finansowej firmy i brakowi pieniędzy na wypłaty, a także przeciw ogólnemu brakowi perspektyw i wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej. Wyjaśniał, że oni nie są przeciwni całkiem, tylko trochę, uzależniając swoje ewentualne poparcie od przekazania przez Unię naszej firmie dwunastu komputerów z procesorami Intel Pentium 4. W tym, koniecznie, trzech laptopów, ewentualnie czwartego dla pani dyrektor. Bo oni do pani dyrektor nic nie mają, zdają sobie sprawę, że ona ma trudną sytuację i w ogóle, ale dłużej tak być nie może i ktoś musi coś zrobić. Przez wiele ostatnich lat było tak, że jeśli ktoś musiał coś zrobić, to znaczyło, że ja muszę coś zrobić. Domyślałem się, że teraz nie jest inaczej. Tomek zapowiedział, że strajk będzie trwał aż do skutku, a marynarz dodał, że on postanowił poświęcić się dla sprawy i niezwłocznie podejmuje głodówkę protestacyjną. Był najgrubszy i lekarz mu zalecił odchudzanie. W związku z czym żąda w trybie natychmiastowym soków multiwitaminowych, polędwicy po angielsku, schabowego, dwóch piersi z kurczaka, na deser kawy i nugatów z kawiarni „Samanta” - dlatego, że głodówka ma mieć charakter rotacyjny i rotacyjnie będzie sobie odmawiał raz tego, a raz owego. I musi mieć możliwość wyboru.

Poczułem się głodny, choć na śniadanie Agata zrobiła jajecznicę na rydzach, dawno takiej dobrej nie jadłem.

Moja żona wynegocjowała, że na pewno dostanie laptop, po czym oświadczyła, że przyłącza się do strajkujących. Pani notariusz powiedziała, że w tej sytuacji być może restrukturyzacji powinna ulec nie tylko część, ale cała firma. Młodziutka redaktorka poprosiła Tomka o sprecyzowanie postulatów bez kartki, żeby miała na przebitkę. Sekretariat był ciasny i wejście mojej córki spowodowało, że stojący najbliżej wyjścia ogrodnik musiał wyjść na korytarz, żeby zrobić trochę miejsca. Zabrał ze sobą tabliczkę z Balcerowiczem.

Córka powiedziała, że to są pańskie jaja i naląła sobie herbaty. Redaktorka powiedziała, że to jej wytną, więc prosi Tomka o powtórzenie kwestii. Późno się

robiło, miałem jeszcze dzwonić do Ani, pojechać do Anety, porozmawiać z kierowniczką Urzędu Zatrudnienia, wrócić do domu na wieś i zajrzeć do Agnieszki, za którą się stęskniłem i pomyślałem, że najchętniej zrobiłbym ją kierowniczką jakiegoś działu w firmie, bo by się ładnie prezentowała na tle komputera. Chciałem umówić się z jej matką w kwestii zajęcia się moim domkiem po kobiecemu. Powinienem zorientować się na czym stoję w kwestii Agaty. No i w zasadzie chciałem też wprowadzić się do mieszkania mojej żony. Prościzna! Był tylko problem strajku.

- Wiecie co, chłopaki? - powiedziałem - jest, jak to mówią, interes do zrobienia. Moglibyśmy wskoczyć na stały kontrakt do pośredniaka, to jest spora kasa i na okrągło. Poza tym robią do mnie oko w magistracie, jeśli chodzi o obsługę ichniej strony internetowej, no i tamta stara sprawa z Ośrodkiem Kultury. Forsa będzie za parę dni, a poza tym uruchomilibyśmy z powrotem sklep i serwis. A z tą Unią to faktycznie, jakby Tomek wyszperał w necie jakiś fajny konkursik na granta, to mamy spore szanse, na prowincję to teraz chętnie sypną, żeby przed referendum sobie kupić poparcie, nie?

Redaktorka mnie nie nagrywała, bo miała zlecenia na protest. Tylko Renatka waliła bez przerwy w blat biurka, ale ciszej, bo też chciała słuchać. Weszła do akcji później, to chciała nadrobić, żeby jej nie pominęli w podziale zysków ze strajku. Nie bardzo przeszkadzało, zresztą już się przyzwyczailiśmy.

Andrzej odłożył swój napis ze złodziejami na podłogę i wziął garść słonych paluszków.

- Głodny jestem. Może dokończymy w „Samancie”?

- Dobry pomysł - powiedziała moja córka, choć zasadniczo była spoza firmy. Ale miała zostać jej przechodnim właścicielem, choć jeszcze o tym nie wiedziała. Dziecko jednak miało intuicję. Po mnie. Z tym, że ja miałem zwykle złą.

Tomek postawił „Precz z komuną” do kąta i podszedł do mnie:

- Wracasz do firmy? Pogodziliście się? - dodał ciszej.

Zastanowiłem się przez chwilę. Powinienem dodać mu otuchy, człowiek sfrustrowany musi mieć na czym się oprzeć.

- Tak, jasne! Wszystko będzie teraz super. Zaproście tylko panią dyrektor na

kawę do „Samanty”, a wszystko się ułoży. Ja do was dołączę za chwilę.

Redaktorka z lokalnej telewizji sfilmowała zbliżenie transparentu, nagrała wypowiedź mojej żony, która stwierdziła, że z zadowoleniem wita ceną inicjatywę załogi na temat koniecznej restrukturyzacji firmy, co jest od kilku miesięcy przedmiotem jej troski. Dziennikarka powiedziała, że na konstruktywne nie ma zapotrzebowania, ale może puści to w kulturalnych, pani notariusz dała mi prywatną wizytówkę i zachęcała, że nigdy nie jest za późno na naukę karate, dałem córce 20 złotych na ciastko i wszyscy wyszli. Żona poleciła Renatce przestać stukać i poinformowała ją, że kawy może już nie parzyć. Zostaliśmy w gabinecie sami.

- Cały czas do tego dążyłeś, prawda? Chciałeś mnie wygryźć z tej posady? Udało ci się. Będziesz teraz szczęśliwy? No, zobaczymy jak ty sobie poradzisz...

Pomyślałem przez chwilę o tym wcześniejszym projekcie, żeby się tak całkiem, ostatecznie i raz na zawsze usamodzielnic. Założyć własną firmę, wynająć jakieś mieszkanie i być tam z kimś, z kim można by normalnie rozmawiać. Kto by chociaż udawał, że żyje po to, żeby być ze mną szczęśliwy, żeby przedstawić mi się w jak najlepszym świetle i żeby choć trochę pokazać, że mu - jej - na mnie zależy. A ja - że ten ktoś jest dla mnie najważniejszy. Zmienić wszystko od początku do końca...

Znaczy, na krótko.

Trochę nieoczekiwanie dla samego siebie położyłem dłoń na jej ręce.

- Razem sobie poradzimy. Przecież to w sumie nieważne, kto zajmuje jakie stanowisko, liczy się tylko to, czy firma przetrwa i będziemy w niej zarabiać. A pieniądze i tak mogą iść na wspólne konto, nasze i naszej rodziny.

- Długo się tego uczyłeś? - sunęła z rozpędu. Nie przejąłem się. Chyba się uodporniłem.

- Nie, improwizuję. Będziesz dalej dyrektorem, dobrze? Ja sobie będę właścicielem, ale nikt o tym nie musi wiedzieć. Ja tylko będę pracował w tle, jak drukarka w Windowsach.

Moja drukarka, jak zaczynała drukować, to zawieszała wszystko i nie można było nawet myszką ruszyć do czasu, aż skończyła.

- Tak jest, szefie - uśmiechnęła się. – W takiej sytuacji nic mnie nie będzie obchodzić. Tak jak ciebie przedtem.

Wstałem i podszedłem do drzwi.

- Mam parę spraw do załatwienia. Na ciebie czekają w „Samancie”. Kiedy mógłbym się z powrotem wprowadzić?

- W zasadzie... - zawahała się - Daj mi jeszcze trochę czasu.

Przytuliłem ją i pocałowałem. Było miło, serdecznie i ciepło jak kiedyś. Wyobraziłem sobie, że dożywamy późnej starości w zgodzie i szczęściu, wspierając się - jak dziś - w trudnych chwilach. Moja wyobraźnia była w zdecydowanie lepszej formie niż moja pamięć.

Sięgnęła do torebki, wyjęła chusteczkę higieniczną i dowód rejestracyjny.

- Weź puncika, nie będzie nam tu w mieście dziś potrzebny. A skoro masz tyle do załatwienia, to będzie ci wygodniej. Zresztą przyjedziesz z rzeczami, prawda? A jutro pewno musimy pójść do notariusza, więc bądź rano. A zresztą, co ja będę właścicielowi rozkazywać...

Uśmiechnęła się, ale był to uśmiech mocno wymuszony. Wytarła nos i oczy, ale ostrożnie, żeby nie rozmazać makijażu.

- Ale możemy się tak umówić - powiedziałem - że ja nie będę musiał siedzieć tu w gabinecie? I używać tej sekretarki? To znaczy, nie w złym sensie. Tfu, w żadnym sensie...- zaplątałem się.

- No właśnie - powiedziała żona - najlepiej w żadnym.

*

Może pięć minut od momentu, kiedy wjechałem puntem na podwórko, byłem w domu sam. Zdażyłem sprawdzić, że Alicja żyje i nadal jest chomikiem, że ociepliło się jakoś i nie trzeba od razu palić pod kuchnią i że Agata w momencie, kiedy wyprowadzałem jej opla z garażu zdażyła zrobić bardzo dużo rzeczy: pościelić łóżko, pozmywać po śniadaniu i napisać szminką na lustrze w łazience: *Byłam, jestem i będę. Kocham cię - mogę?*

To ostatnie, niestety, odkryła dopiero Agnieszka, kiedy przyszła po tych pięciu minutach i zapytała, czy może umyć ręce, zanim mnie dotknie. Jak zwykle

przyniosła świeże mleko, co było już pewną przesadą - akurat miałem teraz ochotę na mleko! Nie to, żeby robiła mi sceny zazdrości, ale po prostu była ciekawa kto to u mnie teraz zamieszkał, bo - jak wyznała zupełnie szczerze - jeden diabeł by się teraz w tym wszystkim połapał. Ale zanim zdążyłem wymyślić jakieś wiarygodne kłamstwo, już siedziała mi na kolanach i płakała.

- Przyjechałeś samochodem... To znaczy, że wyjeżdżasz... Że już cię nie będzie... Że...

Ktoś zapukał do drzwi. To zdarzało się na wsi tak rzadko, że chwyciłem leżący na półce pistolet-straszak, zanim powiedziałem „proszę”. Od razu wyobraziłem sobie kolegów z Organizacji albo cielecego kota, jak strasznie się boją mojego straszaka. Odłożyłem. Agnieszka pobiegła do łazienki. Weszła mama Agnieszki.

- Czy jest tu Agnieszka? - zapytała cicho i smutno. - Wypadła z domu bez kurtki, jak tylko zobaczyła, że przyjechałeś... Że pan inżynier przyjechał, przepraszam...

- Och, przestań, daj spokój z tym inżynierem. Jest w łazience. Płacze. Niepotrzebnie. Trzeba brać życie takie, jakie jest...

- Jakie jest? A jakie jest? Rano chłop wrócił. Jeszcze gorszy jak był. Mówi, że nie wie gdzie był. Upił się pewno i trzy dni do siebie nie dochodził...

Agnieszka wyszła z łazienki, wstawiła wodę na herbatę i spokojnie obserwowała, jak matka wywnętrza się przed obcym człowiekiem. Rozstawiła szklanki i usiadła.

- Wyjeżdżam stąd. Nie chcę mieszkać z ludźmi, którzy chcieli mnie zabić. Dziś wszyscy udają, że nic się nie stało, że nie pamiętają, że to tylko taki amok był. Nie chcę, żeby sobie przypomnieli, że mnie chcieli za czary spalić.

Zacisnęła pięści.

- Szkoda, że nie jestem czarownicą! Zamieniłabym ich wszystkich w świnię, w myszy, w chomiki...

Obejrzałem się niespokojnie na Alicję. Nie widać jej było. Postanowiłem zadzwonić do pułkownika z Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, żeby mi podał telefon do Alicji. Tylko nie miałem do niego telefonu. Może sołtys miał?

Ale tak jak Agnieszka, nie bardzo miałem ochotę widywać ludzi, którzy uwierzyli w diabły na polu Fabisiaka i w moje z nimi konszachty...

We wsi dzień upłynął spokojnie. Agnieszka była w mieście w szkole, ale jej matka musiała wyjść do sklepu, spotkała tam sklepową Tereskę i kilka kobiet z tych, które wczoraj układały nam stos. Żadna nie wspomniała o tym jednym słowem, wszystko było normalnie. Prawie normalnie.

- Naszego posła widziałam w telewizji. Przemawiał w Sejmie.

Wzruszyłem ramionami.

- On ciągle przemawia. Nawet w remizie przemawiał. To nie jest bardziej nienormalne niż normalnie.

- Tak, ale on namawiał do wstąpienia do Unii, a on jest z Partii Prawdziwej Prawicy!

Agnieszka popatrzyła na matkę.

- A skąd mama się tak na polityce rozumie? Może poseł zmienił poglądy? Podobno tylko krowa nie zmienia...

Ada pokręciła głową.

- Tylko że on rano jeszcze przemawiał jako opozycja przeciw, a po południu za, jako koalicja. I pokazywali w telewizji, jak w ławce gwizdał na to, co sam przemawiał. Naraz.

- Aha. To jakby to samo co ja widziałam - Agnieszka mieszała herbatę, której wcześniej nie posłodziła - Po południu pogotowie odwiozło do szpitala Włodek, naszego policjanta. W czasie przerwy obiadowej przechodził koło sklepu Spółki i zobaczył, że ktoś usiłuje przepiłować kłódkę w magazynie. Zaczaił się i złapał złodzieja. Skuł go i potem zaczął tak strasznie krzyczeć i śmiać się, że ludzie przybiegli i wezwali lekarza.

Umilkła, patrzyliśmy na nią, a ona przedłużała naszą ciekawość, pijąc herbatę małymi łykami.

- Ten aresztowany to też był Włodek, tylko po cywilnemu. Policjant był naraz policjantem i złodziejem. Oczywiście, wszyscy podejrzewali, że to było jakieś przebranie, ale to nie było przebranie...

Za oknami zobaczyliśmy światła samochodu. Weszła Ania, z którą

umówiłem się na wieczór. Musieliśmy pogadać. Była nie tylko moją przyjaciółką i terapeutką - także doradcą prawnym. Ucałowała się z Agnieszką, moim zdaniem bardziej serdecznie niż ze mną i siadła z nami w kuchni. Dostała herbaty, posłuchała jeszcze raz o pośle i policjancie, i dodała od siebie:

- Spotkałam pułkownika z Agencji. Fabisiak zniknął z więzienia...

- No, pięknie - powiedziałem - ambasada amerykańska złoży protest. A chłopaki z ferajny? Też uciekli?

- Chłopaki siedzą grzecznie. Ale Fabisiak nie uciekł. On zniknął. Rozpłynął się. Wyparował...

- Tak, widziałem ten film... A na ścianie pozostał portret Jayne Mansfield. I za nim dziura, jak stąd do Pyrzyc. Tyle, że Szczytno to nie Shawshank.

- A Fabisiak nie prawnik. I nie pozostawił na ścianie plakatu, tylko na krześle 200 tysięcy euro. I nie wyszedł ani przez tunel, bo tunelu nie było, ani przez komin, bo komina nie było, ani przez drzwi, bo drzwi były cały czas obserwowane, a na korytarzu jest kamera. W dodatku - ale teraz mi nie uwierzycie...

Tak jakbyśmy do tej pory wierzyli! Ale Agnieszka sprawiała wrażenie, że wierzy w każde słowo wysokiego sądu. Ada wyglądała, jakby jej było wszystko jedno.

- Fabisiak siedział w celi z konfidentem, który miał za zadanie wyciągnąć z niego informacje o członkach Organizacji w Polsce. I on widział jak to się stało. Po prostu nic się nie stało. Na jego oczach Fabisiak zniknął. Zamienił się w kupkę kolorowych banknotów.

- Żeby choć w czek - powiedziałem - można by sprawdzić podpisy...

Patrzeliśmy na siebie podejrzliwie, jakby nie wierząc czy my to my i czy któreś z nas za chwilę się w coś nie zamieni. Zrobiło się jakby chłodniej. Włączyłem piecyk gazowy. Buchnęło na pół pokoju, chomik zapiszczał, wyłączyłem piecyk i włączyłem ponownie. Działał dobrze. Agnieszka z mamą wstały od stołu.

- Już pójdziemy. Aniu, jak załatwicie interesy, to może wstąpisz do mnie? Mam jeszcze historię do napisania...

Już niczemu się nie dziwiłem. Nawet temu, że Agnieszka jest z Anią na ty i że mają wieczorem randkę. Przeszliśmy z Anią do komputera, żeby przejrzeć dokumenty, które pani notariusz zostawiła mi na dyskietce. W prawym rogu migiała kopertka maila. Aneta pytała, czy może przyjechać, bo musi ze mną porozmawiać. Odpisałem, że za chwilę do niej zadzwonię.

Ania naniósła kilka poprawek, wydrukowaliśmy, podpisałem. Narzuciła na ramiona płaszcz i wybiegła prawie bez pożegnania. Wyglądało, że się spieszy do sąsiadów.

Zadzwoniłem do Anety, było zajęte, najwidoczniej siedziała w Internecie. Spojrzałem na zegarek. Dzieci pewno oglądały dobranockę, więc śmiało zadzwoniłem do Agaty. Bardzo się zdziwiłem, kiedy odebrał jej mąż. Tak bardzo, że zwyczajnie się przedstawiłem i poprosiłem ją do telefonu, zamiast jak zazwyczaj w takiej sytuacji - odłożyć słuchawkę. Przywitał się i poprosił ją natychmiast. Zawsze był nadzwyczaj uprzejmym człowiekiem.

- Słucham cię, kochanie. Czekałam na twój telefon... Jak dobrze, że dzwonisz, mój miły...

- Poczekaj chwileczkę - przeprosiłem ją i poszedłem do kuchni napić się wody. Jeśli jej mąż odebrał telefon, to czemu ona tak do mnie mówi, jakby go nie było?

- Jesteś sama? - spytałem, kiedy już trochę ochłonałem.

- Tak - odpowiedziała - to znaczy nie. - Jestem z mężem, dzieci siedzą na dole przy telewizorze, no ale ciebie nie ma, więc tak jakbym była sama... Przyjedziesz? A może ja mam do ciebie przyjechać?

- Zadzwonię później, ktoś przyszedł - powiedziałem i odłożyłem słuchawkę. Wyglądało na to, że znów mam halucynacje. Albo u niej coś się dziwnego porobiło. Wykręciłem telefon do Anety, dalej było zajęte, spojrzałem do poczty i na Gadu-Gadu, nie było nic od niej, więc postanowiłem jechać. Miałem przecież swoje punto, użyczone mi przez żonę.

Włączyłem komputerową kamerę internetową w tryb czuwania, kierując ją na klatkę Alicji. Zaprogramowałem tak, żeby co 5 minut aparat robił zdjęcie i zapisywał na twardym dysku, przesyłając je równolegle na wszelki wypadek na

serwer tak, żeby nikt nie zniszczył danych na moim komputerze. Chciałem po prostu wiedzieć, czy mój chomik nie jest zwyczajnym alicjołakiem, który przy pełni księżyca zmienia się z rudego gryzonia w rudą dziewczynę. Może to coś w karmie? W końcu, Alicja od Lewisa Carrolla miała takie ciasteczko z napisem „Zjedz mnie” i butelkę z napisem „Wypij mnie”... No tak, ale ona z tego tylko rosła lub malała, nie zamieniając się w nic. I to było w krainie czarów. To znaczy – nie było tego w ogóle...

Potrząsnąłem głową i przyłożyłem rękę do czoła. Nie wyglądało na to, że mam temperaturę, ale dlaczego obłęd miałby się objawiać temperaturą?

Wyszedłem z kuchni i w sieni spotkałem się z pułkownikiem. Nawet się ucieszyłem.

- Nie idzie pan na zebranie? – spytał - Wprawdzie nie wiem czy pana zaprosili, ale pomyślałem, że lepiej będzie, jak pójdziemy razem. Bo co prawda ja wiem, że panu nic nie grozi, ale pan tego nie wie, i mógłby pan być agresywny... A najbardziej w tej sprawie nam potrzeba spokoju i opanowania...

Wyglądało na to, że wie znacznie więcej niż ja. Nie mogłem nie zapytać o wczorajszy wieczór.

- Pan sobie tak spokojnie siedział przy moim komputerze, a te buraki urządziły sobie polowanie na czarownice z Salem! Postanowił pan mnie poświęcić, w imię spokoju i opanowania? Mnie i te wszystkie bogu ducha winne kobiety?

Poklepał mnie po ramieniu, siedliśmy.

- Ale w zasadzie włos panu z głowy nie spadł, co? I nawet siniaków dziś pan nie ma?

Obejrzałem powiązane wczoraj ręce. Rzeczywiście, nie było ani jednego obtarcia.

- Znaczy się - co? Zdawało mi się to wczoraj?

- A, nie, skąd, to było naprawdę. To znaczy naprawdę, ale nie do końca. Zauważył pan, kto pozostał do końca akcji, poza panem i mną?

- Ksiądz, sołtys, dyrektor...

- Oni zostali najdłużej, ale nie do końca. Tego tłumu tak ubywało po trochu,

a na koniec, jak talerz odleciał, wszyscy poszli. Został tylko pan, ja i te kobiety, związane z panem. W zasadzie to nawet już rozwiązane.

Zastanowiłem się. Był tam jeszcze ktoś, w zasadzie dłużej niż ja...

- Majewski! Jeszcze był Majewski.

Pułkownik pokiwał głową.

- No właśnie, on do tego wszystkiego nie pasuje. Bo cała reszta to po prostu były fantomy. Takie kopie ruchome. Prawdziwe, ale nietrwałe. Dlatego się tak zachowywali, że ta maszyna, ten spodek niby, buduje jakby nowe osobowości, według ukrytych pragnień ludzi. Oni wszyscy albo panu zazdrościli, albo chcieli zemścić się na tych kobietach, że ładniejsze, zgrabniejsze, z większym powodzeniem... Młodych kobiet pan nie widział z pochodniami?

- No, nie... - przyznałem. Wyglądało mi to wszystko zbyt literacko, trochę z Lema, trochę Millera, trochę z Updike'a... - A co mieli do tego talibowie i Fabisiak? Ten mi niczego nie zazdrościł, bo mnie raz w życiu widział, a i to pod biurkiem...

- Niech pan się nie gniewa, ale to nie jest akcja, zorganizowana dla pana, pan nie stanowi centrum sprawy. Pewne mocarstwo, no – kraj zaawansowany technologicznie wybrał sobie tę okolicę Polski na eksperymenty. Więcej nie mogę powiedzieć, ale niech pan wierzy – pracujemy nad tym i w pełni kontrolujemy sytuację. Jeszcze do końca nie rozumiemy tego pod względem technicznym, ale nasz resortowy psycholog już rozgryzł pewne aspekty sprawy... Akurat tutaj emocje się zgromadziły wokół pana i pan to odczuł, ale tak w ogóle to chodzi o - jak by to ująć - materializację uczuć. Ktoś kogoś skrycie nienawidzi, boi się to okazać, no i powstaje kopia, która okazuje to wyraźnie i niczego się nie boi. Ktoś pana kocha, nie umie czy nie może tego okazać - wysyła do pana swój wizerunek, który to panu mówi. I nie patrzy na okoliczności, na zahamowania, przyzwoitość czy przezorność. Ktoś kto chciałby ukraść – musi pilnować prawa. Ktoś kto chciałby podpalać – gasi... Ktoś kto chciałby kochać – musi udawać obojętność... Więc kopia kocha za niego...

- A Fabisiak - on przecież nie kochał nikogo poza sobą...

- No to nie stworzyli drugiego Fabisiaka, tylko inną projekcję jego marzeń.

- Tę sałatę?

To sporo tłumaczyło. W co mógł się zamienić taki burak? Wszyscy wiedzieli, że zależało mu tylko na forsie... Jedno tylko było nie wytłumaczalne - Alicja. Nikt mi nie powie, że to mój chomik sobie wymarzył dziewczynę, która kiedyś mnie kochała i dlatego się u mnie pojawiła. Powiedziałem to. Pułkownik się roześmiał:

- Poza wypadkami tak jakby nadprzyrodzonymi, które zresztą są całkiem materialne i zwyczajne, tylko oparte na tak nowoczesnej technice, że jej jeszcze dobrze nie znamy, toczy się normalne życie. Alicja po prostu przyjechała mikrobusem i weszła normalnymi drzwiami w czasie chwilowej amnezji powypadkowej. Odblokowały się jakieś pokłady wspomnień i po prostu przyjechała. A potem odjechała i już... A chomik? Przypadkowa zbieżność imion... Idziemy?

Podziękowałem. Udział w zebraniu w takiej sytuacji uważałem za zbędny. Miałem ochotę na szarlotkę. I nie chciałem już dyskutować z wszyskwiedzącym pułkownikiem. Który nie wiedział, albo udawał, że nie wie tego, iż wychodząc wczoraj na urodziny Agnieszki zamknąłem drzwi domu starannie na patentowy klucz. I dwie kłódki, założone na okratowanie. A Alicja była w środku.

Jak się okazało, Aneta miała źle odłożoną słuchawkę. Czekala na mój telefon i denerwowała się, tym bardziej, że w domu pokazał się Fabisiak. Nie chciał jednak nocować na jej poddaszu - zabrał rzeczy i odjechał sprowadzoną z miasta taksówką. Teściowa oddała jej klucz i powiedziała, że w tej sytuacji nie zamierza jej już kontrolować. Było cicho, przyjemnie i ciepło. Na bezchmurnym niebie świeciły gwiazdy. Nad jeziorami unosiły się latające talerze, wyposażone w maszynki do spełniania marzeń. Zamówiłem sobie jedną. Działała doskonale przez całą noc. Rano okazało się, że mam przebitą przednią oponę. Komuś także zadziałała maszynka do spełniania marzeń. Aneta pomogła mi zmienić koło i razem pojechaliśmy do miasta.

U notariusza był tłok i musieliśmy czekać na korytarzu. Rozmowa się nie kleiła, bo żona i córka wykorzystywały ten czas, żeby się kłócić. W domu zawsze były zajęte, a poza tym zawsze można było zwalić na mnie. Teraz trafiła się dobra okazja, zresztą z nudów człowiek wymyśli choć co. Po kilku minutach przysłuchiwania się nie zdołałem uchwycić istoty sporu i nie wiedziałem, komu przyznać rację, której i tak nikt by nie uznał, poza tym nie mogłem ze zrozumiałych względów zająć stanowiska, więc otworzyłem gazetę. Na stronach lokalnych nasz ksiądz Jan, podpisujący się literkami „Ś. Jan” streszczał w kilku zdaniach aktualną sytuację we wsi. Naturalnie, ani słowa nie było tam o akcji inkwizycyjnej, jednak z notatki przebijał niepokój - coraz więcej niezrozumiałych wypadków wymagało, zdaniem korespondenta, podjęcia radykalnych kroków w celu wyjaśnienia sytuacji.

- Zbliża się Wielkanoc - pisał Ś. Jan - przy całkowitej bezczynności lewicowego rządu w małej, zapomnianej przez ludzi, ale na pewno nie przez Boga wiosce wśród jezior dzieją się niesłychane i niezrozumiałe rzeczy. Sześć ukazujących się po sobie kolejno kręgów zbożowych nie zostało dotąd przez nikogo przekonująco wyjaśnionych. Mówi się tylko o powiązaniach całej sprawy z interesami jednego z największych polskich biznesmenów, z kapitałem zagranicznym, reprezentowanym przez sąsiednie byłe mocarstwo, z szajką międzynarodowego terroryzmu. Coraz głośniejsze wspomina się o możliwości kontaktów z obcą cywilizacją. W naszym umęczonym kraju przydałby się na prowincji kontakt z jakąkolwiek cywilizacją... Sześć kręgów na polu jednego z gospodarzy w ciągu pół roku to może niewiele, ale straty moralne są większe niż materialne, za każdym razem coraz większe. Wszyscy z niepokojem oczekują co się stanie, gdy pokaże się siódmy krąg. Czy i tym razem władze będą udawać, że nic się nie stało?

Hałas dochodzący zza ściany, z gabinetu notariusza, oderwał mnie od lektury. Nie rozróżniałem słów, ale najpierw podniesionym tonem mówił jakiś mężczyzna, potem usłyszałem miły w brzmieniu głos kobiety, jakby mitygujący rozmówcę. Na koniec krzyk mężczyzny, kilka uderzeń i zapadła cisza.

Ponieważ moja żona i moja córka spojrzały na mnie, choć siedziałem obok i tym razem nie można było niczego na mnie zwalić, poczułem się zobowiązany do wyjaśnienia sprawy. Otworzyłem drzwi do sekretariatu i zobaczyłem, jak elegancka pani notariusz wywleka ze swego gabinetu ciało mężczyzny i układa go starannie pod ścianą, tak żeby nie przeszkadzał wchodzącym klientom. Zobaczyła mnie, uśmiechnęła się i powiedziała:

- Przepraszam, że musieli państwo czekać, podpisywanie poprzedniej umowy nieco się przedłużyło... - odwróciła się do sekretarki, bez wrażenia obserwującej sytuację - Pani Magdo, proszę zadzwonić po pogotowie. A państwa zapraszam. Napijemy się kawy, prawda?

Weszliśmy i moja córka, z właściwą dzisiejszej młodzieży bezceremonialnością, zapytała co się stało. Pani notariusz poprawiła krawat w groszki i z lekceważeniem machnęła ręką:

- Niezrównoważony klient... usiłował mnie napaść, bo odmówiłam zatwierdzenia jakiegoś dokumentu, ewidentnie fałszywego, jakaś tam umowa o sprzedaż gruntu. Jak pokazałam mu błędy w druku i kształcie pieczęci - jakby diabeł w niego wstąpił. No, ale nie wiedział, z kim ma do czynienia. Rzadko, ale czasami moje hobby mi się przydaje... Ostatnio w ogóle ludzie głupieją...

Sekretarka wniosła cztery filiżanki kawy i zapomniała cukru. Za drugim razem wniosła cukier i poszła po łyżeczki. Za trzecim razem powiedziała, że nieprzytomny klient zniknął i czy w związku z tym należy odwołać pogotowie. Nie dało się odwołać, bo właśnie przyjechało. Pani notariusz poradziła, żeby pogotowie wypilo kawę i zaczekało, bo nie wiadomo, czy nie trzeba będzie udzielać pomocy następnym klientom. To mówiąc spojrzała na mnie, ale uznałem, że to był dowcip.

Córka podpisała umowę kupna firmy i zapytała, czy teraz może ją sprzedać, bo potrzebuje pieniędzy. Roześmieliśmy się, ale ona złożyła dokument we czworo i schowała do torebki. W myśl planu mieliśmy teraz podpisać akt darowizny przedsiębiorstwa dla mnie i - dla formalności - nominację mojej żony na dyrektora. Tak wymyśliłem, żeby nie osłabiać w nikim ducha. Będąc właścicielem, nie musiałem być przecież dyrektorem.

Tyle, że nie byłem właścicielem. Właścicielem aktualnie była moja córka, która stała w drzwiach, poprawiała makijaż i patrzyła na nas z miną wyzwolonej sufrażystki, która została ministrem spraw wewnętrznych. Pomyślałem, że teraz dopiero da nam popalić. Z miny żony wywnioskowałem, że w postępowaniu córki dopatruje się wyników stosowanego przeze mnie liberalnego systemu wychowawczego. Nie wiedzieliśmy co robić. Na szczęście byliśmy w rękach fachowca. Pani notariusz wstała. Odnosiłem wrażenie, że za chwilę zrobi użytek ze swoich instruktorskich umiejętności i znalazłem się w rozterce - w końcu chodziło o moją córkę. Z drugiej strony jednak chodziło o moją firmę. Myliłem się.

Pani notariusz uśmiechnęła się miło i powiedziała do mojej córki:

- Jeśli pani się spieszy i musi już wyjść, to proszę jeszcze dokonać opłacenia podatku i taksy notarialnej. Można w moim sekretariacie. To pozwoli umowie się uprawomocnić.

- Opłaty? - córka zatrzymała się w progu - To ja mam płacić? A ile?

Pani notariusz odwróciła się do biurka i pochyliła się nad papierami. Krawat interesująco chybotął się nad dokumentami, a garsonka leżała doskonale i była w najlepszym gatunku. Zresztą, jak widziałem, jakość opakowania była stosowna do zawartości.

- To wynosi dwa procent podatku i pół procent opłaty notarialnej od kwoty transakcji. Plus VAT, tutaj jest stosowana stawka 7 procent.

Córka przysłała mi dwa dni temu SMS-a, że dostała z matematyki plus dopuszczający. Ale to była trygonometria. Procenty od procentów dodane do procentów od sumy transakcji zapewne były dopiero w następnym semestrze, bo trochę się zawahała i nieśmiało obróciła się do mnie:

- Tato, możesz mi pożyczyć parę złotych?

Pani notariusz z wdziękiem się uśmiechnęła.

- Obawiam się, proszę pani, że to jednak będzie trochę więcej niż parę złotych.

Córka usiadła z powrotem na fotelu i wyjęła umowę z torebki.

- To jak ja mogę tę firmę podarować tacie, jeśli umowa się jeszcze nie

uprawomocniła?

Pomyślałem sobie, że wysoko zajdzie, bo uważnie słucha. Ale pani notariusz była dobrze przygotowana do swojego zawodu i za darmo nie brała tych swoich pół procent. Plus siedem procent VAT.

- Mamy tutaj taką klauzulę, stosowaną przy transakcjach w toku - obdarowywany bierze na siebie pokrycie stosownych opłat.

Zostałem właścicielem firmy i zaprosiłem wszystkich na obiad. Po deserze córka ucałowała mnie w policzek. Wiedziałem o co chodzi i dałem jej 50 złotych - na fryzjera plus VAT. Zostaliśmy z żoną sami.

Wyciągnęła z torebki zapisaną kartkę papieru.

- Możesz to podpisać?

Był to wniosek do sądu, wycofujący pozew rozwodowy. Miałem na to wyrazić zgodę. Sięgnąłem po długopis. Zastanawiałem się, czy powinienem tak zrobić. Drugi raz taka okazja się nie trafi. Z drugiej strony jednak ostatnie wypadki wykazały, że nieco spokoju bardzo by mi się przydało. Sprawa firmy wykazała, że jesteśmy sobie potrzebni i jak przychodzi co do czego, to możemy liczyć tylko na siebie nawzajem. No i na córkę. Pomyślałem sobie, że jak się nie ma rozwodu, to nie trzeba płacić alimentów. Nie wiedziałem, czy od alimentów też liczą VAT, i czy jak za usługi, czy jak za rolnictwo. I jak to będzie w Unii Europejskiej, gdzie w końcu procent rozwodów jest znacznie wyższy. Musiałem się zastanowić co mi się opłaca. Byłem teraz właścicielem firmy i musiałem myśleć nowocześnie, czyli jak podły XIX-wieczny kapitalista.

A jak w takiej, nowej od pół roku sytuacji, ułożą się nasze, z przeproszeniem, stosunki? Czy będę umiał mieszkać z kimś i golić się codziennie, nie wspominając już o zamykaniu za sobą drzwi do łazienki? No i jak będzie z tą tak zwaną wolnością, której dobre i złe strony poznałem w ostatnim czasie w praktyce? Cóż... Jak dotąd, nie ma ustawowego obowiązku mieszkania, jedzenia i rozmawiania ze współmałżonkiem. Obowiązkowe są tylko obowiązki małżeńskie. W tej jednak sprawie zawsze mógłbym się powołać na alibi, jakie stwarzał mój wiek. Od 30 roku życia pamiętałem orzeczenie Sądu Najwyższego, który stwierdził kiedyś, że mężczyzna po 50-ce z obowiązków tych nie musi się

już wywiązywać.

No, chyba że chce.

Spojrzałem na żonę. Wiedziała, jak wyglądać, żebym chciał. Niestety, wiedziała też jak sprawić, żebym nie chciał.

- Jak nie chcesz, to nie, bez łaski.

- Jak bez łaski, to bez łaski...

Ten głupi dowcip zmusił ją do uśmiechu. Podpisałem. Musiałem się spieszyć, bo jako właściciel firmy miałem teraz sporo spraw do załatwienia.

*

Późnym popołudniem jechaliśmy razem na wieś po moje rzeczy. Ustaliłem, że część sprzętu, książki, wyposażenie kuchni, które dokupiłem - pozostanie. Miałem tam mieć pracownię projektową do budowania stron WWW, stację łączności z Internetem i siedzibę firmy graficznej, która będzie formalnie partnerem naszego przedsiębiorstwa. W tej sprawie miałem kilka interesujących pomysłów kadrowych. Ustaliłem, że przynajmniej raz na dwa tygodnie będę tam spędzał kilka dni, żeby w spokoju odpocząć od spraw służbowych i domowych. Poza tym miałem w szkole w naszej wsi prowadzić kawiarenkę internetową w ramach zajęć pozalekcyjnych, co mi zaproponował dyrektor jeszcze zanim zaczął układać dla mnie stos. Ustaliłem, że oboje z żoną nieco się usamodzielniliśmy i uniezależniliśmy od siebie i trzeba to w pewnej mierze zatrzymać i wykorzystać, żeby nam było lepiej. Ustalałem szybko, bo wiedziałem, że druga taka okazja może się nie trafić.

Przy polu Fabisiaka zwolniłem. Wiązki chrustu leżały tak, jak je porzucili moi sąsiedzi, na poboczu leżały trzy pochodnie, używane w okresie zimy przy kuligach, zostały w magazynach GS-u, pamiętam, że żona magazyniera wrzeszczała najgłośniejszym głosem, widać chciała, żeby się upłynął niechodliwy latem towar. Poza tym było miło, cicho i spokojnie. Na polach było zielono, drzewa miały świeże liście, na niebie płynęły podświetlone zachodzącym słońcem chmury. Zatrzymaliśmy się przed domem, żona zajrzała na podwórko i powiedziała:

- Okropnie tu zapuszczone. Trzeba się będzie za to zabrać. Widać, że

samotny chłop nie potrafi prowadzić domu. Wstąpię do sąsiadów, może trochę się tym zajmą. Ada ma taką dobrą kobiecą rękę. I dawno nie widziałam jej dzieciaków. Tymczasem się pakuj.

Otworzyłem dwie kłódki i patentowy zamek w drzwiach. Wszedłem do kuchni. Palilo się pod piecem, w pokoju grało radio, a Alicja siedziała przed lustrem i suszyła włosy moją suszarką, którą kupiła kiedyś Agata.

- Wróciłaś? - spytałem bez sensu. Widziałem, że wróciła, ale nie wypadało mi pytać, jak, ani kiedy sobie pójdzie. Zresztą chciałem żeby została, ale chciałem też, żeby ten fakt nie miał wpływu na moje życie. Chciałem też jak najszybciej przejrzeć to, co zanotowała kamera, skierowana na mój pokój i klatkę z chomikiem. Klatka była otwarta i pusta. I niech mi tu pułkownik nie opowiada o zwyczajności tego akurat wydarzenia!

- Tylko na chwilę! - uśmiechnęła się Alicja - myślę, że musisz się trochę ze mną oswoić, przyzwyczać, w końcu - nie było mnie tak długo. Mirek - to ten brat mojego męża, pamiętasz? - pomógł mi znaleźć mieszkanie w mieście. A w liceum mam uczyć na pół etatu i nadgodziny. Angielski znam bardzo dobrze, w końcu w Libii nie próbowałam nawet mówić po arabsku, mąż mi zabronił, podobno tam kobieta europejska mówiąca po arabsku to sprawa podejrzana. Tak więc wpadłam tylko podziękować i pożegnać się, a że ciebie nie było, więc umyłam włosy...

- A jak weszłaś? - chciałem, żeby sama to powiedziała, jak to się u niej dzieje. Nie mogła przecież niczego nie pamiętać!

Odłożyła szczotkę do włosów, wstała i pocałowała mnie w policzek. Pachniała szamponem. Rumiankowym. W opakowaniu rodzinnym, dwa litry, taniej wychodzi, dla mnie samego mogło starczyć na dwa lata.

- Musisz jeść więcej fosforu, żeby ćwiczyć pamięć.

Sięgnęła do torebki, wyciągnęła z niej srebrny klucz i pokazała mi.

- Dałeś mi klucz, zapomniałeś? Przyjechałam mikrobusem, otworzyłam kłódki, otworzyłam zasuwę, a potem zamknęłam, żeby mi nikt nie wlaźł. Mam ci go oddać?

Westchnąłem. To wszystko było takie skomplikowane!

- Nie, skąd! Kto daje i odbiera, ten się w piekle poniewiera! Zatrzymaj sobie.

Tylko zawsze zanim przyjdiesz, to zadzwoń, nie wiem, czy moja żona byłaby z twojej obecności zadowolona. Ja tak!

- Żona wróciła, prawda... - powiedziała trochę wbrew faktom. - To może ci oddam klucz?

Pokręciłem głową i wsadziłem klucz z powrotem do jej torebki. Po co mi miała oddawać klucz do mojego mieszkania w Warszawie, który dałem jej dwadzieścia lat temu? Żadną miarą nie mogła nim otworzyć zapadkowej zasuwki i dwóch różnych kłódek w kracie...

Spojrzała na zegarek.

- Lecę! Za pięć minut umówiłam się przed sklepem Tereski. Znajomi odwiozą mnie do miasta. Tu jest mój nowy telefon - pokazała palcem na komputer - wpisałam ci do bazy danych. Dobrze się znam na komputerach, nieraz tak się czuję, jakbym większość swego życia spędziła przy monitorze.

Odsunąłem klatkę od monitora, potem postawiłem pod stołem. Chomik wylazł spod fotela i sam wmaszerował przez otwarte drzwiczki. Pokręcił się w karuzeli, napił się wody i poszedł do domku.

- Napiję się tylko i idę do domku.

Wypłukała szklanekę po soku, wytarła do sucha i odstawiła do kredensu. Podstawowe zasady konspiracji miała opanowane, co rokowało dobrze na przyszłość. Wyglądało jednak na to, że zajął się nią pułkownik ABW, co nie wróżyło dobrze dla naszego ewentualnego romansu. Zawsze jednak mogliśmy się zacząć przyjaźnić. Pocałowała mnie w policzek i pobieгла.

Plik szpiegujący skopiowałem na dyskietkę i postanowiłem przejrzeć w spokoju obrazek po obrazku już w domu. Liczyłem, że spokój przywiozę ze sobą. Tak jak dyskietkę.

Żona przyszła w towarzystwie Ady i Agnieszki. Nie wiedziałem na ile wprowadziły ją w sytuację ze szczegółami, a byłem ciekaw czy od wczoraj wydarzyły się jakieś nowe sensacje.

- Co w naszych kręgach?

Ada spojrzała na córkę. Agnieszka spojrzała na mamę. Żona spojrzała na mnie.

- Zbierają na proces. Listonosz to zaczął. To się nazywa proces beatyfikacyjny. Wszyscy daliśmy pieniądze. Najwięcej żona sołtysa. Bo oni mają właśnie córkę Beatę.

Mało znałem się na żywotach świętych, ale pomyślałem, że na pewno już jest jakaś święta Beata, zresztą Beata z natury rzeczy i z samego imienia jest święta. Agnieszka machnęła ręką.

- E, niczego nie rozumiecie!

Niby obejmowała tym „wy” mnie i żonę, ale odniosłem wrażenie, że trudno jej było wrócić z powrotem do mówienia do mnie „pan”.

- Chodzi o siostrę Beatę, Beatę Lubicz, co w Afryce u trędowatych była. Z *Klanu*, co w telewizji pokazują... I teraz mają ją świętą zrobić. Ludzie to już patrzyli, gdzie by wybudować jej kapliczkę. Taka jest dobra... I tyle dla ludzi zrobiła...

Tłumaczenie różnicy między fikcją z rzeczywistością w tych okolicznościach nie miało sensu. Bardziej zastanowiło mnie to, co z Agnieszką się stało, że nagle z rozsądnej i nowoczesnej dziewczyny zrobiła się jakby nieudolną, wsiową kopia siebie samej.

Kopią...

- Jedziemy! - powiedziałem do żony. - W zasadzie tylko kilka rzeczy biorę. I tak będę tu w weekend.

Agnieszka lekko pochyliła głowę i spojrzała na mnie spod oka. Uśmiechnęła się. Byliśmy umówieni. Z drugiej strony, nie wiedziałem, czy na pewno przyjadę. No bo sytuacja zasadniczo się zmieniała, z chwili na chwilę. Ada umawiała się z żoną w sprawie mycia okien w ramach przedświątecznych porządków.

Klatkę z chomikiem umieściłem na tylnym siedzeniu, bo bałem się ją zamykać w bagażniku - w razie czego, Alicja po prostu usiądzie obok klatki. Komputera nie brałem, bo w domu był jakiś prowizoryczny sprzęt, a żona miała obiecany laptop. Z Unii Europejskiej. Swoje klucze dała Agnieszce.

- Posprzątam tu i przypilnuję. I już cukierków nie będę wyjadać, obiecuję!

- Bo już nie ma, co? Dobra, pilnuj!

Zamknęliśmy letni domek na cztery spusty. Po spędzeniu tu zimy, u progu

lata, wydawał mi się zdecydowanie bardziej przytulny niż pół roku temu. Może dlatego, że nie musiałem w nim już mieszkać. Więzienie Alcatraz, odkąd stało się obiektem turystycznym, przyciąga znacznie więcej osób niż kiedyś. Tylko pobyt jest krótszy...

Przy furtce stał leśniczy Majewski.

- Już państwo jedzie? - zapytał - To dobrze. Ja na wszystko będę miał oko. Ja tu często przychodzę, pan wie.

Wiedziałem. Patrzył gdzieś ponad moim ramieniem w głąb mojego podwórka. Spojrzałem. Za płotem, w krzakach koło rzeki, poruszało się coś dużego. Wziąłem żonę za rękę.

- Musimy już jechać. Podrzucić gdzieś pana, panie Szymonie?

Pokręcił głową.

- Dziękuję. Ja tu mam rower.

Koło pola Fabisiaka silnik się wyłączył. Zatrzymałem na poboczu i popatrzyłem na żonę.

- Zatankowałaś?

- Znowu masz mnie za idiotkę? Popatrz, wczoraj nalewałyśmy - pokazała na wskaźnik. Bak był prawie pełny. Przekręciłem starter. Nic. Wyglądało, jakby się akumulator rozładował, ale wszystkie przyrządy pokazywały pełną sprawność samochodu.

Odezwała się moja komórka.

- Jestem koło pola Fabisiaka, pomóż mi! - usłyszałem głos Anety i połączenie zostało przerwane.

- Coś się dzieje... To tutaj, pamiętasz?

Żona skinęła głową i przytuliła się do mnie.

- Jedźmy już stąd - powiedziała szeptem - uciekajmy!

Łatwo jej było mówić. Nie mogliśmy jechać, bo auto nie działało. Wysiadłem i trzymając się blisko samochodu, rozejrzałem się dokoła. Anety nigdzie nie było widać. Miałem nadzieję, że gdzieś po krzakach są pochowani chłopcy od pułkownika, ale nikt się nie ujawniał. Z daleka zamajaczyła sylwetka rowerzysty. Majewski stanął w swoim ulubionym miejscu, pod drzewem na

skraju pola. Patrzył ponad lasem, gdzie niósł się już znany mi szum letnich telegramów.

Czarne BMW zatrzymało się tuż przy nas. Pułkownik ledwo skinął mi głową. Wsiadł w towarzystwie dwóch nieznanych mi mężczyzn i jednej znanej mi rudej kobiety i podeszli do zapatrzonego w niebo Majewskiego. Nie bronił się wcale. Pozwolił odprowadzić się do samochodu, ale przy masce odwrócił się i nieco zdziwionym wzrokiem spojrzął na nas wszystkich.

- Dlaczego ja? - zapytał.

- Słuchajcie no, panie obywatelu. Musicie nam trochę wyjaśnić - pułkownik był zawodowo spokojny, ale widać było, że trzyma się resztką sił - Przed chwilą słyszałem was w radiu, takie wice opowiadaliście. W tym samym czasie byliście w telewizji i od swoich ludzi wiem, że to było na żywo. Jesteście teraz na zebraniu w remizie, stoicie przed domem pana inżyniera i przyjeżdżacie tu rowerem. Marki Ukraina. I zawsze jesteście tam, gdzie się to wszystko dzieje. I wczoraj jakoś tak dziwnie interesowaliście się gazem.

- Bo się butla skończyła - nieśmiało tłumaczył Majewski. Nad lasem rósł krąg światła.

Zbliżaliśmy się do lądowania i już zupełnie wyraźnie widzieliśmy wszystkich ludzi, zgromadzonych przy polu Fabisiaka. Aneta spojrzała na mnie bezradnie:

- Nie dasz rady tego zatrzymać? Nie da się uciec? Już nam tak dobrze szło!

Już nam tak dobrze szło, wydawało się nam, że uciekniemy, ale samo jakoś zawróciło i musieliśmy wylądować. Kłopot w tym, że nie wiedzieliśmy, jak się tym ustrojstwem steruje i dokąd nas zawiezie. Wylądowanie na znanym polu Fabisiaka wydawało się najmniejszym ryzykiem i taką decyzję podjęły maszyny. Aneta popatrzyła na mnie bezradnie i położyła mi rękę na ramieniu.

- Tu przecież są jakieś komputery, jakieś urządzenia, na których na pewno się znasz. Jakbyś naprawdę chciał ze mną wyjechać, to byś to umiał przeprogramować. No przecież to tylko zmiana programu, uczyłeś się tego!

Pomyślałem, że ma sporo racji. Rzuciłem się do klawiatury, wywołałem źródło kodu, ekran zaczęły wypełniać rozrzucone bez ładu i składu cyfry i litery.

Wylatywaliśmy znad krawędzi lasu i ziemia była coraz bliżej.

- Jedźmy już stąd - powiedziała szeptem - uciekajmy!

Łatwo jej było mówić. Ania przyjechała niemal w ostatniej chwili, jak już miałem wychodzić z domu i zamykałem wszystko na cztery, a właściwie nawet na sześć spustów. Mimo moich protestów wzięła ode mnie torbę z rzeczami i nie otwierając bagażnika, umieściła na tylnym siedzeniu. Obok postawiłem klatkę z chomikiem - nie byłem już teraz pewien, co jej do łebka strzeli i wołałem nie ryzykować zamykania jej w bagażniku. W razie czego po prostu usiądzie obok klatki. Błyskawicznie zajechaliśmy do „Czarnego Kota”, gdzie tym razem na parkingu nie było usłużnego pana od wycieraczek i zamykając się starannie na klucz stanęliśmy naprzeciw siebie w hotelowym pokoju.

- No to nareszcie uciekliśmy - powiedziałem.

- Długo czekałam - powiedziała Ania.

Podeszliśmy do okna. Znad jeziora, od strony dalekiej granicy nadlatywało brzęczące światło. Nie zatrzymując się nad hotelem przemknęło w stronę lasu po drugiej stronie drogi do miasta. Powinniśmy zrobić to samo, tylko w przeciwną stronę. Ale tyle rzeczy nas trzymało...

- Jedźmy już stąd - powiedziała szeptem - uciekajmy!

Łatwo jej było mówić. Dzieci hałasowały i Ada nie dawała już rady ich uspokajać. Pilot trzy razy przychodził prosić o spokój, groził nawet, że je wyrzuci przez okno, ale nikt się go nie przestraszył, bo to był kot, chociaż duży, dzieci się tylko wyśmiewały i wołały na niego „Tom, chodź tutaj, poszukaj myszki”. Ada bała się, że to się dobrze nie skończy. Uprosiła ich przecież sama, żeby ją wywieźli na Zachód, gdzieś, gdzie nie będzie musiała bronić się przed agresywnym mężem i czekać na kolejną ciążę. Jeszcze chciała mieć coś z życia, poza praniem pieluch i sprzątaniem domu. Na przykład zapisać się na kurs komputerowy, zrobić prawo jazdy, zakochać się...

Niemal widziałem wszystkie te myśli na jej twarzy, kiedy przyszła do mnie do sterowni, gdzie zielone światło wskaźników nieco niesamowicie oświetlało jej twarz.

- Jedźmy już stąd - powiedziała szeptem - uciekajmy!

Łatwo jej było mówić. Agnieszka nie umiała skupić się na kierownicy i skrzyni biegów. Na próżno tłumaczyłem jej, że umiejętność kierowania takim pojazdem, który z pewnością nie miał homologacji na Polskę, a może nawet na Unię Europejską nie przyda się jej na nic i lepiej jest siedzieć przy oknie i podziwiać widoki. Mogliśmy iść do kajuty i zająć się sobą, czasu mieliśmy dość i nikt nas nie kontrolował, ale ona się uparła i nie było rady. Powoli zbliżaliśmy się do naszej wsi, do miejsca, które nie pozostawiło w nas najlepszych wspomnień. Poczułem, jak zadrżała, gdy zobaczyliśmy stojące samochody, grupkę ludzi i kupy chrustu, rzucone po bokach.

- Jedźmy już stąd - powiedziała szeptem - uciekajmy!

Łatwo jej było mówić. Majewski sztywny jak koci ogon stał koło samochodu i pomyślałem sobie, że znowu wpadł w letarg tak jak wtedy przed remizą. Rozglądałem się wokoło, ale nie widać było żadnego dziwnego stwora, zresztą w obecności pułkownika czułem się znacznie lepiej. Alicja poprawiła rude włosy i uśmiechnęła się smutno.

- Co miałam robić? Musiałam się zgodzić... On ma z nim kontakt, tam zostały nasze dzieci, no i mnóstwo pieniędzy, które razem zarobiliśmy. Trzeba przeprowadzić formalny rozwód, no i jakoś tutaj ułożyć sobie życie. Więc zgodziłam się najpierw na współpracę, a potem na, no wiesz co... Wpłynięcie na twoją córkę, żeby wybrała akurat tę a nie inną klatkę nie było łatwe, cały sztab specjalistów nad tym pracował... Ale zupełnie nie wiedziałam, że to o ciebie chodzi, nigdy bym się przecież nie zgodziła, nie zapomniałam ani jednej chwili z tamtych naszych czasów... Wybaczysz mi?

Nie miałem nic do wybaczenia, w końcu nie zrobiła mi nic złego, przeciwnie - uratowała mi życie i była ze mną w najtrudniejszym czasie.

- Och, Alicjo - westchnąłem - nawet tak nie mów. Przecież dobrze wiesz, ile dla mnie znaczysz, i gdyby nie wszystkie te nawarstwione przez lata sprawy, moje i twoje...

- Jedźmy już stąd - powiedziała szeptem - uciekajmy!

Łatwo jej było mówić. W zupełnej ciszy podeszliśmy do pojazdu, drzwi otwarły się i przechyliły tak, że utworzyły coś w rodzaju wjazdu dla

niepełnosprawnych. Już niewiele mnie obchodziło co kto sobie pomyśli, liczyło się tylko nasze bezpieczeństwo. Objąłem Agatę i delikatnie popychając, skłoniłem do wejścia na platformę. Obejrzała się na stojącą grupkę ludzi, chciała coś powiedzieć, ale drzwi zaczęły się zamykać, więc weszliśmy do środka i stanawszy w ciasnej galerijce wyjrzelśmy przez okna. Pojazd w środku był bardziej ciasny, niż zdawało się z zewnątrz. Byliśmy najwyraźniej sami, ale ktoś przecież to wszystko urządził, ktoś nas tu ściągnął i zapewne miał wobec nas jakieś plany. My też mieliśmy plany wobec siebie, i to od dawna, więc wyjrzelśmy po raz ostatni przez okno, podświadomie oczekując, że ktoś będzie machał chusteczką, ktoś może będzie płakał, no i przede wszystkim, że między nami a tymi ludźmi będzie taki gąszcz serpentyn, które pozrywają się i wpadną do wody, jak tylko zaczniemy odbijać od brzegu. Ale nie było serpentyn, nie było wody ani brzegu, nikt nie machał chusteczką i chyba nikt nie płakał.

My też już niczego nie żalowaliśmy, a na wahanie było za późno. Podłoga pod nogami drgnęła, Agata odwróciła się plecami do okna.

- Jedźmy już stąd - powiedziała szeptem - uciekajmy!

Łatwo jej było mówić. Mąż bezskutecznie grzebał w silniku nie chcąc przyjąć do wiadomości, że jego skądinąd wysokie umiejętności techniczne nie przydadzą się tu na nic. Agata nie ponaglała go, bo chciała do końca być lojalna wobec mnie i towarzyszyć mi w tym pożegnaniu, choć tylko z daleka. Z kamienną twarzą patrzyła, jak wchodzimy z żoną po pochyłej platformie do wnętrza pojazdu, który z bliska nie wydawał się taki duży i robił wrażenie kiepskiej dekoracji filmowej. Nieomal czekała, jak spod niewielkiej kopułki wieńczącej maszynę popłynie kilkudziesięciotona melodia, która z filmu Spielberga przeniosła się niemal do wszystkich telefonów komórkowych, w tym do tego, który sam jej zaprogramowałem. Ten dźwięk oznaczał telefon ode mnie, a ponieważ niemal zawsze oznaczał propozycję bliskiego spotkania, wydawało się nam, że jest bardzo na miejscu. Niestety, wszystkim dookoła też tak się to kojarzyło, skutkiem czego Agata znajdowała się teraz w samochodzie należącym do hurtowni męża, a nie ze mną na Karaibach. Obserwowała, jak zamknęły się za nami drzwi statku i jak stajemy z żoną przytuleni do siebie w okienku galerijki.

Wyjęła chusteczkę, żeby pomachać i z kieszeni wypadła jej serpentyna, zapomniana przy okazji dekoracji przedszkola na kinderbal. Chciała rzucić w stronę pojazdu, ale nie była pewna jak taki gest zinterpretują szeroko otwarte zielone oczy Majewskiego, który stojąc przy czarnym BMW spokojnie kontrolował sytuację.

Pojazd zaczął unosić się ponad ziemią, silnik w samochodzie męża wreszcie zapalił.

- Jedźmy już stąd - powiedziała szeptem - uciekajmy!

Łatwo jej było mówić. Odkąd w Onecie uruchomili bezpośrednią transmisję wydarzeń dnia w formacie *.avi, dopiero zrobił się problem połączenia z portalem. Wszyscy chcieli być na bieżąco, jakby po prostu nie można było włączyć CNN czy TVN-24. A ja miałem chyba większe prawa od wszystkich, żeby to zobaczyć, jako że wszyscy na kursie ode mnie się o całej tej sprawie dowiedzieli. To, że włączone na raz 10 komputerów skutecznie zmniejsza przepustowość naszej sieci nikogo nie przekonywało - nikt nie zamierzał ustąpić. Mój komputer był za wolny, może powinienem w nim posprzątać, bo na dysku było mało miejsca, a pamięć RAM zapychała się przy ładowaniu i w tym wyścigu do danych nie miałem większych szans, umiejętności i praktyka w zasadzie się nie liczyły. Pierwsza połączyła się pani Babcia i pierwsza też stwierdziła, że trwało to za długo.

- Za późno! Już odlatują...

Kamera miała niezłą rozdzielczość, ale było dość ciemno i nikt oczywiście nie używał sztucznych świateł. Krąg wygnieciony na polu Fabisiaka dawał się jednak rozpoznać dość wyraźnie, na poboczu stała nieruchomo grupka ludzi i kilka unieruchomionych samochodów. Reporterzy Onetu próbowali na zbliżeniu pokazać odlatujący pojazd, ale choć wznosił się początkowo wolno, to ostrość stale się rozmazywała, wreszcie błysnęło na pół ekranu i nad lasem widać już było tylko stale zmniejszający się punkt. Kamera, umieszczona zdaje się na jednym z drzew, tym na którym stanowisko obserwacyjne mieli chłopcy z UOP-u, przeniosła wizję na widzów, stojących na szosie. Sprzęt był pierwsza klasa, bo obraz mimo kiepskiego światła był zupełnie wyraźny, poprawił się nawet dźwięk,

tak że szum zapalanych silników i odjeżdżających samochodów był całkiem głośny. Przekrzykując go, pani Babcia zawołała:

- No coś podobnego! To przecież pan! To nie jest *live*?

Silnik zaskoczył, zatrzasnęliśmy drzwi, ale pułkownik miał trudności z zapakowaniem do auta nieprzytomnego Majewskiego. Dochodziła siódma i w normalnych warunkach powinienem kończyć zajęcia na kursie dla emerytów, jednak mimo najszczerzych chęci dziś nie zdążyłem. Moja żona położyła mi rękę na ramieniu.

- Jedźmy już stąd - powtórzyła - uciekajmy!

Łatwo jej było mówić. Ostrożnie cofnąłem, objechałem wszystkich gapiów i za zakrętem włączyłem długie światła. Pół godziny później drzwi w naszym domu otworzyła nasza córka.

Zaniosłem chomika do swojej pracowni. Umyłem ręce w swojej łazience nieswoim mydłem i spojrzałem do lustra. Nie wyglądałem najlepiej. Byłem głodny. Byłem zmęczony. Byłem niewyspany. Bolał mnie kręgosłup, od korzonków przeniosło się jakoś tak dziwnie na odcinek szyjny, lekarz uprzedzał mnie o tym, że dyskopatia i widoczne na rentgenie zwyrodnienie siódmego kręgu może powodować bóle głowy, niewyspanie, zawroty, nawet jakieś zmiany w mózgu. Chwała Bogu, nie miałem objawów utraty świadomości i odlotów fantazji - na to zbyt mocno trzymałem się ziemi. Ciężka praca w komputerowej firmie odzwyczaiła mnie od fantazjowania. Po prostu byłem niewyspany. Byłem zmęczony. Byłem głodny. W najbliższych minutach, godzinach i dniach musiałem trochę posprzątać, uregulować pewne sprawy, ustalić nowe reguły życia w domu, słowem – było trochę do zrobienia. Ale kiedy to wszystko już zrobię – pomyślałem – już naprawdę nie będę robił nic. No – nic. Po prostu dla odmiany. Nadmiar ruchu, tak jak i nadmiar wydarzeń na dłuższą metę też może znudzić. Nie robić nic... No, po prostu – stwierdzić któregoś dnia, że co było do zrobienia, to się właśnie zrobiło i od dziś już jest luz. Nic nie trzeba, niczego się nie musi, a w dodatku jest za co nic nie robić. Nic.

No to właśnie tak jest, tylko z tym „jest za co” jest pewien problem. Ale ponieważ w ciągu najbliższych kilku godzin nikt mi nie podsunie zapewne

intratnego kontraktu do podpisania, ani w żaden inny sposób nie podsypie sałaty, no to mogę robić co chcę.

Na przykład opisać moje życie. Zawsze lubiłem ambitne zadania. To będzie bardzo interesujące, a nawet ekscytujące doświadczenie.

KONIEC

*Frydman - Nowy Targ – Zakopane, sierpień-listopad 2002,
Nowy Targ marzec-maj 2020, w czasach zarazy*